Wszystkie wybory Stanowskiego ▪ Trump jednoczy Kanadę ▪ Ten drugi papież
Jak Kreml kradnie rok 1945 ▪ Co gryzie szopa ▪ Niech żyją biblioteki

Kraków 7 – 13 maja 2025 nr 19 (3957) cena 15 zł (w tym 8% VAT)

TYGODNIK POWSZECHNY

Katolickie pismo społeczno-kulturalne
TygodnikPowszechny.pl



Konklawe inne niż wszystkie

- NOWE FRAKCJE, KRAJE I WPŁYWY
- NOWE ZADANIA DLA PAPIEŻA
- NOWE ALGORYTMY WYBORU

ISSN 0041-4808 NR INDEKSU 379 425

eprasa.pl 823c2be78e

TYGODNIK POWSZECHNY

InPost

Twój Tygodnik bliżej, niż myślisz.

Dostawa za darmo przez InPost Paczkomat®

„Tygodnik Powszechny" – czytasz, kiedy chcesz, jak lubisz.
Bez algorytmów, bez ekranów, bez pośpiechu.

Papierowe wydanie dostarczane co tydzień przez InPost Paczkomat®
– płacisz tylko za tygodnik, przesyłka jest całkowicie **ZA DARMO!**
To rewolucja na rynku prasy – nasza odpowiedź na znikające punkty sprzedaży.

Przy zakupie na **6 miesięcy:**
366 zł zamiast ~~390~~ zł
(z blik rabat 6%)

Przy zakupie na **12 miesięcy:**
686 zł zamiast ~~780~~ zł
(z blik rabat 12%)



OFERTA SPECJALNA

Zamawiając TP z odbiorem w InPost Paczkomat® otrzymasz także:

- całoroczny dostęp do wydania internetowego „Tygodnika Powszechnego" za 1 zł – **oszczędzasz 357 zł**
- dostęp do **odcinków specjalnych podkastu „Szkoła uczuć" z profesorem Bogdanem de Barbaro,** do **kursu medytacji chrześcijańskiej** oraz do innych **podkastów** i **newsletterów** od autorów i autorek Tygodnika

dowiedz się więcej!
www.TygodnikPowszechny.pl/ofertaInPost

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

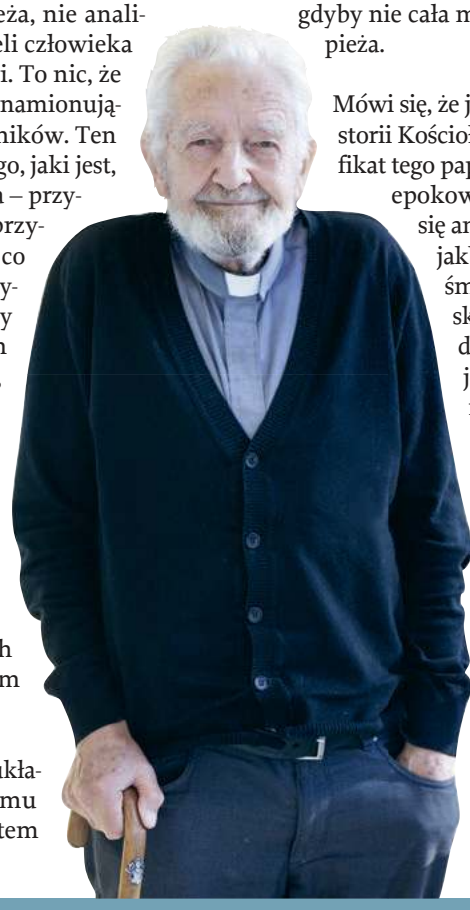
KS. ADAM

Boniecki: *Konklawe po Franciszku*

Zaczyna się konklawe. Rzeczywiście, będzie inne niż poprzednie. Kardynałowie elektorzy w znacznej części dopiero teraz będą mieli okazję się poznać. Papież Franciszek jest więc autorem sytuacji nietypowej, ale wiedział, co robi, mianując kardynałów (czyli elektorów) w krajach lub diecezjach, które jeszcze nigdy nie wybierały papieża. Teraz dyskutują, modlą się, słuchają i zastanawiają się nad tym, kogo uznać za swego kandydata.

Pogrzeb Franciszka pokazał, jak był bliski bardzo wielu ludziom. Z pewnością nie śledzili oni całego pontyfikatu, nie czytali większości dokumentów wydawanych przez papieża, nie analizowali jego nominacji. Widzieli człowieka oddanego służbie człowiekowi. To nic, że w tym służeniu nie było ładu znamionującego działalność tylu poprzedników. Ten papież był dla człowieka, takiego, jaki jest, i tam, gdzie jest. Jak na papieża – przynajmniej takiego, do jakiego przywykliśmy – Franciszek w tym, co mówił, nie zawsze był dość precyzyjny, nie zawsze był zrozumiały w tym, co robił, ale był w tym podobny do nas. I co ważne, rozpoczął wiele dzieł przekonany, że nie musi ich osobiście doprowadzać do szczęśliwego finału. Wierzył, że jeśli dzieło jest po myśli Bożej, On doprowadzi je do szczęśliwego końca, jeśli zaś nie jest, nie ma potrzeby go żałować. Tak rozumiem jego projekty, o których najpierw mówił, a które potem całkowicie zarzucał.

Jest jakaś przedziwna logika w układzie kolejnych papieży. Jednemu przypada inicjować coś, co potem następca rozwija. Jan Paweł II wszedł na teren problemów z celibatem księży, z którymi papież Franciszek przez cały pontyfikat się borykał. Papież Franciszek zresztą w wielu dziedzinach wyszedł poza dotychczasowe papieskie obyczaje. Wymieńmy jeden przykład: na synodach biskupów za czasów Franciszka można było poruszać wszystkie kwestie, żadne jak dotychczas nie były wykluczone. Można by wymieniać wiele dziedzin, w których przekroczył obowiązujące dotychczas granice. Mówi się wręcz o nowej epoce Kościoła. Mówiły o tym znaki zewnętrzne, jak mieszkanie, liturgia, sposób bycia Franciszka itd., te jednak nie byłyby wiele warte, gdyby nie cała mentalność (duchowość) tego papieża.



GRAŻYNA MAKARA

Mówi się, że jesteśmy dopiero u początków historii Kościoła. Może. W każdym razie pontyfikat tego papieża jest ważnym, jeśli nie wręcz epokowym otwarciem, którego nie da się ani wymazać z historii, ani żyć tak, jakby go nie było. Owszem, znaleźliśmy się i jeszcze będziemy trwać na skraju epoki, bo zmiany będą zachodzić stopniowo i powoli, aż odkryjemy, że to, co dla nas było stanem normalnym, niepostrzeżenie stało się wspomnieniem historycznym. Z Franciszkiem w Watykanie zmieniła się epoka. Żaden następca nie jest w stanie tego cofnąć. Zresztą o następcę jestem spokojny, Pan nad Kościołem czuwa. ©℗

Ks. Adam Boniecki, dziennikarz i duszpasterz, jest redaktorem seniorem.

TP W NASTĘPNYM NUMERZE „TYGODNIKA" KATALOG COPERNICUS 2025. W NIM M.IN.:

ŁUKASZ LAMŻA
o tym, co zasługuje na miano tajemnicy. Czy są pytania, na które nauka nie może odpowiedzieć?

MAREK ABRAMOWICZ
o trzecim prawie Keplera i matematyczności przyrody. Czy matematyka istnieje niezależnie od nas?

STANISLAS DEHAENE
wyjaśnia, jak mózg się uczy i co powinniśmy zmienić w systemie edukacji w dobie sztucznej inteligencji.

Kibicowaliśmy **EDWARDOWI AUGUSTYNOWI**, kiedy rozsyłał 135 maili w sześciu językach do kardynałów elektorów. Stawialiśmy, że odpowie może 5-6. Wyszło znacznie lepiej, przyszły 43 odpowiedzi – do lektury niektórych z nich zapraszamy na naszą stronę.

Nasz redakcyjny watykanista zweryfikował bądź uzupełnił w ten sposób swój prywatny wielki arkusz dotyczący poglądów członków kolegium kardynalskiego. Przez ostatnie dni, w których powstawał jego tekst w dziale Temat Tygodnika, Edward opowiadał nam o rozmaitych algorytmach służących do eliminacji kandydatów i spekulowania, kto ma realną szansę zmienić sutannę czerwoną na białą – papieską.

Kiedy ten numer ukazuje się w kioskach (i paczkomatach), kardynałowie są już zamknięci (*cum clave* – pod kluczem). W środę odbędzie się jedno głosowanie, w kolejnych dniach po cztery – aż do skutku. Któregoś dnia w końcu zobaczymy biały dym i poznamy... no właśnie, kogo: Jana Pawła III, Benedykta XVII, Franciszka II, a może, dajmy na to, Piusa XIII? Czy to będzie kontynuator, czy rewolucjonista, duszpasterz czy administrator, starzec czy 50-latek?

Edward ma swoje typy i ich nie ukrywa, pisze też o tych, którzy papieżem na pewno nie zostaną (w jednych przypadkach: szkoda, w innych: całe szczęście). Opisuje też metody wpływania na wybór głowy Kościoła – te, które odeszły do historii (cesarskie weto) i te bardzo nowoczesne (wysoko pozycjonowana i umiejętnie zredagowana strona „The College of Cardinals Report" streszczająca poglądy „papabili"). Pewne jest tylko to, że sprawdzi się stare włoskie przysłowie, że „po grubym papieżu przychodzi chudy", czyli: kolejny na pewno będzie inny.



Tym z Państwa, którzy zastanawiają się, skąd wziął się tak wielki autorytet papieża, zapraszam do tekstu **MONIKI BIAŁKOWSKIEJ** w dziale Wiara. Prymat papieża – pisze nasza nowa autorka – korzenie ma w soborze jerozolimskim z udziałem samych apostołów. To wtedy sam Paweł z Tarsu (mimo że miał rację w wynikłym sporze) uznał, że wiążąca dla rodzącego się Kościoła jest wypowiedź Piotra.

Dlatego dzisiaj „cały świat wstrzymuje oddech, żegnając jednego i czekając na kolejnego następcę św. Piotra". ©℗

MACIEJ MÜLLER
REDAKTOR PROWADZĄCY

Dziennikarz działu Wiara, piszący również na tematy historyczne oraz dotyczące zdrowia. Autor kilku książek, m.in. „Żywych pochodni" o początkach chrześcijaństwa.



18 Paradoks Stanowskiego
PIOTR ŚMIŁOWICZ, PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI
Co kariera szefa Kanału Zero mówi o polskich mediach i polityce?



29 Pożytki ze snobizmów
OLGA DRENDA
Przyjemnie udawać, że czegoś nie rozumiemy, np. sztuki współczesnej – czujemy się wtedy tacy rozkosznie normalni.



68 Poruszyć bibliotekę
ANNA GOC
Dawniej książka stała na półce, czekała, aż ktoś ją wypożyczy. Dzisiaj jest w centrum działań.

GRAŻYNA MAKARA / KATARZYNA WŁOCH / TP // GRAŻYNA MAKARA // JACEK TARAN// MACIEJ ZIENKIEWICZ // ANDRZEJ IWAŃCZUK / REPORTER

■ ■ OBRAZ TYGODNIA

6 Bez widoków na pokój
WOJCIECH KONOŃCZUK

7-9 Komentarze

10-11 Informacje

■ ■ KRAJ

18 Paradoks Stanowskiego
PIOTR ŚMIŁOWICZ, PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI

22 Jeźdźcy na gapę
AGNIESZKA KAMIŃSKA: *Wyprowadzamy się poza miasta, ale stale korzystamy z ich usług*

26 Spółki niezgody
PIOTR ŚMIŁOWICZ: *Nawet po zwycięstwie któregoś z kandydatów koalicji rządzącej raczej nie dojdzie do odpolitycznienia spółek Skarbu Państwa*

■ ■ ŚWIAT

30 Migracyjny eksperyment
ŁUKASZ SAKOWSKI: *Masowa imigracja z krajów islamskich zmienia Holandię*

34 Pokolenie wynajmu
AGNIESZKA ZIELIŃSKA: *Hiszpanie wychodzą na ulice, żądając prawa do godnego mieszkania*

36 Inna Ameryka
MAŁGORZATA SIDZ: *Partia Liberalna Kanady wygrywa ponownie wybory federalne, chociaż już bez Justina Trudeau. Zawdzięcza to w dużej mierze Trumpowi*

■ ■ WIARA

38 Pierwszy znaczy sługa
MONIKA BIAŁKOWSKA: *Niedobrze byłoby redukować prymat Piotrowy wyłącznie do władzy nad kościelną instytucją*

42 Jak papież z papieżem
MARTA ZABŁOCKA *o papieżu innym niż ten watykański*

44 Błogosławieństwo po niemiecku
ARTUR SPORNIAK: *Niemiecki Kościół precyzuje przepisy dotyczące par homoseksualnych i idzie dalej niż Watykan*

46 Czy Bóg nas wodzi na pokuszenie?
PAWEŁ RAKOWSKI: *Jak rozumieć słynne zdanie z modlitwy Ojcze nasz?*

ALESSANDRA BENEDETTI / CORBIS / GETTY IMAGES

TEMAT TYGODNIKA



12 Konklawe inne niż wszystkie
EDWARD AUGUSTYN
Wybór będzie kompromisowy – papieżem zostanie ktoś o umiarkowanych poglądach. Bardziej duszpasterz niż administrator.

■ ■ STRONY SPECJALNE ■ ■

50 NAGRODA LITERACKA IM. WIESŁAWA KAZANECKIEGO

60 MY, KTÓRZY PRZEŻYLIŚMY

66 WIELKIE WYZWANIE I KOSMICZNE LEKCJE

■ FELIETONY ■

29 OLGA DRENDA **49** WOJCIECH BONOWICZ
65 STANISŁAW MANCEWICZ
82 PAWEŁ BRAVO
90 TOMASZ STAWISZYŃSKI

NA OKŁADCE: KARDYNAŁOWIE WATYKAN, 26 KWIETNIA 2025 R. FOT. MASSIMO VALICCHIA / NURPHOTO / GETTY IMAGES

48 Czytania
ABP GRZEGORZ RYŚ O. WACŁAW OSZAJCA

■ ■ HISTORIA

54 Nigdy więcej nam
MAREK MATUSIAK: *Jak wygląda pamięć historyczna o II wojnie światowej w Izraelu – i co z tego wynika dla jego polityki?*

56 Pobieda na nowo
ANNA ŁABUSZEWSKA: *Wojna przeciw Ukrainie to kontynuacja tamtej wojny sprzed 80 lat: to przekaz rosyjskiej propagandy*

58 Bucza i pamięć
HANNA RADZIEJOWSKA: *To w nowym spojrzeniu części niemieckich elit na Europę Środkowo-Wschodnią tkwi kluczowa dziś zmiana w niemieckiej kulturze pamięci*

■ ■ NAUKA

62 Inwazja i kontratak
WOJCIECH MIKOŁUSZKO: *Gatunki inwazyjne mogą się szybko rozprzestrzeniać na nowym terenie, ponieważ brakuje tam organizmów, które je atakują*

■ ■ KULTURA

68 Poruszyć bibliotekę
ANNA GOC

74 Przeszczep organów
JAN BŁASZCZAK *o muzyce Miłosza Kędry*

76 Szekspir na spalonym
DARIUSZ KOSIŃSKI: *Na czym polega dziś wielkość Szekspira? Czy nie jest aby wmówieniem?*

79 Polecamy

80 W pułapce lojalności
ANITA PIOTROWSKA *o filmie „Szpiedzy" Stevena Soderbergha*

81 Dziwna podróż
LEKTOR *o książce „Jazda" Muriel Spark*

■ ■ ZMYSŁY

84 Osad Grochowa, finisz Powiśla
MONIKA OCHĘDOWSKA: *Czytanie i spacerowanie mają ze sobą wiele wspólnego*

TYGODNIKPOWSZECHNY.PL

„TYGODNIK" JUŻ CZEKA NA CIEBIE...
JAK TO MOŻLIWE – ZOBACZ NA STRONIE 2

Zapisz się na newsletter
POWSZECH.NET/NEWSLETTER

Słuchaj podkastów
POWSZECH.NET/PODKAST

/TYGODNIKPOWSZECHNY ■ /TYGODNIK ■ /TYGODNIK ■ YouTube /TYGODNIKPOWSZECHNY ■ /TYGODNIKPOWSZECHNY

OBRAZ TYGODNIA



BEZ WIDOKÓW NA POKÓJ

Zabiegi Donalda Trumpa o szybkie zakończenie wojny zakończyły się tak, jak należało się spodziewać: fiaskiem. Rosja wykorzystuje jego naiwność, szukając nie ugody, tylko pełnego zwycięstwa.

WOJCIECH KONOŃCZUK

POWYŻEJ:
Zniszczona w wyniku rosyjskiego ataku dronowego placówka firmy kurierskiej Nowa Poszta. Odesa, 1 maja 2025 r.

Trump nadal próbuje zaklinać rzeczywistość twierdząc, że porozumienie jest możliwe do osiągnięcia „już niebawem". Kilka dni temu po raz pierwszy dopuścił jednak, że może okazać się to „nierealistyczne" ze względu na „ogromną nienawiść" między stronami. Dodał, że nastąpić może czas, gdy powie „w porządku, kontynuujecie [wojnę]. Bądźcie nadal durniami".

KONCESJE | Scenariusz wyjścia przez USA z negocjacji pokojowych w przypadku braku postępu sugerował już wcześniej sekretarz stanu Marco Rubio. Trump na razie zapewnia, że choć był już bliski podjęcia takiej decyzji, to nie porzucił starań, gdyż wydarzyły się „pozytywne rzeczy". Wydaje się, że można to interpretować jako potwierdzenie dobrego, choć krótkiego spotkania z Wołodymyrem Zełeńskim w Watykanie. Jak informował potem specjalny przedstawiciel USA ds. Ukrainy Keith Kellogg, strona ukraińska zadeklarowała, że gotowa jest na *de facto* koncesje terytorialne.

Trump docenił również zgodę Kijowa na podpisanie 1 maja umowy o stworzeniu amerykańsko-ukraińskiego funduszu inwestycyjnego ds. odbudowy, którego częścią będzie wspólne zaangażowanie w wydobycie surowców mineralnych na Ukrainie. Oznacza to priorytetowy dostęp Amerykanów m.in. do złóż aluminium, tytanu i litu. Dokument przewiduje, że przez dziesięć lat wszystkie dochody z funduszu muszą być reinwestowane nad Dnieprem, ale nie daje stronie ukraińskiej żadnych gwarancji bezpieczeństwa.

Amerykański sekretarz skarbu Scott Bessent stwierdził, że umowa świadczy o tym, że „administracja Trumpa angażuje się w proces pokojowy, którego celem jest wolna, suwerenna i prosperują-

ca Ukraina". Dokument musi jeszcze ratyfikować Rada Najwyższa, ale jest to formalnością. Dla Kijowa kluczowe jest bowiem utrzymanie strategicznego zaangażowania USA w formacie możliwie najbardziej przychylnym wobec Ukrainy.

ROZCZAROWANIE | Po powrocie z Watykanu Trump skrytykował Putina, mówiąc, że jest „zdziwiony i rozczarowany" nowymi rosyjskimi atakami na ukraińskie miasta. Po raz kolejny zagroził Rosji nowymi sankcjami, gdyby ta nie chciała kontynuować rozmów w sprawie zawieszenia broni. Od ponad trzech miesięcy Kreml prowadzi grę, której celem jest wciąganie Trumpa do rozmów, a zarazem obarczanie Kijowa rzekomą winą za niechęć do porozumienia. W istocie Rosja nie miałaby nic przeciwko wyjściu USA z rozmów pokojowych, o ile nie będzie to oznaczać dodatkowych sankcji.

Rosyjski plan marzeń to przekonanie Trumpa do odnowienia współpracy gospodarczej i przynajmniej poluzowania sankcji, niezależnie od losu Ukrainy. Dlatego Moskwa kusi Amerykanów konstruktywną współpracą w innych kwestiach międzynarodowych ważnych dla USA oraz wspólnymi projektami biznesowymi. A że głównym rozmówcą Rosjan jest Steve Witkoff, osoba znana na rynku nieruchomości, ale nowa w dyplomacji i pozbawiona wiedzy o Rosji, nic dziwnego, że Kreml ma nadzieję na sukces.

Zachodnie media donoszą o każdej wypowiedzi Trumpa czy Zełenskiego o kwestiach procesu pokojowego, ale właściwie pomijają to, co mówią przedstawiciele Kremla. Zamknięcie jednego oka nie pomoże w zrozumieniu rzeczywistości, ale mocno ją wykrzywi. Tymczasem najważniejsi politycy rosyjscy na czele z Putinem powtarzają wyraźnie, że obecne zadania Rosji w tej wojnie są takie same jak na jej początku.

TAKTYKA | Z rosyjskiego punktu widzenia, ze względu na zmianę w Waszyngtonie, zmieniła się jedynie taktyka. Kreml ma nadzieję na osiągnięcie przynajmniej części swoich celów nie na drodze wojennej, ale w trakcie rozmów, którym towarzyszą przecież działania militarne. Rosja nie tylko chce uznania aneksji w granicach administracyjnych Krymu i czterech innych anektowanych regionów Ukrainy, ale i wycofania sił ukraińskich z tych ich części, które Kijów nadal kontroluje. Żaden ukraiński polityk nigdy się na to nie zgodzi. Nie warto też mieć iluzji – Moskwa konsekwentnie zmierza do zniszczenia ukraińskiej państwowości w obecnej formie, kolejnych aneksji, w tym odcięcia jej od Morza Czarnego. Do tego potrzebuje ograniczenia pomocy zachodniej dla Ukrainy i jej dalszego wykrwawiania.

Kluczowe pytanie, które powinniśmy zadawać, dotyczy nie tego, czy w najbliższym czasie możliwe jest porozumienie rosyjsko-ukraińskie, które byłoby do zaakceptowania dla Ukraińców. Odpowiedź jest oczywista od dawna – jest niemożliwe, bo Kreml zainteresowany jest jedynie pełnym zwycięstwem. Ważniejsza jest kwestia dalszej polityki Trumpa, który w swoich deklaracjach wobec wojny miota się między skrajnościami – raz wysyłając sygnały, że mógłby zaakceptować Krym jako część Rosji, innym razem grożąc jej nowymi sankcjami.

CO DALEJ | Paradoksalnie, dla Ukrainy ewentualne wycofanie się przez Stany Zjednoczone z prób doprowadzenia do pokoju nie musi oznaczać katastrofy, ale pod dwoma warunkami: utrzymania sankcji i zachowania pomocy wywiadowczej. Sankcje amerykańskie są znacznie ważniejsze niż europejskie, gdyż Waszyngton w odróżnieniu od Brukseli stosuje sankcje wtórne, których UE wciąż się nie nauczyła.

Kreml nadal będzie próbował grać na nadziejach Trumpa, przeciągając negocjacje i próbując zrazić go do Ukrainy. Co zrobi amerykański prezydent, pozostaje sprawą otwartą. Jedyne, co na razie można powiedzieć, to że wojna szybko się nie skończy. ©

Autor jest dyrektorem Ośrodka Studiów Wschodnich w Warszawie.

NINA LIASHONOK / REUTERS / FORUM



Co po debatach

MAREK KĘSKRAWIEC

Najpierw debat nie było w ogóle, teraz mamy ich zatrzęsienie, w dodatku w różnych formatach. Czy jednak cokolwiek zmieniły? Na pewno wartościowe jest oglądanie przyszłej głowy państwa w sytuacjach niekomfortowych, wymagających improwizacji i talentu w trzymaniu nerwów na wodzy. Reszta to jednak trochę konkurs piękności. Kandydaci wdzięczą się do nas, obiecując rzeczy niemożliwe, a my udajemy, że im wierzymy. Konstytucja każe nam wybierać prezydenta bezpośrednio, ale za potężnym mandatem społecznym nie idą uprawnienia – nasza głowa państwa o wiele więcej może zablokować, niż stworzyć.

Z telewizyjnych igrzysk najbardziej wzmocniony wyszedł Karol Nawrocki, nawet jeśli grubą przesadą byłoby stwierdzenie, że czymkolwiek błysnął (i nawet jeśli na jego wizerunku wkrótce pojawiła się kolejna rysa, związana z historią o przejęciu kawalerki mężczyzny, który trafił następnie do Domu Pomocy Społecznej). Po prostu oswoił się z występami publicznymi i obecnością kamer, mówi bardziej składnie i pewnie. Dalej jednak tkwi w retoryce kojarzonej z twardym jądrem PiS, więc jeśli trafi do drugiej tury, będzie mu trudno zebrać ponad 50 proc. głosów. Na razie może się cieszyć kilkoma punktami procentowymi, które urwał Sławomirowi Mentzenowi.

Wyjęty ze strefy komfortu kandydat Konfederacji, zgodnie z przewidywaniami nie radzi sobie najlepiej. Na jego tle konkurujący po części o ten sam elektorat Nawrocki zyskuje wyraźną przewagę.

Głównym przegranym ostatnich dni wydaje się Szymon Hołownia.

Można mu stawiać pomnik za odwagę i refleks, gdy zapobiegł napędzającej polaryzację debacie Trzaskowski–Nawrocki w Końskich. Ale czy sam wykorzystał szansę? Mimo niewątpliwego talentu scenicznego i spójnych propozycji, jego popisy wiedzy własnej z czasem stawały się nużące. Hołowni nie udało się przejąć części wyborców Mentzena, w którego wymierzył w kampanii masę ciosów. Fakt, osłabił go, ale rozczarowani nie przeszli do kandydata Trzeciej Drogi, tylko do nominata PiS. Natomiast wyborcy koalicji rządzącej raczej przekonali się, że z Rafałem Trzaskowskim bardziej im po drodze – Hołownia nie dał dowodów, że stanowi rzeczywistą, atrakcyjną alternatywę dla obecnego układu.

Sam Trzaskowski zresztą wygląda ostatnio dużo swobodniej, choć nadal daleko tu do fajerwerków. To nie jest porywający kandydat, tyle że wzmacnia go słabość innych, w tym nadmiar wyboru na lewicy. ©℗



Hiszpania bez prądu

MAREK RABIJ

Przyczyny awarii, która w ubiegłym tygodniu pozbawiła prądu miliony mieszkańców Półwyspu Iberyjskiego, nadal nie są znane. Wiadomo jedynie, że bezpośrednim źródłem blackoutu było awaryjne odcięcie francuskiego systemu energetycznego od połączeń z Hiszpanią, spowodowane gwałtownym spadkiem produkcji energii przez instalacje fotowoltaiczne na Półwyspie Iberyjskim. W krytycznym momencie zanik mocy paneli słonecznych sięgnął w całym kraju aż 10 gigawatów. Nietypowe wahania działania hiszpańskich OZE tamtejszy operator sieci zanotował już trzy godziny przed awarią.

Czy to oznacza, że Hiszpania, która w skali roku aż 45 proc. energii czerpie ze źródeł odnawialnych, została pozbawiona prądu właśnie przez panele fotowoltaiczne? Taką hipotezę postawił na łamach „Finacial Times" André Merlin, były szef francuskiego operatora RTE, przypominając, że wiosną i latem ponad dwie trzecie hiszpańskiej energii pochodzi ze źródeł, których nie da się kontrolować. W podobnym tonie jeszcze w kwietniu o tamtejszym systemie energetycznym wypowiadał się hiszpański minister infrastruktury Óscar Puente, który paraliż kilku energetycznych linii kolejowych tłumaczył nadwyżką energii w systemie wytworzoną przez fotowoltaikę. Obie hipotezy kategorycznie odrzuca jednak Beatriz Corredor, szefowa spółki Red Eléctrica zarządzającej krajowym systemem przesyłowym. Wysoki udział OZE w mikście energetycznym kraju to jej zdaniem codzienność, a instalacje są na to przygotowane.

Innym podejrzanym jest hiszpański system przesyłowy, który w znikomym stopniu zintegrowano z sieciami energetycznymi krajów ościennych. Spółka Red Eléctrica szacuje, że jej interkonektor z Francją ma przepustowość na poziomie 2 proc. mocy wytwarzanej na Półwyspie Iberyjskim. Połączenia z Portugalią zapewniają z kolei wymianę rzędu 6,8 proc. Gwałtowne spadki, jak i wzrosty produkcji energii mogą zatem prowadzić do zdestabilizowania hiszpańskiego i portugalskiego systemu energetycznego, a w konsekwencji do blackoutu.

W dniu, w którym Hiszpanii skończył się prąd, polskie zapotrzebowanie na energię elektryczną również w ponad 50 proc. zaspokajały OZE. Było słonecznie i wietrznie, a przed długim weekendem elektrownie węglowe nie pracowały pełną parą. Pojemność polskiej sieci przesyłowej stanowi jednak poważne wyzwanie dla rozwoju OZE. W słoneczne dni operator krajowego systemu przesyłowego musi odcinać część źródeł odnawialnych, by zapewnić stabilność pracy siłowniom konwencjonalnym, które z przyczyn technicznych nie mogą znacząco ograniczyć produkcji energii. ©℗

Tysiące podróżnych dotkniętych awarią prądu na Półwyspie Iberyjskim na dworcu Atocha w Madrycie. Hiszpania, 29 kwietnia 2025 r.



DIEGO RADAMES / AFP / EAST NEWS



Pożegnanie z USA

OLAF OSICA

Druga kadencja Donalda Trumpa rozczarowuje Polaków: badanie oceny stosunków Polska–USA, opublikowane 29 kwietnia przez CBOS, pokazuje, że trend jest nie tylko nagły, ale i głęboki. Oto w kwietniu tego roku, w porównaniu z marcem 2023 r., CBOS odnotował niemal 50-punktowy spadek pozytywnych ocen stosunków polsko-amerykańskich. Dwa lata temu pozytywną opinię wyrażało tu 80 proc. badanych, obecnie 31 proc. Dominujące jest zaś przekonanie, że stosunki te nie są „ani dobre, ani złe" (52 proc.).

Autorzy raportu wskazują też na rekordowo niski odsetek Polaków uznających wpływ USA na świat za „w przeważającej mierze pozytywny": jest to zaledwie 20 proc. (wobec 52 proc. dwa lata temu). U większości badanych rozpoczęta niedawno druga kadencja Trumpa budzi przede wszystkim obawy (60 proc.). Co piąty deklarował obojętność (19 proc.), a tylko co siódmy – związane z nią nadzieje (14 proc.).

Powyższe liczby skłaniają do postawienia kilku tez. Po pierwsze, to tąpnięcie jest skutkiem polityki nowej administracji USA, a nie reakcją na Trumpa jako takiego i na jego profil ideologiczny. Choć w podziale na elektoraty widać, że pozytywne oceny przeważają wśród wyborców PiS-u i Konfederacji, to nawet tam silne jest poczucie niepokoju: deklaruje je 36 proc. zwolenników PiS-u i 41 proc. Konfederacji.

Po drugie, źródłem tego tąpnięcia wydaje się polityka wobec Rosji (CBOS nie zadał tego pytania). Każdy, kto zna historię relacji Polska–USA, wie, że ich spoiwem jest traktowanie Rosji jako zagrożenia dla bezpieczeństwa Polski i Europy. Prezydent USA, który wykazuje zrozumienie dla Kremla, czyli agresora, ale już nie dla Ukrainy, czyli ofiary, wpisuje się – chcąc nie chcąc – w tradycję Teheranu i Jałty.

Tymczasem po 1989 r. chcieliśmy wierzyć i widzieć Stany jako mocarstwo, które kieruje się wartościami, a nie zimnym interesem geopolitycznym.

Po trzecie, badanie to pokazuje, że jesteśmy w momencie zwrotnym: albo polityka Trumpa wobec Rosji (i nie tylko) zmieni się radykalnie, co zniweluje część naszych obaw – albo pogłębiający się chaos, sprzeczne komunikaty i błędy umocnią przekonanie, że na naszych oczach kończą się Stany, w które wierzyliśmy. Dziś obstawiałbym to drugie. Bo zaufanie łatwiej się niszczy, niż je odbudowuje. ©

NA PUNKTY

NA DROGACH
Komenda Główna Policji poinformowała, że w trakcie długiego weekendu na drogach doszło do 269 wypadków, w których zginęło 16 osób. 1316 zatrzymanych kierowców było w stanie nietrzeźwości lub po spożyciu alkoholu.

NA GRILLU
Prezydent i premier zderzyli się na trzeźwo: 3 maja Andrzej Duda zarzucił rządowi brak zaangażowania w sprawę zmiany konstytucji odnoszącej się do wydatków na obronność. „Obchodzić Święta Konstytucji to pan prezydent potrafił jak nikt. A jeszcze lepiej samą konstytucję" – ironicznie skomentował w mediach społecznościowych Donald Tusk.

NA ZAKŁADZIE
Rząd angażuje się tymczasem w zmianę prawa pozwalającą wydłużyć weekend na stałe: ministra Agnieszka Dziemianowicz-Bąk zapowiedziała rozpoczęcie programu pilotażowego skróconego tygodnia pracy. Z inicjatywy będą mogły skorzystać zarówno firmy prywatne, jak i instytucje publiczne, a pracodawcy, którzy będą testować różne formy redukcji czasu pracy, mogą liczyć na pomoc merytoryczną i wsparcie finansowe z Funduszu Pracy. ©℗



Rumunia: radykał do pałacu?

PIOTR OLEKSY

Pierwszą turę wyborów prezydenckich w Rumunii wygrał George Simion (na zdjęciu). Lidera skrajnie prawicowego Związku Jedności Rumunów (AUR) i fana Donalda Trumpa poparło 41 proc. wyborców. W drugiej turze zmierzy się z Nicușorem Danem – liberalnym burmistrzem Bukaresztu, który uzyskał 21 proc. Rumunia, najważniejszy partner Polski na wschodniej flance NATO, może znacząco zmienić swą politykę zagraniczną.

George Simion przebojem wszedł na rumuńską scenę polityczną w 2020 r., gdy jego partia weszła do parlamentu z 9-procentowym poparciem. AUR skorzystał na społecznym niezadowoleniu z pandemicznych restrykcji, wprowadzając przy tym ponownie do polityki wyrazisty nacjonalizm, odwołujący się do spuścizny ruchu faszystowskiego z lat 30. i 40. XX wieku. Niemniej w listopadzie 2024 r. na pozycję lidera nacjonalistów wyszedł Călin Georgescu, religijny i prorosyjski tiktoker, który wygrał pierwszą turę wyborów prezydenckich. Sąd Konstytucyjny anulował jednak proces wyborczy, powołując się na raport Najwyższej Rady Bezpieczeństwa Krajowego, która wskazywała na ingerencję „zewnętrznego aktora państwowego" (w domyśle: Rosji) w kampanię wyborczą. Kandydaturę Georgescu zablokowano.



Simion jest bliżej głównego nurtu europejskiej polityki niż Georgescu. W jego wypowiedziach nie znajdzie się pochwał wobec Putina. Niemniej jest krytyczny wobec dotychczasowych elit i instytucji państwa, a także Unii Europejskiej, liberalnych wartości oraz Ukrainy. Frustracja społeczna, podsycana przez niefortunne działania obozu władzy w związku z odwołanymi wyborami, zdaje się popychać Rumunów w stronę emocji, których wyrazicielem jest Simion. Nie można wykluczyć, że w drugiej turze poprze go część wyborców obozu władzy. Duże znaczenie będzie mieć aktywność Waszyngtonu, który nie tylko sprzyja ruchom suwerenistycznym w Europie, ale też krytykuje Bukareszt za złamanie zasad demokracji. Rumuni postrzegają sojusz z USA jako podstawową gwarancję bezpieczeństwa. Umieszczenie Simiona w pałacu prezydenckim mogą postrzegać jako sposób na odnowienie nadszarpniętych relacji z patronem. ©

DANIEL MIHAILESCU / AFP / EAST NEWS



Przypadek Anity: zabawa w ciuciubabkę

ARTUR SPORNIAK

Trudno jest komentować dramatyczny kazus z Oleśnicy, którego finałem było wstrzyknięcie chlorku potasu w serce 37-tygodniowego płodu i wywołanie porodu martwego już dziecka. Można jedynie przedstawić racje stron i próbować wyciągnąć wnioski na przyszłość.

Racje matki. „Zrobiłam to, co dla niego było najlepsze" – mówi Anita, mama Felka, u którego zdiagnozowano najgorszy rodzaj wrodzonej łamliwości kości. Z jej słów wynika, że od 20. tygodnia ciąży była zwodzona przez lekarzy, a o okrutnych realiach choroby genetycznej dowiedziała się dopiero 16 tygodni później.

Racje lekarki dokonującej aborcji. Gizela Jagielska ze szpitala w Oleśnicy ma ochronę policji, gdyż grożono jej śmiercią (wśród czterech aresztowanych hejterów jest też ksiądz). Atakującym odpowiada, że jest ateistką, więc w pracy nie kieruje się zaleceniami religijnymi. Pacjentka miała wskazanie do aborcji, zatem zabieg był legalny.

Racje lekarza proponującego cesarskie cięcie. Prof. Piotr Sieroszewski, który opiekował się Anitą, uważa, że gdy ciąża zagraża życiu lub zdrowiu matki – tak jak w tym przypadku – a dziecko jest już zdolne do przeżycia poza jej ciałem, aborcja jako metoda przerwania ciąży nie jest zgodna ze sztuką lekarską i grozi odpowiedzialnością karną (od pół roku do 8 lat pozbawienia wolności). To luka prawna.

Racje biskupów. Zespół Ekspertów Konferencji Episkopatu Polski ds. Bioetycznych wskazał na „niegodziwości praktyki zabójstw nienarodzonych dzieci i ich legalizowania w prawie państwowym". Tylko pozornie stanowisko to ujmuje się za nienarodzonymi. Nauczanie Kościoła jest gotowe poświęcić i życie matki, i życie dziecka, byleby nie przekroczyć normy zakazującej zabicia niewinnej osoby.

Wniosek nie jest odkrywczy: lekarze powinni traktować pacjentów podmiotowo i zawsze informować ich o ich sytuacji. ©℗



JAKUB WŁODEK / AGENCJA WYBORCZA.PL

Czarne flagi przed Szpitalem Uniwersyteckim dzień po ataku nożownika na chirurga Tomasza Soleckiego. Kraków 30 kwietnia 2025 r.

Dlaczego zginął krakowski chirurg

HEJT ▪ Zamordowany 29 kwietnia w krakowskim Szpitalu Uniwersyteckim Tomasz Solecki, który poniósł śmierć od ciosów zadanych przez pacjenta, był cenionym specjalistą, chwalonym przez kolegów i tych, którymi się opiekował. Czy tragedia, do której doszło, stanie się punktem zwrotnym w debacie wykraczającej poza organizacyjne wyzwania związane z zapewnieniem bezpieczeństwa pracownikom medycznym?

W styczniu nożownik-pacjent śmiertelnie ranił ratownika medycznego. Ratownikom obiecano kamizelki nożoodporne i takie zmiany w prawie, które sprawców agresji zaprowadzą za kratki. Co politycy mogą obiecać tym, którzy pracują w poradniach, gabinetach lekarskich czy na izbach przyjęć? Bramki z wykrywaczami metalu? Przeszukiwanie pacjentów?

Pacjent, który zabił, to funkcjonariusz Służby Więziennej, co już rodzi wiele pytań. W dodatku, jak donoszą media, z wykształcenia ratownik medyczny. Człowiek, który uwierzył – a w każdym razie mówił o tym publicznie – że lekarz w trakcie operacji „wstrzyknął mu wirusa", „zaraził go białaczką". Nie brzmi to jak myślenie człowieka zrównoważonego. Co więcej, widać w tym wiele podobieństw do jednego z głównych nurtów hejtu wylewanego w ostatnich latach na lekarzy: mają oni pozostawać a to na usługach przemysłu farmaceutycznego, a to w spisku ze zwolennikami depopulacji, którzy mają zabijać pacjentów na oddziałach szpitalnych (mówiono o tym w Sejmie RP) i rozprowadzać „śmiercionki". Długo by wymieniać, a przecież to, co na temat lekarzy mają do powiedzenia środowiska antynaukowe, antyszczepionkowcy, antypandemiści, to tylko jeden z wątków negatywnego przekazu dotyczącego zawodu lekarza. Zawodu zaufania publicznego, który – jak chyba żaden inny – stał się obiektem zmasowanego ataku.

Biorą w nim udział politycy wielu opcji, oskarżający lekarzy o chciwość i hołdowanie wyłącznie korporacyjnym interesom. Niektórzy idą dalej. Przykład „obywatelskiej interwencji" Grzegorza Brauna w szpitalu w Oleśnicy, gdy wtargnięciu do placówki i uwięzieniu lekarki biernie przyglądała się policja, może stanowić inspirację dla potencjalnych naśladowców. Stały, sączący się pod adresem jednej grupy zawodowej hejt może powodować u osób podatnych na różnego rodzaju zaburzenia wrażenie, że nie zrobią niczego złego, wymierzając „sprawiedliwość".

Nie będzie bezpieczeństwa bez zatrzymania hejtu, który indukuje agresję. To musi wybrzmieć wyraźnie, gdy już wybrzmi cisza.

© MAŁGORZATA SOLECKA

„TP" i Monika Braun przeciw nienawiści

PRZEMOC ▪ Ponad sto tysięcy wyświetleń, tysiące komentarzy w mediach społecznościowych i tyleż udostępnień – to najkrótsze podsumowanie listu otwartego Moniki Braun, który opublikowaliśmy 28 kwietnia. „Jestem siostrą Grzegorza Brauna. Wstydzę się tego, co on robi" – pisała. „Przez lata sądziłam, że »nie kala się własnego gniazda«, i milczałam, zastanawiając się, gdzie jest granica. Właśnie została przekroczona" – dodawała, mając na myśli napaść jej brata na lekarkę z Oleśnicy. Zanim jeszcze zdania z listu zdążyły przetoczyć się przez największe portale internetowe, Grzegorz Braun w studio prezydenckiej debaty „Super Ekspresu" mówił m.in., że żółty żonkil – symbol pamięci o powstaniu w warszawskim getcie – jest „znakiem hańby".

Sprzeciw wobec działalności Brauna, kandydata bez szans na fotel prezydencki, nie ma charakteru politycznej czy partyjnej demonstracji, jaka obca by była redakcji „TP". Podobnie jak Monika Braun uznaliśmy po prostu, iż zrozumiały skądinąd odruch zbywania milczeniem kolejnych szaleństw tego polityka ma swoje granice. Że kolejne akty bandytyzmu, wandalizmu i antysemityzmu powinny natrafić na sprzeciw, i że to właśnie na naszych łamach powinien on się pojawić.



KRZYSZTOF KAPICA / EAST NEWS

– To, że tekst ukazał się w „Tygodniku Powszechnym", który jeszcze za mojego dzieciństwa był znakiem niezgody na opresyjny system i jego wrzaskliwą propagandę, jest dla mnie ogromnie ważne – komentuje niemal tydzień po publikacji listu Monika Braun. – Zanim jeszcze nauczyłam się czytać, wiedziałam, że w tym szarawym wówczas i niepozornym czasopiśmie chodzi o prawdę. Często z konieczności, ale i z wyboru: cichszą, skromniejszą niż medialna wrzawa wywoływana przez tych, którzy rządzą tłumem, i których retoryka jest „aż nazbyt parciana", jak to stoi u Herberta.

Monika Braun, pytana o odzew na list, opowiada o setkach pozytywnych głosów.

– Podtrzymują one moją nadzieję, wyrażoną w ostatnim akapicie listu, że przemoc nie jest „artykułem", który wszyscy kupują, a przeciwnie, że istnieje ogromne zapotrzebowanie na współczucie, porozumienie i szacunek – mówi „Tygodnikowi".

I opowiada o rozmowie z jednym z czytelników listu; rozmowie, która uzmysłowiła jej, jak ludzie dookoła niej są pod każdym względem zróżnicowani, i jak ważne jest w związku z tym dbanie o wspólnotowość.

©℗ PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI

Polska wraca na orbitę z kosmicznymi ambicjami

ASTRONAUTYKA ■ 17 130 dni upłynie między powrotem na Ziemię Mirosława Hermaszewskiego a wyznaczoną właśnie datą startu misji AX-4 ze Sławoszem Uznańskim-Wiśniewskim na pokładzie. 29 maja (lub kilka dni później, jeśli zawiedzie pogoda), po 47 latach przerwy, Polak znajdzie się na orbicie Ziemi.

Miejsce startu będzie symboliczne: rakieta Falcon 9 wyruszy ze słynnej wyrzutni 39A w Centrum Lotów Kosmicznych im. Kennedy'ego na Florydzie. Stąd startowała misja Apollo 11, w ramach której doszło do pierwszego lądowania na Księżycu.

Nie chodzi jednak o symbole czy pomachanie chorągiewką przed kamerą. Uznański, który spędzi 14 dni na Międzynarodowej Stacji Kosmicznej, będzie miał pełne ręce roboty. Ma przeprowadzić łącznie 13 eksperymentów, opracowanych przez polskie instytucje naukowe i firmy.

To pierwsza taka polska misja technologiczno-rozwojowa. Orbitalne eksperymenty z zakresu materiałoznawstwa, biotechnologii czy sztucznej inteligencji mają przełożyć się na to, co tu, na Ziemi, mogą oferować polskie firmy. Według Ministerstwa Rozwoju i Technologii projekty obejmą m.in. badania mikrobiomu człowieka, testy nowych materiałów i analizę wpływu mikrograwitacji na organizm ludzki.



AXIOM SPACE MISSIONS / MATERIAŁY PRASOWE

Sławosz Uznański-Wiśniewski na orbicie przeprowadzi szereg eksperymentów, m.in. z biotechnologii i materiałoznawstwa, które od dwóch lat przygotowywały polskie ośrodki naukowe.

To swoisty popis możliwości i ambicji polskich naukowców i inżynierów. Misja Ignis, jak nazwano program badawczy Uznańskiego, ma potencjał, by przynieść konkretny zwrot z inwestycji, zarówno w postaci komercjalizacji wyników badań, jak i rozwinięcia kompetencji firm oraz instytutów. „To początek technologicznej przyszłości, która może wyprowadzić polską gospodarkę na nowy poziom" – przekonuje minister rozwoju i technologii Krzysztof Paszyk.

Symbolika misji Ignis też robi wrażenie. Jej naszywkę zaprojektował Andrzej Pągowski – ten sam, który stworzył plakat misji Hermaszewskiego. Na emblemacie widnieje biało-czerwony orzeł, którego skrzydła tworzą kontury Orlej Perci, a ogon przypomina płomień (*ignis* to po łacinie „ogień"). Litera „i" w nazwie przyjmuje formę ISS, a nad nią jest konstelacja Tarczy Sobieskiego.

„To hołd dla polskiej tradycji i sygnał, że jesteśmy gotowi do globalnej rywalizacji" – mówi Daniel Neuenschwander z ESA. Z kolei Josef Aschbacher, dyrektor generalny ESA, przypomina: „Uznański został wybrany spośród 22 tys. kandydatów. Dziś jest gwiazdą ESA i ambasadorem Polski w kosmosie".

Dla Uznańskiego-Wiśniewskiego misja to finał trwających dwa lata przygotowań. Inżynier, wcześniej pracujący m.in. przy Wielkim Zderzaczu Hadronów, został wybrany na potencjalnego astronautę w marcu 2021 r., ale jego status jako astronauty aktywnego, a nie rezerwowego, stał się oficjalny dopiero, gdy Polska przyłączyła w 2023 r. do europejskiego programu lotów załogowych. Teraz planuje m.in. poprowadzić z orbity narodową lekcję fizyki. „Chcę pokazać, że można wyjść z polskiej szkoły i trafić do najbardziej zaawansowanych projektów technologicznych świata" – mówił w TVN 24.

© WOJCIECH BRZEZIŃSKI

Wywiady ze Sławoszem Uznańskim-Wiśniewskim w „Tygodniku" czytaj i słuchaj na powszech.net/uznanski

BARTOSZ MINKIEWICZ



Bartosz Minkiewicz jest rysownikiem i scenarzystą komiksowym, współautorem serii Wilq Superbohater.



TEMAT TYGODNIKA

KONKLAWE INNE NIŻ WSZYSTKIE

Dominująca wśród kardynałów pozaeuropejska perspektywa wpłynie na wynik głosowania. Ale wybór będzie kompromisowy – papieżem zostanie ktoś o umiarkowanych poglądach. Bardziej duszpasterz niż administrator.

EDWARD AUGUSTYN



ALESSANDRA BENEDETTI / CORBIS / GETTY IMAGES

Kardynałowie na pogrzebie papieża Franciszka. Plac św. Piotra, Watykan, 26 kwietnia 2025 r.

Walka o władzę (czy też – jak zapewniają jej uczestnicy – o kierunek, w jakim zmierza Kościół) zaczęła się na dobre już dwa dni po pogrzebie Franciszka.

Gra o tron

W wywiadzie udzielonym 23 kwietnia dziennikowi „La Repubblica" kard. Gerhard Müller, były prefekt Kongregacji Nauki Wiary i jeden z najważniejszych reprezentantów „konserwatywnego skrzydła" w kolegium, pochwalił Franciszka za „zaangażowanie w sprawy migrantów i biednych oraz przezwyciężenie podziałów między centrum a peryferiami", ale nie omieszkał też skrytykować go za „dwuznaczności", które następny papież musi szybko wyjaśnić. Chodzi o wypowiedzi (i decyzje) Franciszka na temat osób homoseksualnych, małżeństwa i rodziny, roli świeckich, w tym kobiet, w Kościele, ich udziału w synodach biskupich, a także dialogu z islamem i porozumienia Watykanu z Chinami. Müller powtórzył te zarzuty na kilka dni przed rozpoczęciem konklawe (3 maja) w obszernym wywiadzie dla magazynu „America", sugerując wręcz, że Franciszek popadał w herezję – oczywiście nie formalną (nauczanie niezgodne z doktryną), a jedynie materialną (wypowiedzi doktrynalnie niejasne lub dwuznaczne).

To samo jezuickie czasopismo zrelacjonowało – na podstawie świadectw kilku anonimowych kardynałów – ataki, jakie w czasie jednej z kongregacji kardynalskich (codzienne spotkania w okresie piętnastu dni przed konklawe) przypuścili na zmarłego papieża kard. Raymond Burke, były prefekt Trybunału Sygnatury Apostolskiej, który zarzucił Franciszkowi szereg naruszeń prawa kanonicznego, oraz kard. Beniamino Stella, były watykański dyplomata i prefekt Kongregacji ds. Duchowieństwa, mówiący o chaosie w Kościele i dezorganizacji rzymskiej kurii.

Müller, Burke i Stella nie mają szans na papiestwo (ten ostatni ma 83 lata i nie weźmie udziału w konklawe). Wybór kardynała, który publicznie atakował papieża (za jego życia i po śmierci), byłby sygnałem ↦

↦ odcięcia się od Franciszkowej wizji Kościoła, do czego na pewno nie dojdzie. Ale każdy z tej trójki próbuje wpłynąć na decyzje wciąż wahających się elektorów. Z kongregacyjnych przecieków wynika, że Müller i Burke lobbują (nieformalnie, bo prawo zabrania takich rzeczy) za kard. Robertem Sarahem z Gwinei lub – gdyby okazał się zbyt kontrowersyjny – kard. Malcolmem Ranjithem ze Sri Lanki. Z kolei kard. Stella promuje kandydaturę kard. Pietra Parolina, sekretarza stanu, „człowieka umiarkowanego i doświadczonego dyplomatę". Ostra krytyka Franciszka, która zszokowała kardynałów, może jednak bardziej zaszkodzić ich kandydatom, niż pomóc w zdobyciu głosów.

Rozproszone kolegium

W chwili, gdy ten numer „Tygodnika Powszechnego" trafia do sprzedaży, w bazylice św. Piotra rozpoczyna się msza *pro eligendo Romano Pontifice* (za wybór papieża). Wieczorem odbędzie się głosowanie – pierwszego dnia jedno, w kolejnych po cztery (dwa rano i dwa wieczorem). Aż do skutku, z ewentualnym dniem przerwy na zdystansowanie się do podejmowanych, a nie zakończonych sukcesem decyzji.

W konklawe bierze udział 133 kardynałów z 71 krajów. Nigdy dotąd kolegium nie było tak zróżnicowane i rozproszone. By zdobyć 89 głosów (wymagane prawem 2/3), trzeba będzie pozyskać przychylność dużej grupy nieznanych i nieznających się kardynałów, pochodzących często z odległych regionów (Tonga, Timor Wschodni, Burkina Faso, Papua-Nowa Gwinea) czy krajów, gdzie katolików jest zaledwie garstka (Iran, Mongolia, Malezja, Mjanma).

To zasługa Franciszka, który przesunął centrum Kościoła w stronę południowych peryferii świata, zwłaszcza azjatyckich. Konstrukcja kolegium kardynalskiego jest jednym z tego przykładów – w czasie ostatniego pontyfikatu liczba przedstawicieli Azji wzrosła w nim ponad dwukrotnie (z 11 do 23).

Po raz pierwszy w historii w mniejszości są kardynałowie z Europy. Stary Kontynent reprezentuje 52 hierarchów, „resztę świata" – 81. Błędem byłoby jednak myśleć, że w związku z tym nowy papież na pewno nie będzie Europejczykiem. Kryterium geograficzne nie jest najważniejsze. Podczas konklawe w 2013 r. Europejczycy mieli większość (61:55), a papieżem i tak został Argentyńczyk.

Papież dwóch perspektyw

Przewaga kardynałów z innych kontynentów ma jednak znaczenie nie tylko symboliczne. Pozaeuropejska perspektywa, po raz pierwszy dominująca na konklawe, będzie miała wpływ na wynik wyborów.

Warto spojrzeć na nią szerzej – przez pryzmat regionów świata, a nie kontynentów. Zobaczymy, że głosy rozkładają się niemal po równo pomiędzy globalną Północą (70 elektorów, reprezentujących Europę, USA, Kanadę, Japonię, Australię i Nową Zelandię), dostatnią i cywilizacyjnie rozwiniętą, a globalnym Południem (63 elektorów), dużo dotkliwiej doświadczonym biedą, łamaniem praw podstawowych czy zmianami klimatycznymi.

Rozproszenie kardynalskiego kolegium sprawia, że narodowe czy kontynentalne lobbies przeszły do historii. Ale przysparza kardynałom innych problemów, o czym mówią wprost **– trudno wybierać najlepszego kandydata spośród osób, których się nie zna.**

Kardynałowie z Południa inaczej identyfikują wyzwania, jakie stoją dziś przed Kościołem, niż hierarchowie z Północy. Wspólnym problemem z pewnością jest wojna i migracje, ale dalej znajdziemy sporo różnic: dla pierwszych priorytetem będzie troska o wykluczonych i katastrofa klimatyczna, dla drugich – sekularyzacja i pustoszenie kościołów. Nowym papieżem zostanie ten, kto wykaże się zrozumieniem dla problemów obu regionów. Bez względu na to, z którego świata – Północy czy Południa – przyjdzie.

Wyraźna internacjonalizacja kolegium sprawia też, że istotnym kryterium wyboru będzie język. Włoski, którego znajomość wydaje się konieczna dla biskupa Rzymu i zwierzchnika rzymskiej kurii, jest językiem ojczystym dla 19 elektorów. Wielu pozostałych zna go słabo albo wcale. Z kolei angielski jest językiem ojczystym dla 38 elektorów, a płynnie posługuje się nim kolejnych 50 (pozostali znają go w mniejszym stopniu). Niewykluczone więc, że przyszedł czas na papieża anglojęzycznego.

Kolega z internetu

Rozproszenie kolegium sprawia, że narodowe czy kontynentalne *lobbies* przeszły do historii. Ale przysparza kardynałom innych problemów, o czym mówią wprost – trudno wybierać najlepszego kandydata spośród osób, których się nie zna.

Pontyfikat Franciszka nie sprzyjał wzajemnemu poznaniu się. W ciągu 12 lat papież tylko dwa razy zwołał wszystkich kardynałów do Rzymu na „konsystorz nadzwyczajny" (w zwyczajnych, organizowanych częściej, udział biorą tylko kardynałowie z kurii). Ponad połowa elektorów z jego nominacji (54) została włączona do kolegium w ostatnich trzech latach. Owszem, podczas kongregacji poprzedzających konklawe mieli okazję wysłuchać swoich krótkich wystąpień, z niektórymi porozmawiać (o ile na przeszkodzie nie stanęła bariera językowa), ale to wciąż za mało, by się dobrze ze wszystkimi poznać.

Z pomocą przychodził im internet (kardynałowie są odcinani od kanałów komunikacji dopiero od momentu wejścia na konklawe). Każdy z jego użytkowników wie, że rezultaty wyszukiwań, jakie pojawiają się na ekranie, nie są ani przypadkowe, ani losowe, ani do końca wiarygodne. Trudno więc ocenić, jaki wpływ na decyzje elektorów będą miały algorytmy (i stojący za nimi władcy świata cyfrowego, którzy dzięki nim niejedne wybory już wygrali). Lecz można śmiało powiedzieć, że weto i ekskluzywa – dawne próby wpływania na konklawe przez możnych tego świata – wydają się grą gentlemanów w porównaniu do fake newsów i oskarżeń, formułowanych wobec niektórych kardynałów w mediach społecznościowych.

Sześć lat temu świat obiegła informacja o projekcie „Red Hat Report", stworzonym za pieniądze biznesu związanego z katolicką amerykańską alt-prawicą. Celem przedsięwzięcia było przygotowanie portalu z informacjami na temat wszystkich członków kolegium, stawiającymi

Zapytaliśmy kardynałów

MAILI BYŁO 135, w sześciu językach. Wysłałem je w ciągu dwóch dni po pogrzebie Franciszka. Dwa pytania jednakowe dla wszystkich (o najważniejsze wyzwania, jakie stoją przed nowym papieżem, i o kryteria jego wyboru), trzecie spersonalizowane, w zależności od kraju, w którym mieszka adresat, i funkcji, jaką pełni.

NIE SPODZIEWAŁEM SIĘ dużego odzewu, traktując całą operację jako dobry sposób na zaktualizowanie adresów kardynałów, w tym tego najważniejszego – do nowego papieża. Przyszły 43 odpowiedzi. W większości z grzeczną odmową, tłumaczoną obowiązkami w związku z nadchodzącym konklawe, kilka z propozycją rozmowy zaraz po jego zakończeniu. Niektóre były umotywowane bardziej szczegółowo: potrzebą czasu na dobre przeżycie żałoby po śmierci Franciszka (kard. Kutwa z Abidżanu, kard. Gregory z Waszyngtonu), wycofaniem się na „duchowe odosobnienie", by w skupieniu i ciszy medytować nad najważniejszymi sprawami Kościoła (kard. Avelin z Marsylii, kard. Collins z Toronto), brakiem dostępu do internetu (sekretarka Marina w imieniu kard. Malcolma Ranjitha z Colombo), unikaniem wywiadów, zaleconym przez kolegium (kard. Grech z Watykanu), zakazem wywiadów, nałożonym przez kolegium (kard. Erdő z Budapesztu), czy brakiem czasu z powodu zbyt dużej liczby udzielanych wywiadów (kard. Puljić z Sarajewa).

KARD. RYŚ, z którym kontaktowałem się przez telefon, przyznaje: „Zasadniczo poproszono nas, byśmy się nie odzywali do mediów" w czasie trwania kongregacji kardynalskich. W takiej sytuacji – dodaje metropolita łódzki – i tak „nie wyszlibyśmy poza rzeczy oczywiste i zbiór banałów".

OTRZYMANE ODPOWIEDZI publikujemy na naszej stronie internetowej. Posłużyły mi także, wraz z innymi ostatnimi wypowiedziami kardynałów dla mediów, do zweryfikowania zawartych w tekście opinii o wyzwaniach, jakie stoją dziś przed Kościołem i papieżem, oraz o kryteriach, jakimi będą kierować się elektorzy podczas konklawe.

©℗ EDWARD AUGUSTYN

w dobrym świetle kardynałów bliskich temu środowisku, a dyskredytującymi takich, z którymi amerykańskiej prawicy nie po drodze. Portal miał być uruchomiony przed kolejnym konklawe. Dyrektor wydawniczy przedsięwzięcia mówił wprost: „Gdybyśmy mieli taki raport w 2013 r., nie byłoby papieża Franciszka".

Kształtowanie narracji

Prace nad „Red Hat Report" zostały zawieszone po ujawnieniu sprawy przez media i krytyce, jaka spadła na autorów projektu – także ze strony amerykańskich biskupów. Ale pomysł, by za pomocą odpowiednio przygotowanych informacji wpływać na decyzje konklawe, nie umarł.

Jedną z pierwszych stron, na jakie trafimy dziś, szukając w internecie wiadomości o kardynałach, jest portal „The College of Cardinals Report" – wysoko pozycjonowany i doskonale przygotowany. Dane na temat członków kolegium nie sprowadzają się jedynie do biografii, ale uwzględniają też ich poglądy w kwestiach moralnych i doktrynalnych. Czterdziestu kardynałom, których szanse oceniane są najwyżej, poświęcono więcej miejsca – ich biogramy są obszerniejsze, zilustrowane przejrzystymi tabelami, z których dowiemy się, co sądzą na temat 10 kluczowych – zdaniem autorów portalu – zagadnień (celibat, diakonat kobiet, błogosławienie par homoseksualnych, antykoncepcja, komunia dla rozwiedzionych, msza łacińska, porozumienie Watykan-Chiny, katastrofa klimatyczna, synodalność, niemiecka Droga Synodalna) i dzięki którym można w łatwy sposób porównywać poszczególnych kandydatów.

Właściciel portalu jest ukryty. Redaktorką naczelną jest Diane Montagne, której pomaga Edward Pentin – dziennikarze akredytowani przy Sala Stampa, krytyczni wobec pontyfikatu Franciszka. Producentem wykonawczym projektu jest Sophia Institute – jedno z czołowych konserwatywnych wydawnictw w USA, promujące tradycyjny katolicyzm. Autorom trudno zarzucić dezinformacje czy kłamstwa (Montagne i Pentin są rzetelnymi dziennikarzami), choć wyraźnie widać, że celem portalu – zarejestrowanego w październiku, a uruchomionego w grudniu 2024 r. – nie jest tylko informacja, ale też odpowiednie ukształtowanie narracji o najważniejszych kandydatach na papieża.

Wielka zagadka

Prób wpłynięcia na przebieg konklawe było więcej.

Pod koniec marca do Sekretariatu Stanu Stolicy Apostolskiej przyszło zawiadomienie o popełnieniu przestępstwa przez sześciu kardynałów, którzy przed laty mieli nie dochować szczególnej staranności w karaniu księży oskarżonych o przestępstwa seksualne. Wśród oskarżanych znalazło się trzech papabilów (Mario Grech z Malty, Péter Erdő z Węgier i Luis Tagle z Filipin). Składająca doniesienie organizacja (The Survivors Network of those Abused by Priest) nie ukrywała, że jej celem jest uniemożliwienie wyboru któregoś z nich podczas konklawe. „Nie twierdzimy, że są winni – mówił Peter Isely, założyciel SNAP – ale należy wszcząć dochodzenie w sprawie ich postępowania". Media, które podjęły temat, informowały, że żaden z kardynałów nie złamał prawa. Ale zarzuty niewątpliwie nadwerężyły ich dobrą opinię.

Z kolei na pięć dni przed rozpoczęciem konklawe w Watykanie rozprowadzana była 16-stronicowa broszura, przedstawiająca „przybliżone stanowiska kardynałów elektorów w sprawie LGBTQ+". Nie wiadomo, kto jest jej autorem – język portugalski sugeruje, że być może dokument powstał w środowisku brazylijskich tradycjonalistów. Nie wiadomo też, na jakich źródłach oparte są zawarte tam informacje (np. kard. Grzegorz Ryś został uznany za „progresistę"). Wiadomo na pewno, że dla wielu osób i środowisk w Kościele najważniejszym kryterium oceny kandydata na papieża jest jego stosunek do osób homoseksualnych, a cień sympatii wobec osób LGBT+ oznacza wyborczą dyskwalifikację.

Wiadomo też, choćby z cytowanych przed chwilą rankingów, że poglądy większości kardynałów są trudne do zweryfikowania. Autorzy wspomnianej broszury doliczyli się wśród elektorów 16 progresistów, 24 tradycjonalistów i aż 93 hierarchów, których opinii nie udało ↦

↦ się poznać. Jeśli więc środowiska zajmujące się od miesięcy, a nawet lat analizowaniem wypowiedzi kardynałów nie są w stanie stwierdzić, jakie większość z nich ma poglądy, to i sami elektorzy wiedzieć tego nie będą.

Cięcie po skrzydłach

Kto zatem ma największe szanse zostać 267. biskupem Rzymu? Teoretycznie każdy. W praktyce – ci, którzy są znani. Historia o nikomu nieznanym kardynale z Argentyny, który został wybrany w 2013 r., już się nie powtórzy. Przede wszystkim dlatego, że nie jest prawdziwa – kard. Bergoglio już na wcześniejszym konklawe, które wybrało Benedykta XVI (2005 r.), zdobył 40 głosów. A w 2013 r. za jego wyborem lobbował sam kard. Giovanni Battista Re, prowadzący konklawe w zastępstwie nieobecnego dziekana (o tym, jak ważna to funkcja, wiemy choćby z oskarowego filmu „Konklawe"). W sytuacji licznego i rozproszonego kolegium rozpoznawalność kandydata to kryterium podstawowe.

Każdy wchodzący na konklawe kardynał ma już w głowie nazwisko, które wskaże w pierwszym głosowaniu. Tak powstaje jedyna prawdziwa lista papabilów. Inne, które znajdziemy w mediach, odwołują się zwykle do odwiecznej walki dwóch frakcji – konserwatywnej i progresywnej. Co ma niewiele wspólnego z rzeczywistością, bo poza nielicznymi wyjątkami trudno przypisać elektorów do takich stronnictw. Kardynałowie „konserwatywni" w jednych kwestiach bywają „postępowi" w innych. Podobnie było z Franciszkiem.

Dlatego z dużym prawdopodobieństwem można przyjąć, że ani czołowi konserwatyści (jak Raymond Burke, Willem Eijk, Gerhard Müller czy Robert Sarah), ani sztandarowi progresiści (Reinhard Marx, Jean-Claude Hollerich czy Blase Cupich) nie mają szans na wybór. Zwłaszcza ci, którzy krytykowali Franciszka lub prowadzili z nim publiczny spór.

Przy tak zróżnicowanym kolegium wybór będzie kompromisowy – papieżem zostanie kardynał o umiarkowanych poglądach. A jeśli nawet konserwatywny, np. w kwestiach doktrynalnych i moralnych, to postępowy w sprawach duszpasterskich, społecznych, ekologicznych i synodalnych. Na listach papabilów znajdziemy co najmniej kilku takich kandydatów (Anders Arborelius ze Szwecji, Fridolin Besungu z Demokratycznej Republiki Konga, Péter Erdő z Węgier czy Malcolm Ranjith ze Sri Lanki).

Kto nie zostanie papieżem

Skoro kategoria „konserwatywny-progresywny" jest błędna, może warto inaczej zadać pytanie: czy z konklawe wyjdzie Franciszek II, czy może Benedykt XVII? Zarówno w sensie stylu sprawowania urzędu (prostota i spontaniczność czy erudycja i precyzja), jak też wizji Kościoła (wychodzący na zewnątrz czy wskazujący drogę do środka) i najważniejszych zadań pontyfikatu (angażowanie się w sprawy społeczne czy troska o doktrynę; otwieranie nowych procesów czy doprowadzanie do końca starych). Wydaje się jednak, że to także fałszywa alternatywa, a przynajmniej że nie stanie się istotnym kryterium wyboru. Zdecydowana większość elektorów (104) to oczywiście „kardynałowie Franciszkowi", co jednak nie znaczy, że obca im jest tęsknota za porządkiem i jasnymi regułami, dającymi poczucie bezpieczeństwa, zauważalna coraz mocniej w Kościele i w świecie.



GEISLER-FOTOPRESS GMBH / / ALAMY / BE&W

Biały dym nad Kaplicą Sykstyńską – znak, że kardynałowie wybrali nowego papieża. Watykan, 13 marca 2013 r.

Jak wybierano papieża

PRAWO ELEKCJI PAPIESKIEJ przyznano kardynałom dopiero w XI w. W pierwszym tysiącleciu biskupa Rzymu wybierał najpierw lud i duchowieństwo miasta, później władza państwowa (cesarze), jeszcze później rzymskie rody (a przez sześć dekad X w. nawet dwie wywodzące się z nich matrony o wątpliwej reputacji – to okres tzw. pornokracji na Stolicy Piotrowej).

NA SOBORZE LATERAŃSKIM w 1059 r. ustalono, że prawo wyboru papieży przysługuje wyłącznie kardynałom, którzy coraz częściej podejmowali decyzję „pod kluczem" (*cum clave*), czyli w odcięciu od świata – dobrowolnym lub przymusowym. Zwyczaj ten unormował przepisami Grzegorz X w 1274 r., wybrany w czasie słynnej elekcji w Viterbo, po 33 miesiącach więzienia kardynałów przez prefekta miasta (by zmusić elektorów do kompromisu, zmniejszano im racje żywieniowe i rozebrano dach pałacu).

JEDNĄ Z ZASAD reformy Grzegorza X była „reguła miejsca": wyboru dokonywano tam, gdzie zmarł poprzedni papież. Nie zawsze był to Rzym – elekcje przeprowadzano w różnych miastach Italii, Francji (najwięcej w Awinionie podczas tzw. niewoli papieży) i Niemczech (na soborze w Konstancji, w 1415 r., gdzie papieża wybierali nie tylko kardynałowie – m.in. pierwszy Polak, abp Mikołaj Trąba). Po upadku Państwa Kościelnego (1870 r.) konklawe organizowano tylko w Watykanie, w największym pomieszczeniu Pałacu Apostolskiego – Kaplicy Sykstyńskiej.

W XIII W. do grona kardynałów zaczęto włączać biskupów z innych miast europejskich. W 1449 r. w konklawe brał udział pierwszy polski kardynał, Zbigniew Oleśnicki z Krakowa. W XIX w. pojawili się pierwsi kardynałowie z Nowego Świata – Ameryki Północnej (1875), Australii (1885), Ameryki Południowej (1905). Do II wojny światowej kardynałowie z Europy stanowili blisko 90 proc. kolegium kardynalskiego.

W 1903 R. po raz ostatni skorzystano z prawa „weta i ekskluzywy" (sprzeciw lub wykluczenie kandydata na wniosek monarchy Hiszpanii, Francji lub Austrii). W imieniu cesarza Franciszka Józefa weto zgłosił krakowski kardynał Jan Puzyna.

©℗ EDWARD AUGUSTYN

Można jedynie przewidywać, że ich głosy skierują się bardziej w stronę duszpasterza niż profesora czy administratora. Bo nawet myśląc o wyjściu z postfranciszkowego chaosu doktrynalnego i prawnego, będą szukać kandydata bardziej wśród biskupów, którzy sprawnie zarządzali diecezją, niż urzędników rzymskiej kurii. Co przekreśla szanse choćby kard. Pietra Parolina, sekretarza stanu, i kilku innych obecnych lub byłych prefektów i sekretarzy dykasterii.

Skoro jednak mówimy o wyborze kompromisowym, możemy zostawić w grze kardynałów, którzy przeszli przez oba etapy – kurialny i duszpasterski (jak Mario Grech, Luis Tagle czy Malcolm Ranjith).

Drogą eliminacji możemy też wykluczyć 23 kardynałów z Ameryki Łacińskiej. W ostatnich latach nie brakowało głosów, że za wiele problemów pontyfikatu Franciszka odpowiadała jego „latynoska mentalność" (mówił o tym choćby kard. Müller we wspomnianym wywiadzie). I nawet elektorzy wolni od tego rodzaju stereotypów mogą uznać, że warto dla odmiany poszukać papieża w innym regionie świata, dla podkreślenia powszechności i uniwersalności Kościoła.

W podobny sposób możemy wyeliminować Polaków (4), Niemców (3) i Włochów (19), którzy mieli już „swoich" papieży, a także jezuitów (4), bo wątpliwe, by kardynałowie chcieli oddać losy Kościoła temu samemu zakonowi na kolejny pontyfikat (zwłaszcza gdy uważają, że powodem wielu problemów poprzedniego była „jezuicka natura" Franciszka).

Za młodzi na sen

Zapytajmy jeszcze, czy jest możliwe, by z konklawe wyszedł Jan Paweł III? A więc papież młody (Wojtyła w chwili wyboru miał 58 lat), któremu kardynałowie przekażą stery Kościoła na kolejne ćwierć wieku.

Wydaje się to zbyt ryzykowne. Doświadczenie trzech ostatnich pontyfikatów uczy, że zmiana kierownictwa dodaje Kościołowi sił i świeżości. Perspektywa – powiedzmy – 10 czy 15 lat pozwala już myśleć o przeprowadzeniu reform, ale nie budzi obaw przed zabetonowaniem Kościoła i stagnacją.

Pół wieku temu tzw. oczekiwana długość życia dla 60-letniego mężczyzny wynosiła (w Europie) 16 lat. Dziś są to 22 lata. Trzech ostatnich papieży dożyło na urzędzie wieku 85-88 lat. Można więc przyjąć, że w rozpoczynających się właśnie wyborach kandydaci poniżej 70. roku życia nie będą brani pod uwagę. Jest wśród nich wielu popularnych papabilów, jak Pierbattista Pizzaballa (60 lat), Jean-Paul Vesco (63), Jean-Marc Avelin (67), Fridolin Besungu (65), Luis Tagle, Mario Grech i Stephen Brislin (68 lat). Niejeden z nich byłby dobrym papieżem, ale będzie musiał jeszcze poczekać.

Zostaje grupa 76 elektorów, którzy przekroczyli granicę 70 lat życia. To w niej – prawdopodobnie – ukrył się przyszły papież. Na samym początku listy znajdują się kardynałowie Matteo Zuppi i Pietro Parolin (70), nieco dalej Péter Erdő i Lopez Romero (73), Anders Arborelius (75), Charles Bo (76), Malcolm Ranjith (77).

Kryterium wiekowe zawsze jest brane pod uwagę, choć oczywiście granicą nie musi być wcale 70 lat. Wydaje się jednak, że kardynałowie będą woleli kandydata starszego niż młodszego. Może nie „papieża przejściowego", ponad 80-letniego (choć i w tej grupie znalazłoby się kilku świetnych kandydatów, np. o. Timothy Radcliffe, były generał dominikanów, wybitny kaznodzieja, znany z rekolekcji, jakie przez dwa lata głosił dla uczestników synodu o synodalności – choć z pewnością nie do zaakceptowania ze względu na swoje zbyt liberalne poglądy).

Chudy i gruby

Wystarczy połączyć kropki, albo raczej powykreślać niepotrzebne nazwiska z tekstu (Latynosów, Włochów, kurialistów, radykałów itd.), by dowiedzieć się, kto będzie następnym papieżem. Albo by zobaczyć, jak bardzo autor się mylił. Bo przecież kardynałowie mogą dokonać wyboru zgodnie ze starym włoskim powiedzeniem, że po grubym papieżu przychodzi chudy. Bardzo prawdziwym, bo przecież nie chodzi wcale o wygląd. Ale o to, że kolejny na pewno będzie inny.

©℗ EDWARD AUGUSTYN

TYGODNIK POWSZECHNY ■ **www.TygodnikPowszechny.pl**

Redaktor naczelny Piotr Mucharski
Redaktor senior ks. Adam Boniecki
Zastępcy redaktora naczelnego: Ewelina Burda, Michał Kuźmiński
Dyrektorka ds. rozwoju: Monika Lech
Dyrektor artystyczny Marek K. Zalejski
Wiara: Edward Augustyn (kierownik), Monika Białkowska, Maciej Müller, ks. Jacek Prusak SJ, Zuzanna Radzik, Piotr Sikora, Artur Sporniak
Kraj: Anna Goc, Marek Kęskrawiec (kierownik), Michał Okoński, Marek Rabij, Piotr Śmiłowicz, Przemysław Wilczyński
Świat: Patrycja Bukalska, Wojciech Jagielski, Anna Łabuszewska, Wojciech Pięciak (kierownik)
Historia: Wojciech Pięciak
Nauka: Wojciech Brzeziński, Agata Kaźmierska, Łukasz Kwiatek (kierownik), Łukasz Lamża
Kultura: Tomasz Fiałkowski, Katarzyna Kubisiowska, Piotr Mucharski (kierownik), Monika Ochędowska, Anita Piotrowska

Fotoedycja: Grażyna Makara (kierowniczka), Katarzyna Bułtowicz, Jacek Taran
Wydanie internetowe: Grzegorz Bogdał, Ewelina Burda (kierowniczka), Maciej Müller, Monika Ochędowska, Katarzyna Rutkowska, Patryk Stanik, Oliwia Świątek
TP Typografia: Agnieszka Cynarska-Taran, Zuzanna Kardyś, Andrzej Leśniak (kierownik)
Korekta: Katarzyna Domin, Sylwia Frołow, Magdalena Pawłowicz, Maciej Szklarczyk (kierownik)
Promocja: Michał Sowiński (kierownik)
Marketing i sprzedaż: Marek Bednarz, Sławomir Bieniek, Mateusz Gawron, Anna Jagłowska (kierowniczka), Lech Krupa, Anna Pietrzykowska
Redaktor wydań specjalnych: Michał Okoński
Felietony: Wojciech Bonowicz, Paweł Bravo, Olga Drenda, Eliza Kącka, Stanisław Mancewicz, Dorota Masłowska, Bartosz Minkiewicz, Zuzanna Radzik, Tomasz Stawiszyński
Dyrektor ds. Technologii: Bartłomiej Swojak
Dział IT: Łukasz Bieńkowski, Paweł Maliszewski, Piotr Muszyński

Stale współpracują: Elżbieta Adamiak, Klaus Bachmann, Marek Bieńczyk, Jan Błaszczak, Kalina Błażejowska, Wojciech Bonowicz, Beata Chomątowska, s. Barbara Chyrowicz, Justyna Dąbrowska, Bartek Dobroch, ks. Andrzej Draguła, Jakub Dymek, Jarosław Flis, Andrzej Franaszek, Anna Golus, Łukasz Grajewski, ks. Tomáš Halík, ks. Michał Heller, Bartosz Kabała, Eliza Kącka, Marcin Kędzierski, Bartek Kieżun, Piotr Kłodkowski, Wojciech Konończuk, Małgorzata Kordowicz, Piotr Kosiewski, Dariusz Kosiński, Dorota Kozińska, Ryszard Koziołek, Magdalena Łanuszka, Szymon Łucyk, Józef Majewski, Paweł Marczewski, Rafał Matyja, Paweł Musiałek, Marcin Napiórkowski, Małgorzata Nocuń, Magdalena Nowicka-Franczak, Piotr Oleksy, Olaf Osica, o. Wacław Oszajca, Zbigniew Parafianowicz, Piotr Paziński, Karolina Przewrocka-Aderet, Jakub Puchalski, Adam Robiński, Dariusz Rosiak, kard. Grzegorz Ryś, Tadeusz Sławek, Małgorzata Solecka, Andrzej Stasiuk, Krzysztof Strachota, Władysław Stróżewski, Marcelina Szumer-Brysz, Marcin Tusiński, Michał Walkiewicz, Piotr Wójcik, Marta Zdzieborska, Marcin Żyła

WYDAWCA Tygodnik Powszechny Sp. z o.o.
Zarząd: Jacek Ślusarczyk (prezes), Piotr Mucharski (wiceprezes), Edyta Płachta
Asystentka zarządu ds. prawnych: Sylwia Ligierska
Adres wydawcy i redakcji: ul. Dworska 1C/LU 3-4 30-314 Kraków, tel. 668 477 039 redakcja@TygodnikPowszechny.pl
Reklama, promocja: tel. 602 590 416 reklama@TygodnikPowszechny.pl promocja@TygodnikPowszechny.pl
Prenumerata: tel. 668 479 075 prenumerata@TygodnikPowszechny.pl
Projekt graficzny: Marek Knap i Marek Trojanowski

Druk: Walstead Kraków Sp. z o.o.

REKLAMA

S-NET GRUPA TOYA
S-NET zapewnia wsparcie technologiczne dla „Tygodnika Powszechnego"

■ REDAKCJA NIE ZWRACA TEKSTÓW NIEZAMÓWIONYCH ORAZ ZASTRZEGA SOBIE PRAWO ICH REDAGOWANIA I SKRACANIA. REDAKCJA NIE ODPOWIADA ZA TREŚĆ OGŁOSZEŃ. REDAKCJA MA PRAWO DO ODMOWY PUBLIKACJI OGŁOSZEŃ.

■ **PRAWA AUTORSKIE I MAJĄTKOWE DO WSZYSTKICH MATERIAŁÓW** zamieszczonych w „Tygodniku Powszechnym" należą do Wydawcy oraz ich Autorów i są zastrzeżone znakiem © na końcu artykułu. Materiały oznaczone na końcu dodatkowym znakiem ℗ mogą być wykorzystane przez inne podmioty tylko i wyłącznie po uiszczeniu opłaty, zgodnie z Cennikiem i Regulaminem korzystania z artykułów prasowych, zamieszczonymi pod adresem www.TygodnikPowszechny.pl/nota-wydawnicza.

„Tygodnik Powszechny" dostępny dla osób niewidomych i słabowidzących! Więcej informacji na powszech.net/dostepny

KRAJ

PARADOKS STANOWSKIEGO

Dla jednych talent i wizjoner na miarę Mariusza Waltera, dla innych medialny przemocowiec, który do sukcesu doszedł, schlebiając niskim instynktom gawiedzi. Co kariera szefa Kanału Zero mówi o polskich mediach i polityce?

PIOTR ŚMIŁOWICZ, PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI

Scena pierwsza, początek kampanii – Krzysztof Stanowski wygłasza „orędzie do narodu". Na tle flag (w tym niemieckiej), w dobrze skrojonym garniturze zwraca się do obywateli „w sprawach wagi najwyższej". Ale już w pierwszej minucie pod jego mowę podłożony zostaje głos gen. Jaruzelskiego („Ojczyzna nasza znalazła się nad przepaścią" itd.), zaś pod koniec Stanowski zaczyna... zrzucać z siebie górną część garderoby, by w puencie wystąpić w koszulce Leo Messiego.

Scena numer dwa, finisz kampanii. W debacie prezydenckiej Stanowski pokazuje do kamery zieloną teczkę. W środku, jak mówi, są kartki od przedszkolaków z prośbą, by ratować ich koleżankę, której leczenie nie jest finansowane przez państwo. 2 mln udało się zebrać, ale fakt ten – zaznacza kandydat – obciąża państwo i ministrę zdrowia.

Który Stanowski jest prawdziwy: błazen czy sumienie polskiej sceny politycznej? I po co w ogóle wystartował?

Stańczyk czy krypto-PiS-owiec?

– Jego start jest ośmieszaniem państwa, skoro mówi, żeby na niego nie głosować. To zupełnie inne podejście niż nawet Jana Pietrzaka przed laty – ocenia marszałek senior Sejmu Marek Sawicki z PSL.

Pytani o Stanowskiego inni politycy koalicji zaliczają go do kategorii „folklor". Mariusz Witczak z PO ocenia, że jego start ma charakter satyryczno-biznesowy i jest nastawiony na zbudowanie szerszej rozpoznawalności. Z kolei politolog prof. Jacek Wódz zauważa, że tacy kandydaci jak Stanowski pojawiają się i w bardziej dojrzałych demokracjach, np. francuskiej. – Tam zyskali nawet specjalne miano: „kandydatów z własnej fantazji" – dodaje prof. Wódz. – Pytanie tylko, czy pozostali kandydaci powinni czynić z niego prawdziwego aktora politycznego.

Krzysztof Łapiński, ekspert ds. PR i były rzecznik prezydenta Andrzeja Dudy, przyznaje, że Stanowski traktuje start w wyborach jak autopromocję, zarazem jednak „nakłuwa" balon polityki i upuszcza z niej nieco powagi. – Zastrzega, że prezydentem nie chce być, i w tym jest uczciwy, natomiast zwraca uwagę na słabości systemu, takie jak wiecznie niespełniane obietnice – uważa Łapiński, którego zdaniem Stanowski to, zachowując proporcje, Stańczyk współczesnego polskiego życia publicznego.

W rozmowach, zwłaszcza z politykami, pojawia się jeszcze jeden wątek. Jarosław Urbaniak z PO uważa, że Stanowski odgrywa rolę tzw. flary – kogoś, kto ma przyciągać wyborców niezdecydowanych, którzy finalnie w drugiej turze poprą Nawrockiego.

Politycy PiS częściowo to potwierdzają. – Wykonuje dobrą robotę, jest nawet lepszy od nas w demaskowaniu Trzaskowskiego. Równocześnie jest niesterowalny – mówi posłanka PiS. W ugrupowaniu Kaczyńskiego podobał się zwłaszcza frag-



ANDRZEJ IWAŃCZUK / REPORTER

ment debaty w Telewizji Republika, gdy Stanowski w prześmiewczej konwencji przeczytał fragment wywiadu rzeki z Trzaskowskim, w którym ten opowiadał o pływaniu z rekinami.

Politolog prof. Maciej Górecki z UW także uważa, że Stanowski jest stronniczy, bo krytykuje przede wszystkim Trzaskowskiego. – Czasem udaje, że atakuje PiS czy całą klasę polityczną, ale tak naprawdę sytuuje się po stronie konserwatywnej – mówi prof. Górecki. Ekspert od wizerunku Mirosław Oczkoś jest wręcz zdania, że decyzja o starcie Stanowskiego zapadła w porozumieniu z PiS. Może o tym świadczyć fakt, że bodaj najczęściej poruszanym przezeń tematem w debatach jest zmiana poglądu Trzaskowskiego i Platformy w sprawie bariery na granicy polsko-białoruskiej oraz migrantów, podsyłanych przez Aleksandra Łukaszenkę.

Od niektórych polityków słyszymy nawet hipotezę, że właściciel Kanału Zero swój start mógł uzgodnić z szefem gabinetu prezydenta Marcinem Mastalerkiem, którego zna od dawna. I że wszystko razem ma być elementem szerszego planu: jeśli start Stanowskiego okaże się sukcesem, na bazie jego, a także poparcia Mentzena, można by zbudować nowy prawicowy ruch. Którego PiS – albo to, co po nim zostanie – byłby jednym z elementów.

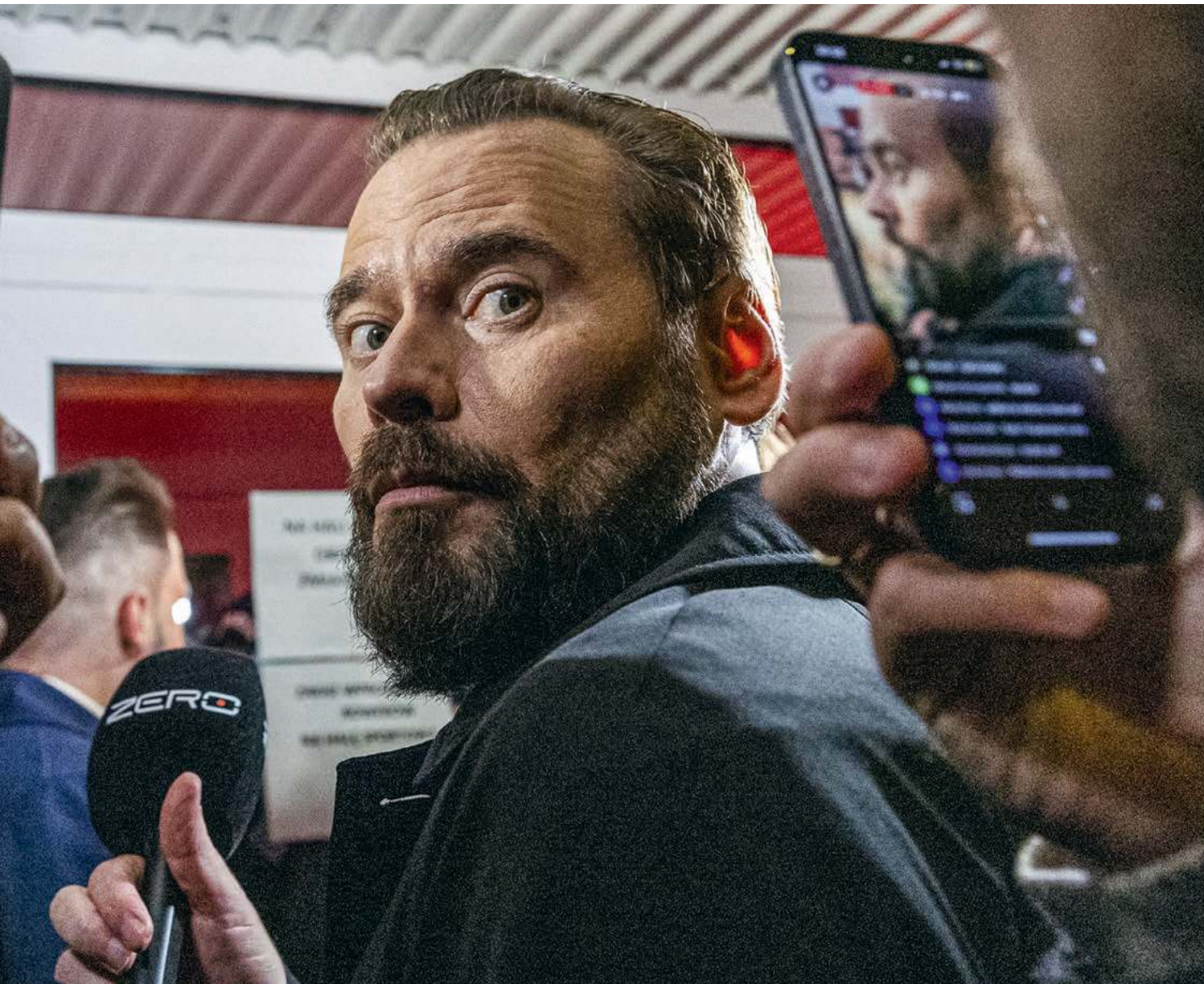
Sam Stanowski w rozmowie z „TP" tego rodzaju hipotezy zbywa śmiechem. – Chodziło wyłącznie o zaspokojenie dziennikarskiej ciekawości – mówi. – Ja naprawdę marzę o tym, by dostać jak najmniejsze poparcie. Wysoki wynik, np. pięć procent, uznałbym za niebezpieczny. W tym sensie, że za jego sprawą w głowach ludzi, w tym polityków, jeszcze mocniej pojawiałaby się wątpliwość: „A może za tym stoi rosnący w siłę polityczny ruch?".

Tych pięciu procent nie da się wykluczyć – w końcu kariera Stanowskiego od początku obfituje w zwroty akcji, których nie mógł się spodziewać nawet on sam.

Filozofia siekania

Jest druga połowa lat 90., dziennik „Przegląd Sportowy" przyjmuje do pracy uzdolnionego 14-latka. Na początek będzie odbierał telefony i pisał relacje z meczów, choć szybko da się też poznać jako złośliwy recenzent środowiska piłkarskiego. Pokazuje to pochodząca z tamtych czasów anegdota. Na obiektach Legii zaczepia Stanowskiego ówczesny ↦

Krzysztof Stanowski przed debatą telewizyjną w Końskich. 11 kwietnia 2025 r.



↦ dyrektor sportowy klubu Władysław Stachurski. „Widzisz tę tuję? Ładna, prawda?" – pyta. „No, ładna" – pada odpowiedź. „A wiesz, co by o niej napisał red. Stanowski? – puentuje słynny trener. »Dlaczego, kurwa, tylko jedna, a nie dwie!«".

Młody red. Stanowski ochoczo wchodzi w konflikty. Po latach będzie zestawiany ze znanymi fighterami polskiego dziennikarstwa sportowego – Januszem Atlasem i Pawłem Zarzecznym. Pokazują mu, „że nie trzeba wstrzymywać pióra, a nawet można piórem kogoś posiekać na kawałki. To dość bliska mi filozofia" (wypowiedź dla magazynu „Press"). Zarzeczny, tak przynajmniej twierdzą nasi rozmówcy ze środowiska dziennikarzy sportowych, otrzyma od prezydenta Dudy pośmiertne odznaczenie właśnie dzięki wpływom Stanowskiego.

Głód „wolności siekania" stoi też najwyraźniej za założeniem w 2008 r. portalu Weszlo.com, który w późniejszych latach stanie się częścią grupy medialnej. „Dla nas od początku nie było ważne, czy piłkarz się obrazi, czy zdenerwuje [...] Trzeba było zerwać się z tych kajdan, żeby założyć Weszlo.com" – mówił Stanowski „Pressowi".

Jeden z doświadczonych dziennikarzy, który zgodził się porozmawiać z nami anonimowo, wspomina zdarzenie z tamtych lat. Dzwoni, przedstawiając się, do trenera z ekstraklasy, a ten w odpowiedzi go... wyzywa: „Won, nie będę z wami rozmawiał!". Po czasie oddzwania, tym razem z przeprosinami: „Nie mam wpisanego pana telefonu i myślałem, że to te sk....syny z Weszło się pod pana podszywają. Oni są zdolni do wszystkiego".

W latach dwutysięcznych powstają głośne książki Stanowskiego o piłkarzach: Wojciechu Kowalczyku (2003), Andrzeju Iwanie (2012) czy Grzegorzu Szamotulskim (2013). Dziś przestrzeń internetowa pełna jest entuzjastycznych recenzji tych pozycji, i choć wiele z nich to komplementy samego Stanowskiego pod własnym adresem (szef „Zera" lubi się chwalić głównie nakładami), to dobre zdanie o nich wygłaszają też inni.

– Talent – mówi krótko Marcin Meller, dziennikarz do niedawna współpracujący ze Stanowskim, gdy pytamy, czy właściciel „Zera" swoją wczesną karierę zawdzięczał uzdolnieniom, czy agresji. – Kupiłem jego książkę o Iwanie i od razu napisałem o tym felieton do „Newsweeka". To była najlepsza sportowa książka, jaką kiedykolwiek czytałem.

– A co z tą agresją? – pytamy Mellera.

– Powiem tak, ja bym w niektórych momentach odpuścił, ale to nie ja mam miliony wyznawców w internecie. Z drugiej strony, dawny Tomasz Lis, Rafał Ziemkiewicz czy Jacek Kurski byli mniej jadowici? Mówienie o kimś, kto walczy w klatce MMA, że zadaje za dużo ciosów, ma ograniczony sens.

„Praktyka skrajnie szkodliwa"

Twarz, mimika. Na ten element uwagę zwraca medioznawca prof. Wiesław Godzic, gdy pytamy o składowe „fenomenu Stanowski". – Chodzi mi o ten jego uśmieszek zwiastujący satyryczne podejście do rzeczywistości – precyzuje. – Ale Stanowski ma też przynajmniej jedną ważną umiejętność: prowadzenia rozmowy. Potrafi nadać jej formę niby-pogawędki, nad którą jednak panuje, i w ramach której zadaje niewygodne pytania.

Twarz Stanowskiego na dobre rozpoznawalna staje się w roku 2020, gdy rusza Kanał Sportowy. Pierwszą polską telewizję internetową o tym profilu zakłada czterech dziennikarzy sportowych: poza nim Mateusz Borek, Michał Pol i Tomasz Smokowski. W ten sposób Stanowski współtworzy kolejny – po pojawieniu się Weszlo.com – przełom na polskim rynku medialnym. Następnym będzie Kanał Zero, który stworzy po konflikcie z trójką kolegów.

Właśnie z KS pochodzą jego najgłośniejsze produkcje, pokazujące jaskrawo „paradoks Stanowskiego". Medialnej postaci, która próbuje ratować honor mediów, a równocześnie ich standardy dewastuje. Np. jego kilkuodcinkowy materiał o Natalii Janoszek zdemaskuje zmyśloną karierę rzekomej gwiazdy Bollywood i obnaży wielkie media, które się na tę „karierę" nabrały, ale też będzie ociekał agresją. Podobnie inne seriale. Stanowski to rzuca obelgami („człowiek mem"; „gówno widział w piłce nożnej"), to drze na wizji recenzowaną przez siebie książkę Małgorzaty Domagalik o trenerze Jerzym Brzęczku.

W przypadku Janoszek wrażenia na Stanowskim nie zrobią nawet jej wyznania, że po jego materiałach miała myśli samobójcze. „Ja też miałem myśli samobójcze, gdy słuchałem jej setnej zmyślonej historii. W myślach samobójczych mamy więc 8:8 i możemy iść do przodu bez tych ckliwych bzdur" – rzuca na platformie X.

Podobnym tropem podąża w serialu o wspomnianej książce Domagalik

OGŁOSZENIE

Zapraszamy na spotkania Klubów „Tygodnika Powszechnego"

REZERWUJ CZAS!

WROCŁAW, czwartek 8 maja, godz. 18.00,
spotkanie dyskusyjne z prof. Zofią Zarębianką
i dr. Emilem Pasierskim, „Unde malum. Tajemnica zła
według Miłosza" prowadzenie: Aleksandra Klich.
Klub PROZA, Wrocławski Dom Literatury
(ul. Przejście Garncarskie 2)

TRÓJMIASTO, czwartek 15 maja, godz. 18.00,
spotkanie dyskusyjne z Aleksandrą Bejowicz
i ks. dr. Krzysztofem Niedałtowskim,
„Gdańskie cnoty i niecnoty",
prowadzenie: Weronika Uziak.
Biblioteka Manhattan (Gdańsk Wrzeszcz)

WARSZAWA, czwartek 15 maja, godz. 18.00,
spotkanie z udziałem red. Zbigniewa Nosowskiego,
ks. prof. Andrzeja Perzyńskiego i Mirosława Wlekłego,
„Jaki papież? Znaki czasu czy czas znaków",
prowadzenie: Maria Rościszewska.
Sala KIK (ul. Freta 20/24A)

ZESKANUJ I SPRAWDŹ

KLUB TP KLUBTYGODNIKA.PL

jt STOWARZYSZENIE IM. JERZEGO TUROWICZA

więcej informacji na **KlubTygodnika.pl/wydarzenia**

(zarzuca jej, że jest nudna, źle napisana i panegiryczna): „To jest książka o Pani urojeniach [...] To jest książka, nad którą naprawdę ktoś powinien się pochylić i zastanowić się, w jakim stanie psychicznym się Pani aktualnie znajduje".

– Wypowiedzi te w formie przypominają anonimowe internetowe hejty. One wiele nam mówią nie tylko o autorze, ale też o czasach, w jakich żyjemy – uważa prof. Bogdan de Barbaro, psychiatra i psychoterapeuta. I dodaje: – Pokazują, że oswoiliśmy się z niegodziwymi inwektywami, uznając, że to coś dopuszczalnego. Tymczasem takie komunikaty nie tylko stygmatyzują adresatów, ale także – pośrednio – poniżają osoby w kryzysie psychicznym. Przecież Stanowski, imputując komuś objawy choroby, nie dokonuje diagnozy psychiatrycznej, co zresztą też byłoby niedopuszczalne. On z przejawu choroby czyni unieważniającą obelgę. Tę praktykę, i jako obywatel, i jako psychiatra uważam za skrajnie szkodliwą. Nienawiść jest niezdrowa i dla adresatów, i dla nadawców.

Stanowski rozdaje razy, samemu pozostając na ciosy odpornym. Przyczyna jest prosta: zręcznie operuje autoironią, za pomocą której rozbraja zarzuty. Gdy np. krytycy wyciągają mu wygłoszoną lata temu opinię o Robercie Lewandowskim, że „napastnik bez dryblingu wyżej dupy nie podskoczy", ten odpowie: „Ja w życiu miałem tyle nietrafionych prognoz, że można by nimi wytapetować kibel, i to nie taki domowy, tylko na dworcu w dużym mieście".

Podobnie rozmawia z nami. Pytany, czy żałuje jakichś publicznych słów, odpowiada, że na pewno tak, ale konkretnych sytuacji nie pamięta. Gdy przykłady (nawiązanie do próby samobójczej Janoszek i do zdrowia Domagalik) podajemy mu sami, przyznaje: – Druga wypowiedź być może była przekroczeniem. A co do pani Janoszek, nie żałuję. Zastosowała charakterystyczny dla wielu celebrytów szantaż emocjonalny, na który odpowiedziałem, używając tej samej karty – ucina Stanowski, a gdy zauważamy, że psychiatryczne etykiety mogą szkodzić wielu ludziom, odpowiada:

– Kiedyś powiedzieć na kogoś, kto robił coś dziwnego „ty wariacie", było normalne. Teraz może poczuć się urażony. Rozumiem to i przyjmuję, że tego rodzaju delikatności mi czasem brakuje.



PAWEŁ WODZYŃSKI / EAST NEWS

MARCIN MELLER, DZIENNIKARZ:

Stanowski ma autentyczną pogardę dla zakłamania świata lewicowo-liberalnego. Z jednej strony nie kryje doń niechęci, z drugiej go nie rozumie. To napęd wielu jego zachowań.

Według prof. Godzica, publiczna agresja Stanowskiego to medialny konstrukt: – Widziałem sporo osób walczących ze sobą, a na ich twarzach łatwo było dostrzec autentyczną zaciekłość. Stanowski jest tu raczej podobny do Kuby Wojewódzkiego, który przybiera maskę hejtera, prywatnie pozostając inną osobą.

Jego pogląd to Kanał Zero

Jakie ma poglądy? Sporo mówi o tym opowiadana nam przez Marcina Mellera historia ich spotkań. – Pierwsze było niedoszłe, gdy zaprosiłem go do prowadzonego przeze mnie w TVN24 programu „Drugie śniadanie mistrzów" – opowiada Meller, który następnie przeniósł swój program do „Zera", by na czas kampanii go zawiesić. – Zostałem przed programem wezwany na dywanik, gdzie usłyszałem, że „najwyższe standardy stacji" nie pozwalają na zapraszanie „kogoś takiego". Próbowałem wymusić uzasadnienie, ale niczego przekonującego nie uzyskałem. Prawda jest taka, że oni go już wtedy serdecznie nie cierpieli.

– Skutecznie spotkaliśmy się w Kanale Sportowym, gdy to on zaprosił mnie – kontynuuje Meller. – Głośno było akurat o Piotrze Krasce, jego jazdach samochodem bez prawa jazdy i niepłaceniu podatków. No i oczywiście: pojawiam się u Stanowskiego, a jedno z pierwszych pytań brzmi: „A wy tam w TVN wszyscy łamiecie prawo?". Spociłem się, odpowiadając, bo z jednej strony nie mogłem robić z siebie idioty, mówiąc, że sprawa Kraski to „prawicowy spisek", a z drugiej obowiązywała mnie jakaś elementarna lojalność. Więc powtarzałem jak mantrę, niczym ten słynny już na YouTubie rzecznik kieleckich wodociągów, że ja podatki płacę i mam samochodowe dokumenty. A Stanowski swoim zwyczajem powtarzał pytanie.

Te dwie sceny ilustrują nie tyle poglądy szefa „Zera", co rozkład jego sympatii i antypatii. – Ma autentyczną pogardę dla zakłamania świata lewicowo-liberalnego – mówi Meller. – Z jednej strony nie kryje doń niechęci, z drugiej go nie rozumie. To napęd wielu jego zachowań.

Te niekoniecznie rymują się z jego faktycznymi poglądami. Gdy w rozmowie przypisujemy mu kojarzone z Konfederacją skrajnie liberalne zapatrywania na gospodarkę, ilustrując to jego internetowym sporem z lewicowcem i poetą Jasiem Kapelą o państwowe dotacje dla ludzi kultury, odpowiada: – Ja mam zawsze pogląd przeciwny do rozmówcy. Tak naprawdę jestem za wolnością gospodarczą, ale też za tym, by państwo wspierało najsłabszych.

– A pana poglądy obyczajowe? – dopytujemy. – Związki partnerskie?

– W ogóle mi nie przeszkadzają – odpowiada.

– Adopcja dzieci przez pary jednopłciowe?

– To mi przeszkadza. Zakorzeniło się we mnie przekonanie, iż dziecko powinno mieć rodzinę z tradycyjnymi wzorcami postaw: męskim i damskim.

– Aborcja?

– Nie jestem za bezmyślnym usuwaniem ciąży, ale też nie jestem za tym, by cały aparat państwowy biegał za osobami, które widzą to inaczej.

Meller: – Jego dwa główne poglądy to „Krzysztof Stanowski" i „Kanał Zero". W tym sensie jest podobny np. do Zuckerberga i innych, dla których wartością jest rozwój ich firm.

Zakłady na Stanowskiego

Co zyskał na kampanii? – Udało mi się być w miejscach i zaobserwować rzeczy, których normalnie dziennikarz nie ma szans zweryfikować, a które mówią dużo o tym, na ile mamy do czynienia ↦

↦ z uczciwymi wyborami – mówi. – Na każdym etapie tej przygody natrafiałem na paradoksy. Np. fakt, że kupowany głos daje w czasie zbierania podpisów gwarancję, iż każda rubryczka będzie prawidłowo wypełniona, a głos zdobyty uczciwie już nie, bo sporo tych osób popełnia błędy przy wypełnianiu.

Według Marcina Mellera odpowiedź na pytanie, kto na tej kampanii zyskał, jest oczywista: to Stanowski. – Gdy inne media plączą się we własne nogi zobowiązań politycznych, on punktuje. Np. organizując debaty, w których uczestniczą wszystkie strony sporu, albo zadając władzy pytania, których inni nie zadają.

Choćby z tego powodu Stanowski zostanie zapewne, wbrew hipotezom polityków i ekspertów, przy świecie mediów. Nadal próbując je naprawiać, i nadal je dewastując. Co bardziej? – odpowiedź na to pytanie zależy od tego, kogo zapytać.

Marcinowi Mellerowi Stanowski kojarzy się z Mariuszem Walterem, założycielem TVN i przedsiębiorcą. – Tak jak Walter wizjonersko trafił w moment ze stworzeniem tradycyjnej telewizji, tak Krzysztof trafił z TV internetową.

Dwaj doświadczeni dziennikarze sportowi nie wypowiadają się o Stanowskim przychylnie. Szef „Zera" to dla nich nieodrodne dziennikarskie dziecko Pawła Zarzecznego – mającego według nich za nic zasady, dążącego po trupach do celu. O Stanowskim mówią: inteligentny, znający wszystkich, których znać należy, kiedyś świetny dziennikarz sportowy, mający talent do robienia pieniędzy, ale też cynik nieznający pojęcia konfliktu interesów, uwikłany w związki z firmami bukmacherskimi. Właśnie ten zarzut – zarabiania na bukmacherce, od której mogą się uzależniać także młodzi ludzie – ciągnie się za Stanowskim od lat.

Gdyby posłużyć się bukmacherskimi kursami na wybory, szanse Stanowskiego na sukces są zerowe (firma STS szacuje jego potencjał na 1,5 proc. głosów). Dokładnie odwrotnie niż szanse na to, że Kanał Zero i inne biznesy Stanowskiego wyjdą z tych wyborów wzmocnione.

©℗ PIOTR ŚMIŁOWICZ, PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI

Jeźdźcy na gapę

AGNIESZKA KAMIŃSKA

Wyprowadzamy się poza miasta, ale stale korzystamy z ich usług. Pozbawione podatków ośrodki starają się w odwecie poszerzać swe granice. Ta bezwzględna walka o tzw. obwarzanki ciągnie Polskę w dół. Potrzebujemy reformy terytorialnej.

Ulice mają tutaj ładne nazwy: Radosna, Tęczowa, Pogodna. Zlokalizowane przy nich osiedla niosą obietnicę życia w ciszy, z czystym powietrzem i zielenią. Barbara i Jacek wyprowadzili się tu siedem lat temu, zmęczeni miastem i życiem w bloku. – Mamy ogródek, skrzynki z warzywami, zjeżdżalnię dla dzieci. Jesteśmy zadowoleni – mówią. Magnesem była cena za metr kwadratowy, średnio o jedną trzecią niższa niż w mieście.

Tuż za granicą Słupska, w należącej do gminy Redzikowo wsi Siemianice, jeszcze 30 lat temu mieszkało 700 osób i po podwórkach biegały kury. Dzisiaj to jedna z najszybciej rosnących wsi w powiecie, a mieszkańców jest niemal pięć razy więcej. Podobnie stało się w Bolesławicach. Między tymi dwiema miejscowościami leży Słupsk, miasto kiedyś wojewódzkie, ale nadal z ambicjami.

Nie tylko wokół dużych, ale też wokół wielu średnich miast w Polsce na odrolnionych gruntach wyrósł nowy symbol Polski powiatowej – podmiasto. Jego wizytówką są tzw. osiedla łanowe, z długimi rzędami przyklejonych do siebie domków, połączone z miastem jedną ulicą. Gdyby nie rozciągnięta przy drodze płachta „Witamy w gminie Redzi-



kowo", trudno byłoby zauważyć, gdzie właściwie kończy się miasto. „Sypialnia Słupska" – piszą w ogłoszeniach deweloperzy i prześcigają się w punktowaniu uroków wiejskiego życia. Najczęściej wymieniają bliskość miasta...

Suburbanizacja, czyli „rozlewanie się" na tereny gmin wiejskich, jest dziś jedną z głównych przyczyn wyludniania się miast średnich. Na regularnie aktualizowanej przez PAN liście miast zagrożonych utratą swoich funkcji jest ich już 139. Słupsk w grupie byłych stolic województw doświadczył jednego z największych spadków ludności po reformie z 1999 r.; z grona „stutysięczników" wypadł już dwa lata później. Dzisiaj ma 85 tys. mieszkańców, a prognozy są drużgocące: do 2050 r. może się skurczyć do 60 tys. Najgorszy los ma czekać Zabrze: będzie miało w połowie wieku tylu mieszkańców co Słupsk dzisiaj, a to oznacza, że straci ich aż 51 proc.

Obgryzanie obwarzanka

Wiceprezydentka Słupska ubolewa nad tym, że rodziny się wyprowadzają, ale rozumie powody. – Terytorialnie jesteśmy miastem małym, brakuje atrakcyjnych działek pod budownictwo mieszkaniowe i terenów inwestycyjnych. Jednocześnie nie chcemy poświęcać naszej zieleni, np. duży użytek ekologiczny „Słupskie Starorzecza" zostawiliśmy przyrodzie i nadal chcemy go chronić – mówi Marta Makuch.

W Słupsku, mieście na prawach powiatu, jest szpital wojewódzki, wojsko, szkoła policji, uniwersytet, a także urząd centralny: Główny Inspektorat Rybołówstwa Morskiego. – Miasto pozostaje codziennym centrum życiowym dla mieszkańców, którzy wyprowadzili się zaledwie kilka kilometrów dalej – opowiada Makuch. Problem polega na tym, że większość z nich podatki płaci tam, gdzie śpi, a nie tam, gdzie faktycznie żyje, pracuje i się uczy. Cierpi na tym kasa magistratu.

Okalające miasto, silnie zurbanizowane gminy wiejskie, przyjęło się nazywać obwarzankowymi. Tworzą z miastem symbiotyczną całość, ale administracyjnie są niezależnym bytem – z własnym budżetem, polityką i urzędnikami. Szacuje się, że w Polsce taka sytuacja dotyczy ponad 150 gmin.

Marta Makuch mówi o kosztach utrzymania infrastruktury, które dźwiga miasto. Podaje przykład najmocniej ciążącej na budżecie oświaty. Wydatków na edukację nie pokrywa w całości subwencja krajowa, słupszczanie dopłacają do każdego ucznia, także tego z powiatu – w 2024 r. było to ponad 90 mln zł. Bolączką w okolicznych miejscowościach jest też brak publicznych przedszkoli, dlatego rodzice przemeldowują dzieci, aby skorzystać z miejskiej oferty. Również dotowane przez miasto kina, teatry, stadiony i kluby sportowe istnieją dzięki płacącym podatki w Słupsku, choć korzystają z nich wszyscy. – To wysysanie miasta – twierdzi Makuch.

Prof. Iwona Sagan, kierowniczka Zakładu Geografii Społeczno-Ekonomicznej Uniwersytetu Gdańskiego, mówi o „jeźdźcach na gapę". – Mamy do czynienia z nierównomiernym rozłożeniem korzyści i obciążeń. W efekcie suburbanizacji, która w Polsce osiągnęła wymiar patologiczny, korzyści pozostają na terenie gmin wiejskich, a obciążenia w miastach – tłumaczy.

Ponieważ miasta próbują nadążać za uciekającymi mieszkańcami i ich podatkami, starają się przyłączać tereny okolicznych gmin. Tylko w tym roku rząd zatwierdził 32 zmiany granic. Większość z nich to włączenie do miast działek z gmin sąsiednich. W ostatnich latach oprócz Słupska powiększył się m.in. Koszalin, Lębork, Opole, Radom, Sanok, procedurę rozpoczął Olsztyn, dyskusja trwa też w Kielcach.

Piłeczka przez miedzę

Słupsk „rozlał się" po raz pierwszy w 2023 r. Plany miał ambitne: chciał obszaru 5,8 tys. hektarów zamieszkałego przez prawie 9 tys. osób. Rząd wyraził zgodę na przyłączenie tylko niezamieszkałych terenów trzech sołectw, ale po miejską gminę i tak zabolało. Straciła m.in. uzbrojoną przez siebie strefę przemysłową, a wiadomo było, że miasto sięgnie po więcej. To właśnie wtedy gmina Słupsk, choć ma siedzibę w mieście, zmieniła nazwę na Redzikowo, aby zamanifestować odrębną tożsamość.

Wójt Redzikowa Barbara Dykier na określenie „obwarzanek" reaguje alergicznie. – To mit. Tereny podmiejskie nie zurbanizowały się dzięki bliskości miasta. Była to przemyślana polityka gminy, aby dochody z zagospodarowanego skrawka finansowały rozwój całego naszego ↦



JAKUB WŁODEK / AGENCJA WYBORCZA.PL

Osiedle łanowe we wsi Szyce pod Krakowem, 24 maja 2023 r.

↦ obszaru, który składa się z ponad 40 miejscowości – zapewnia.

Od 2009 r. gmina zachęcała do zakupu tanich działek hasłem „Lecę za miasto". Obecne podgryzanie terenów przez Słupsk Dykier uważa za strategię niedopuszczalną, która destabilizuje rozwój gminy i pozbawia mieszkańców wsi prawa do usług na wysokim poziomie. – Miasto chce się rozwijać, to zrozumiałe, ale nie naszym kosztem – mówi.

Okrajane gminy domagają się od miasta rekompensaty za utracone tereny. Słupsk – partycypacji w ponoszonych wydatkach na usługi dla całego powiatu. Odbijanie piłeczki przez miedzę trwa od lat, choć zmiany granic reguluje ustawa o samorządach gminnych. Niestety, nie określa ona zasad rozliczeń finansowych między nimi. Jednym z wymogów jest przeprowadzenie konsultacji społecznych (a nawet referendum), które w teorii mają sprzyjać demokracji lokalnej, ale mobilizują głównie władze gmin i odbywają się w atmosferze silnych emocji. Miasto – nawet gdy więdnie – przedstawiane jest jako zaborca, gmina – nawet jeśli zamożna – jako ofiara.

Bitwa o żyłę złota

W Dobrzeniu Wielkim przeciwko wchłonięciu jej terenów przez Opole było niemal 100 proc. biorących udział w konsultacjach. Organizowano protesty głodowe i blokady dróg, a nawet demonstracje w Warszawie. Padały słowa o zamachu na samorządność i okupacji, mimo że miasto obiecywało wsparcie – nowe miejsca pracy, lepszą komunikację, ulgi, budżety obywatelskie. Gra toczyła się o wielką stawkę: w granicach miasta miała znaleźć się Elektrownia Opole, podatkowa żyła złota.

W 2017 r., nie licząc się z głosem mieszkańców, rząd zatwierdził zmiany. Gmina nie zgodziła się na oddanie części mienia, a sąd administracyjny uchylił odgórny nakaz. Sprawa toczy się dalej, ale Opole tereny już przejęło. W efekcie gmina

Dobrzeń Wielki walczy od ośmiu lat z Opolem o atrakcyjne tereny.

Na razie przegrywa, a zamożna kiedyś wieś stacza się w rankingach. Jej wójt nazywa politykę miasta rozbojem.

z 29. miejsca w rankingu zamożności w ciągu 5 lat spadła na pozycję 856. Wójt Dobrzenia Wielkiego Piotr Szlapa politykę miasta nazywa rozbojem. – Nie uszanowano woli ludzi, mieszkańcy do dziś nie mogą tego przeboleć – mówi.

Na drugą próbę powiększenia Słupska rząd się już nie zgodził, ale miasto nadal walczy. W marcu tego roku radni przyjęli wniosek, który zakłada wchłonięcie przemysłowej części gminy Redzikowo oraz zamożnych osiedli w gminie Kobylnica. Ta ostatnia szacuje, że straciłaby 25 proc. mieszkańców i 22 mln zł rocznych wpływów do budżetu. Konsultacje pokazały, że mieszkańcy są temu przeciw.

– Jest obawa, że jak miasto nas przejmie, będzie biedniej – mówi Krzysztof, mieszkaniec Kobylnicy. – Teraz są świetlice, koła gospodyń wiejskich, koncerty, festyny. Ludzie ze Słupska też przyjeżdżają – dodaje.

Jednocześnie narzeka się tu na brak autobusów, obwodnicy, dróg dojazdowych do nowych osiedli. Paradoksalnie centrum Kobylnicy jest lepiej połączone ze Słupskiem niż z własnymi osiedlami. A w planach są kolejne rzędy domków. – Mam dwóch synów, którzy nie widzą już przyszłości w Kobylnicy – dodaje Krzysztof.

Sam nie jest przeciwnikiem poszerzenia Słupska, ale ma żal do miasta, że nie zadbało o dialog z mieszkańcami gminy. Często to niezrozumienie całego procesu rodzi lęk, że „miasto przyjdzie i zabierze". – Oczekiwałbym, aby władze spotkały się z nami twarzą w twarz, odpowiedziały na wątpliwości i obawy – mówi.

Nie tędy droga

Zielona Góra uważana jest za wzorzec fuzji miasta z otaczającą je gminą. W 2015 r. wraz z kilkunastoma wsiami stworzyła szóstą co do wielkości aglomerację w Polsce. Poprzedził to wieloletni proces negocjacji oraz referendum.

Jak po latach oceniane są zmiany? – Do przyłączonych wsi częściej jeżdżą autobusy, ale nadal są braki w infrastrukturze, wzmożony ruch samochodów i chaos urbanistyczny. Ludzi na wsi pozostawiono samych sobie, bo władza, która wcześniej była blisko, oddaliła się – ocenia radna Joanna Liddane z Ruchu Miejskiego Zielona Góra. Dodaje, że miasto połknęło podatki, ale nie poszła za tym poprawa jakości życia. – Wyrastają nowe bloki, ludzie funkcjonują w trójkącie praca-market-dom i nadal marzą o kawałku zieleni – mówi.

Tarnów, który wyludnia się jeszcze szybciej niż Słupsk, nie chce wchłaniać gmin wbrew woli ich mieszkańców. Zdaniem prezydenta tego miasta, nie tędy droga. Także system zachęt dla płacących podatki w mieście, jak karty mieszkańca, ulgi na bilety, basen czy koncerty, to według niego niekoniecznie właściwy kierunek. – Też to robimy, ale uważam, że nie powinniśmy segregować mieszkańców na tych z miasta i spoza niego – mówi Jakub Kwaśny, który razem z 30 prezydentami i prezydentkami stworzył nieformalną unię byłych miast wojewódzkich. – Niezbędne są mechanizmy systemowe, jeśli nie zmniejszenie liczby gmin, to chociaż finansowe zachęty do współpracy i jasna dystrybucja kosztów i dochodów samorządów – apeluje.

Ustawa o samorządzie gminnym w Polsce ma już 35 lat. Wójt Redzikowa Barbara Dykier widzi pilną potrzebę zmiany tych przepisów; wraz ze Związkiem Gmin Wiejskich RP postuluje m.in., aby zmiany granic inicjowane były nie częściej niż raz na kadencję. – Chcemy też, by głos mieszkańców miał charakter wiążący, a zasady rozliczeń finansowych między gminami były jasne – mówi. ZGWRP przekazał już własne projekty ustaw, teraz rząd czeka na propozycje wypracowane ze Związkiem Miast Polskich. Każdy ma swoje racje, o porozumienie trudno.

W kręgach samorządowych nie od dziś głosi się potrzebę analizy reformy administracyjnej sprzed ćwierćwiecza. Domagają się tego zwłaszcza miasta średnie. – Duże uciekły nam mocno do przodu. One już się duszą, a nasze za chwilę zostaną puste. Tak nie wygląda

RDC POLSKIE RADIO **DZIENNIKARZE I AUTORZY „TYGODNIKA"** co tydzień są gośćmi Roberta Łuchniaka w Polskim Radiu RDC.
Audycję można także odsłuchać w podkastach na stronie internetowej radia **www.rdc.pl**
Warszawa 101 FM | Ostrów Maz. 87,6 FM
Radom 89,1 FM | Ostrołęka 100,8 FM
Płock 101,9 FM | Siedlce 103,4 FM

zrównoważony rozwój kraju – uważa Kwaśny.

Obszary zagubione

Instytut Sobieskiego zaproponował kilka wariantów zmiany układu województw. „Konieczne jest przywrócenie jedności średnich regionów, zwłaszcza miejskich obszarów funkcjonalnych" – głosi dokument z 2023 r. Zdaniem Iwony Sagan, Polsce potrzebna jest polityka regionalna i odnalezienie „zagubionych" elementów podziału administracyjnego: województwa i powiatu. – Jesteśmy za dużym krajem, aby pozwolić sobie na uproszczoną strukturę, w której liczy się tylko kraj i gmina – mówi.

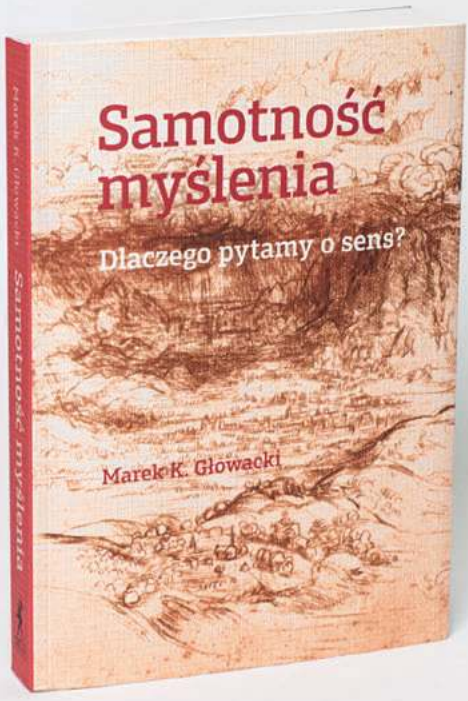
W Ministerstwie Funduszy Europejskich i Polityki Regionalnej prowadzone są prace nad Średniookresową Strategią Rozwoju Kraju. Ma zawierać m.in. program wsparcia inwestycyjnego dla miast i kierunek policentrycznego rozwoju kraju.

Tymczasem w Siemianicach pod Słupskiem wyrastają kolejne osiedla. Rocznie gmina Redzikowo wydaje ok. stu decyzji o warunkach zabudowy dla terenów, na których nie obowiązuje miejscowy plan zagospodarowania. Inaczej niż w mieście, zaludnienie ma się tu zwiększyć z obecnych 19 tys. do prawie 23 tys. mieszkańców do 2060 r. Ci, którzy przeprowadzili się za miasto, ściągają znajomych i rodzinę, ale obiecywaną przez deweloperów podmiejską sielankę coraz częściej burzą powstające tuż za płotem sklepy wielkopowierzchniowe czy korkujące się ulice.

Niekontrolowany rozrost podmiast wymaga reakcji. Eksperci różnych dziedzin jak mantrę powtarzają apele o mądre zarządzanie przestrzenią, regulacje planistyczne i uporządkowanie chaosu przestrzennego. Niektórych szkód nie da się jednak cofnąć, jak dewastacja krajobrazu, utrata gruntów rolnych i koszty środowiskowe potęgowane przez zmiany klimatyczne – wymienia dr Ruta Śpiewak, socjolożka z Instytutu Rozwoju Wsi i Rolnictwa PAN, która zwraca uwagę na istotny aspekt: przerwanie dotychczasowej tkanki społecznej. Zmieniające się w sypialnie wsie, do których przybywają tzw. miastowi, z odmiennymi potrzebami i wizją życia, nazywa „obszarami zagubionymi". – Aby wytworzyła się tam społeczność lokalna, ludzi musiałoby połączyć coś więcej niż ekonomicznie motywowana decyzja o przeprowadzce do podmiast. Potrzebne są instytucje i miejsca pełniące funkcję integracyjną: parki, szkoły, ośrodki inicjatyw sąsiedzkich, dostęp do kultury – mówi dr Śpiewak, podkreślając, że dzisiaj za miasto wyprowadza się głównie młodsza klasa średnia. – Niewykluczone, że wraz ze starzeniem się społeczeństwa nastąpi trend odwrotny, powrót do miast. Część obszarów peryferyjnych może zacząć się wyludniać – dodaje.

Barbara i Jacek, mieszkańcy Siemianic, przyznają, że czują się trochę odizolowani. – Każdy siedzi we własnym ogródku. Brakuje siłowni, kawiarni, kina. W mieście dzieci bawiły się razem w piaskownicy pod blokiem, ludzie mieli gdzie się spotkać. Tu jest wygodna, ale jednak noclegownia – przyznaje Basia. Wracać do miasta nie zamierza. Na razie. © AGNIESZKA KAMIŃSKA

REKLAMA



17 maja, godz. 18.00, „Najlepsza Księgarnia" w Warszawie (ul. Augusta Cieszkowskiego 1/3)
Marek K. Głowacki rozmawia o „Samotności myślenia" z Prof. Stanisławem Obirkiem. Zapraszamy.

„Samotność myślenia to książka zaskakująca z wielu powodów, z których najważniejszym wydaje się główny zamysł autora. Oto Marek K. Głowacki po dziesięcioleciach zanurzenia w wirze życia, który go bez reszty pochłonął, postanowił wrócić do dawnych studiów i na nowo zadać szereg podstawowych pytań dotyczących sensu istnienia. Rezultat tego powrotu jest olśniewający i przywraca wiarę w siłę ludzkiego umysłu, zdolnego dać rzeczy słowo, a myśli odpowiedni kształt. Patronuje mu mistrz niezrównany – Hans Georg Gadamer. Myślę, że autor *Prawdy i metody* byłby zaintrygowany propozycją swego studenta, by na nowo przemyśleć dziedzictwo myśli Zachodu, której poświęcił długie i owocne życie filozofa. Dla mnie *Samotność myślenia* to ujmujący przykład sensowności namysłu nad *condition humaine*. Choć nie daje jednoznacznej odpowiedzi na pytanie po co żyć, to prowokuje myślenie. Czyż można oczekiwać czegoś więcej od filozoficznej książki?" **Prof. Stanisław Obirek**

„Doświadczenie filozofii potrafi dokonać w człowieku trwałych zmian. Obok licznych tekstów przybliżających i komentujących filozoficzne zagadnienia, tekstów o filozofii, z rzadka zdarzają się takie, w których filozoficzne myślenie odbywa się przed naszymi oczami, dotyka nas i zmienia. *Samotność myślenia* Marka K. Głowackiego tego dokonuje." **Robert Ogór**

„Chciałbym wam zarekomendować interesującą książkę Marka K. Głowackiego. Marek zaczynał od studiów doktoranckich w Heidelbergu u Hansa-Georga Gadamera i Reihnera Wiehla. Później odszedł od filozofii, ale pytanie o sens męczyło go całe życie. I stąd ta książka. Zaczyna się od wędrówki Drogą Filozofów w Heidelbergu. Bardzo interesująca." **Prof. Tadeusz Gadacz**

STENTOR



WOJCIECH STRÓŻYK / REPORTER

Spółki niezgody

PIOTR ŚMIŁOWICZ

Nawet po ewentualnym zwycięstwie któregoś z kandydatów koalicji rządzącej raczej nie dojdzie do odpolitycznienia spółek Skarbu Państwa. Mimo umowy między sojusznikami, chce tego tylko Polska 2050.

Posiedzenie Sejmu, 24 kwietnia. Podczas głosowań posłanka Paulina Matysiak z Razem wychodzi na mównicę i pyta, jaka jest strategia rządu wobec znajdującej się w kłopotach Poczty Polskiej. Chwilę potem do mównicy podchodzi wiceminister aktywów państwowych Robert Kropiwnicki z KO, jednak marszałek Szymon Hołownia nie dopuszcza go do głosu, podkreślając, że prawo do zabierania go w dowolnym momencie mają tylko konstytucyjni ministrowie, a nie wiceministrowie. To wyraźne upokorzenie Kropiwnickiego, który w tym momencie jest najwyższym przedstawicielem resortu na sali.

To spięcie Hołowni z Kropiwnickim nie dziwi. Marszałek Sejmu i jego ugrupowanie mają od wielu miesięcy „na pieńku" z wiceszefem ministerstwa aktywów, którego uważają za głównego hamulcowego procesu odpolitycznienia władz spółek Skarbu Państwa i zarazem „głównego kadrowego" Platformy w tych spółkach. Sprawa ta stała się jednym z gorących tematów kampanijnych, a na najbliższym posiedzeniu Sejmu planowana jest debata nad kolejnym projektem Polski 2050 w sprawie uregulowania sytuacji.

– Sposób, w jaki Koalicja Obywatelska zarządza dziś spółkami Skarbu Państwa, to jest PiS bis – ocenia wiceminister cyfryzacji z Polski 2050 Michał Gramatyka.

Ukryta oferta dla urzędnika

Polskie partie od wielu lat wykorzystują spółki z dominującym udziałem państwa do budowania swoich wpływów. Dzięki spółkom wielu działaczy może dostawać intratne posady, co jest wynagrodzeniem m.in. za zaangażowanie w kampanie wyborcze. Umiejętność załatwiania atrakcyjnych posad to także klucz do budowania pozycji przez poszczególnych polityków, a nawet własnych, lojalnych frakcji.

– Niemal we wszystkich partiach istnieje przekonanie, że spółki są taką przestrzenią, na którą powinno się mieć bezpośredni wpływ – przyznaje Krzysztof Izdebski z Fundacji Batorego. – To jest też metoda ściągania kompetentnych ludzi do urzędów. W ramach oferty dostają wtedy obietnicę, że dodatkowo znajdą się w składach rad nadzorczych, dzięki czemu zarobią więcej – zwraca uwagę ekspert.

Temat spółek Skarbu Państwa wrócił z przytupem w kontekście niedawnej wypowiedzi Donalda Tuska o repolonizacji gospodarki. Minister aktywów państwowych Jakub Jaworowski tłumaczył, że premierowi chodzi m.in. o wzmocnienie takich spółek poprzez zwiększenie ich udziału w łańcuchach dostaw.

Czy jednak można je realnie wzmocnić, nie zmieniając nic w sposobie zarządzania? Nasi rozmówcy twierdzą, że nie. – W roku 2023 dywidenda ze wszystkich spółek Skarbu Państwa przyniosła do budżetu państwa 3 mld 600 mln złotych. Tymczasem sama Polska Grupa Górnicza dostaje co roku między 8 a 9 mld dotacji. W 2024 roku było podobnie. Czyli my do tego biznesu dopłacamy, a nie zarabiamy – mówi doradzający Polsce 2050 przedsiębiorca Ryszard Wojtkowski, dawny dyrektor gabinetów pięciu premierów.

Jego zdaniem to właśnie upolitycznienie spółek powoduje, że „przepuszczają" one pieniądze jak durszlak, na skandaliczne inicjatywy polityczne w rodzaju Funduszu Sprawiedliwości z epoki Zjednoczonej Prawicy, ale też na mniej głośne przedsięwzięcia organizowane w kolejnych kadencjach przez posłów aktualnie rządzących ugrupowań.

Wojtkowski zwraca uwagę, że ostatnio spółki dostały polecenie przeznaczenia pieniędzy na uroczystości związane z tysiącleciem koronacji Bolesława Chrobrego. – Pieniądze spółek wciąż idą na widzimisię władzy, w tej kwestii nic się nie zmieniło – mówi.

W mętnej wodzie

Sprawa jest trudna także z tego powodu, że ustalenie skali politycznego zawłaszczenia spółek jest trudne. – Nie mamy dostępu do skumulowanej wiedzy, więc ustalenie stanu faktycznego wymaga długiego klikania, kto jest w zarządach i radach nadzorczych, a potem szukania powiązań z partiami. Do tego dochodzą spółki córki; sam Orlen to przecież kilkadziesiąt spółek plus fundacja – mówi ekspert. – Z kolei PZU posiada ok. 100 spółek zależnych, z których każda ma zarząd i radę nadzorczą. W ich władzach można zatrudnić między 300 a 500 osób.

Znaczenie ma też to, dodaje Wojtkowski, że w przypadku spółek Skarbu Państwa obowiązek publikowania informacji jest znacznie bardziej ograniczony niż w przypadku spółek giełdowych. Trudno więc czasem ustalić, na co idą pieniądze i kto dostaje np. intratne zlecenia na działania promocyjne.

Tym niemniej co jakiś czas za sprawą mediów wychodzą na jaw najbardziej spektakularne wpadki, np. fakt powołania do władz radomskiego Łucznika męża szefowej radomskich struktur Platformy. Albo włączenie do zarządu PZU byłego lidera SLD Wojciecha Olejniczaka, który w ten sposób uzyskał nadzór nad Alior Bankiem, gdzie wcześniej był dyrektorem i dopuścił się nieprawidłowości (ma dziś za to zarzuty).

Polska 2050 jest w obecnym Sejmie jedynym ugrupowaniem, które deklaruje wolę odpartyjnienia spółek. Już wiosną 2024 r. złożyła pierwszy projekt nowego prawa, które zakładało, że 30 proc. członków rad nadzorczych spółek Skarbu Państwa byłoby wskazywanych przez Komitet Dobrego Zarządzania. Jego skład tworzono by na wniosek organizacji pracodawców, wyższych uczelni i związków zawodowych. Zmian tych nie udało się jednak przeforsować.

Poseł Rafał Komarewicz, który stał na czele zajmującej się projektem podkomisji, przyznaje, że prace nad nim były praktycznie bojkotowane przez resort aktywów państwowych, gdy zaś w styczniu odbyło się poświęcone projektowi posiedzenie połączonych sejmowych komisji, wszystkie ugrupowania poza Polską 2050 zagłosowały przeciw.

– Nie na to umawialiśmy się z wyborcami. W umowie koalicyjnej jest zapis o odpartyjnieniu spółek – mówi Komarewicz. Pytany, skąd się bierze szczególna wrażliwość jego formacji na ten problem, wyjaśnia, że wielu działaczy wywodzi się NGO-sów oraz ruchów społecznych. – To są ludzie, którzy nie korzystali nigdy z „fruktów" władzy i nie chcą ich.

Nie tacy znowu czyści

Politycy innych ugrupowań sprawę oceniają inaczej. Szef sejmowej komisji energii, klimatu i aktywów państwowych Marek Suski z PiS uważa, że Polska 2050 zaproponowała odpolitycznienie spółek tylko dlatego, że „zobaczyła gest Kozakiewicza" od PO w sprawie dostępu do ich władz.

Jeden z posłów KO przypomina, że cała sprawa to reakcja partii Szymona Hołowni na aferę, jaka wybuchła już na początku 2024 r., gdy okazało się, że jednym z nowo powołanych członków rady nadzorczej Orlenu został prof. Tomasz Sójka, który wcześniej pomagał tworzyć struktury Polski 2050. Dopiero po tym zdarzeniu, przypomina poseł KO, Hołownia ogłosił, że jego partia będzie twardo forsowała zakaz powoływania pracowników partii, parlamentarzystów i samorządowców do zarządów i rad spółek. A także że żadna osoba zatrudniona czy należąca do Polski 2050 nie otrzyma nominacji do władz takich spółek. Na co PiS natychmiast ujawnił nazwiska nominatów Polski 2050 we władzach m.in. NFOŚiGW, Enei, PGE, Krajowej Grupy Spożywczej czy Krajowego Zasobu Nieruchomości.

W podobnej tonacji wypowiada się wiceminister funduszy i polityki regionalnej oraz poseł KO Jacek Karnowski. – W Koalicji Obywatelskiej jest takie założenie, że ani ludzie funkcyjni, ani radni z PO nie mogą być delegowani do władz spółek Skarbu Państwa, i jest to przestrzegane. Dobrze by było w kontekście propozycji Polski 2050, żeby każdy zaczął od siebie – dodaje.

Nieoficjalnie zarówno politycy KO, jak i PiS przekonują, że władze państwowe nie mogą sobie pozwolić na rezygnację z obsadzania zarządów kluczowych spółek. Należy jedynie dbać o to, by trafiali tam ludzie maksymalnie fachowi.

Hamulcowy Kropiwnicki

Polska 2050 po fiasku pierwszego projektu przygotowała drugi. To właśnie on ma być czytany na najbliższym posiedzeniu Sejmu. – Wzięliśmy najmniej kontrowersyjne elementy starego projektu i zrobiliśmy nowy. Chcemy, żeby wszystkie zarobki w radach i zarządach były jawne, wprowadzamy też kryteria niezależności. Posłowie czy senatorowie będą mieli dwa lata karencji, zanim zasiądą we władzach spółek. Podtrzymujemy też zakaz wpłat przez spółki na partie polityczne i komitety wyborcze – mówi Michał Gramatyka.

Według polityków Polski 2050 w sprawie spółek największym problemem jest postawa resortu aktywów państwowych. – Jeżeli pan wiceminister Kropiwnicki zostanie po rekonstrukcji rządu, z odpartyjnienia spółek nic nie będzie – ocenia poseł Komarewicz.

Tak duża pozycja Kropiwnickiego może dziwić, bo to polityk, o którym media kilkakrotnie publikowały bardzo krytyczne materiały. Ostatnio ujawniono np., że mimo iż ma do dyspozycji ministerialną limuzynę, pobiera kilometrówki w ogromnych kwotach.

O Kropiwnickim, który jest sejmowym rekordzistą w liczbie posiadanych mieszkań (ma ich aż dwanaście), zrobiło się głośno pod koniec poprzednich rządów PO w 2015 r. To on forsował rozwiązania, które Sejmowi tamtej kadencji dawały prawo do wyboru sędziów Trybunału Konstytucyjnego „na zapas", co było prapoczątkiem kryzysu wokół TK. Od polityków PO można jednak usłyszeć, że był wtedy tylko wykonawcą decyzji podejmowanych przez szefa klubu PO Rafała Grupińskiego.

Politycy Platformy przyznają też, że największe wpływy w partii Kropiwnicki miał w przeszłości, gdy kierował nią Borys Budka. Podobnie jest w resorcie aktywów – odkąd kieruje nim kojarzony ↦

↦ z Janem Krzysztofem Bieleckim Jakub Jaworowski, Kropiwnicki ma mieć słabszą pozycję. – Kiedyś można było z nim załatwić wszystko w sprawie spółek, teraz dużo mniej – przyznaje polityk PO.

Niemniej jednak utrzymuje się na stanowisku, mimo różnych kompromitujących doniesień. Najbardziej miała mu zaszkodzić ujawniona jesienią 2024 r. afera wokół Totalizatora Sportowego. Jak napisał wtedy Onet, gdy tylko Kropiwnicki objął stanowisko wiceministra aktywów państwowych, do Totalizatora rozpoczął się „desant" ludzi z nim związanych. Jednym z nich był wiceprezes Szymon Gawryszczak, zarazem udziałowiec firmy odpowiadającej za hejterski profil „Sok z Buraka".

Politycy PO przyznają, że Kropiwnicki po tej aferze miał mieć już podpisaną dymisję, ale pozostał – podobno dlatego, że jest kompetentnym i pomysłowym prawnikiem. To on wymyślił, by wpisać TVN na listę strategicznych spółek, utrudniając w ten sposób sprzedaż stacji komuś politycznie niepożądanemu.

Spółki dostały polecenie wsparcia finansowego uroczystości związanych z tysiącleciem koronacji Bolesława Chrobrego. **Pieniądze wciąż idą na widzimisię władzy.**

Kiedy zabraknie konfitur

Właśnie na Kropiwnickiego jako na jednego ze sprawców swojej dymisji wskazuje były wiceminister aktywów z rekomendacji Polski 2050 Jacek Bartmiński. Został on zmuszony do odejścia ze stanowiska w listopadzie ubiegłego roku po tym, jak nie obronił przed odwołaniem prezesa Lotu Michała Fijoła. – Poprosiłem radę nadzorczą Lotu, by poczekali ze zmianami personalnymi. Ale rada dostarczyła ministrowi Jaworowskiemu raport, który wskazywał na błędy w zarządzaniu, i podjęła swą decyzję – tłumaczy dziś tamtą sprawę Bartmiński.

Wcześniej był w ostrym sporze z Kropiwnickim. Ten ostatni, jak można się nieoficjalnie dowiedzieć, zmieniał Bartmińskiemu ustalone już z ministrem Budką nominacje do rad nadzorczych spółek Skarbu Państwa, a nawet sam miał podpisywać się pod rekomendacjami będącymi w kompetencjach Bartmińskiego.

Od czasu odejścia tego ostatniego z Ministerstwa Aktywów Państwowych partia Hołowni nie ma w nim żadnego przedstawiciela. „Polska 2050 nie deleguje przedstawiciela do kierownictwa MAP, dopóki w Sejmie nie znajdzie się większość dla ustawy profesjonalizującej nadzór nad spółkami Skarbu Państwa" – czytamy w serwisie X. Z samym Robertem Kropiwnickim nie udało nam się skontaktować, mimo zasygnalizowanej przez niego wcześniej w Sejmie woli spotkania.

Jak przyznają nasi rozmówcy, sprawa dymisji Bartmińskiego dobrze pokazuje mechanizmy rządzące spółkami Skarbu Państwa, gdzie o personaliach decyduje się na najwyższym szczeblu. Czy da się to zmienić i wprowadzić transparentne zasady doboru kadr do zarządów? Wielu ekspertów jest zdania, że najlepszym rozwiązaniem byłaby prywatyzacja części spółek. W opinii Krzysztofa Izdebskiego po pierwsze trzeba jednak zrobić przegląd przedsiębiorstw, które można by sprywatyzować, a po drugie zwiększyć poziom ich transparentności.

Innym rozwiązaniem, według Ryszarda Wojtkowskiego, mogłoby stać się doprowadzenie do sytuacji, w której spółki staną się nieatrakcyjne dla partii. – Jeśli firma jest własnością Skarbu Państwa, nie trzeba dziesięciu ludzi w radzie nadzorczej. Wystarczy dwóch czy trzech urzędników z MAP. Jak nie będzie konfitur, nie będzie chętnych – przekonuje przedsiębiorca.

©℗ PIOTR ŚMIŁOWICZ

W portfelu państwa

WŚRÓD 397 SPÓŁEK Skarbu Państwa mamy podmioty o znaczeniu strategicznym, jak Polska Grupa Zbrojeniowa, Wytwórnia Papierów Wartościowych, Poczta Polska albo Polskie Sieci Elektroenergetyczne. Nie brakuje też branżowych liderów pokroju KGHM, jednego z największych producentów miedzi i srebra na świecie, oraz grupy PZU, PGE czy Tauron. Na liście są podmioty w stu procentach zależne od państwa, jak PLL Lot, i takie jak Orlen, w którym Skarb Państwa ma decydujący głos dzięki rozdrobnieniu pozostałego akcjonariatu.

NA LIŚCIE stu największych polskich firm, którą w 2023 r. otwierał PKN Orlen z przychodami na poziomie 372,7 mld zł, a zamykała Grupa Kapitałowa Wipasz (5,5 mld zł) – tylko 27 było własnością lub współwłasnością Skarbu Państwa. Jednak w pierwszej dziesiątce jest aż siedem takich podmiotów, w których decydujący głos ma dziś Ministerstwo Aktywów Państwowych.

NIE BRAK w aktywach państwa rodzynków o trudnej do zdefiniowania użyteczności, jak spółka Beskidzki Hurt Towarowy (operator targu rolnego) albo firma GymExpert (dostarcza automaty z napojami do klubów fitness). W wielu z tych podmiotów państwo ma udział symboliczny lub mniejszościowy, objęty najczęściej wskutek udzielonej dotacji. Inne należą do niego w całości – jak spółka Stado Ogierów z Łącka, jedno z najstarszych gospodarstw zajmujących się hodowlą koni, lub Sklejka Orzechowo, producent płyt stolarskich.

TEN BIZNESOWY PLANKTON nie ma znaczenia; z punktu widzenia państwa, które może wykorzystywać kontrolowane spółki do oddziaływania na rynek, kluczowe są tylko te największe. Wielokrotnie już miało to miejsce w sektorze bankowym, gdzie państwo – po przejęciach z czasów PiS – kontroluje ponad połowę podmiotów, na czele z największym polskim bankiem PKO. Na życzenie polityków zdarzało się mu np. nie podnosić opłat za prowadzenie kont i w ten sposób wyhamować na jakiś czas podwyżki u konkurencji. Przed wyborami w 2023 r. obserwowaliśmy z kolei nagłe zahamowanie cen paliw na stacjach Orlenu. Ten cud nad dystrybutorami miał ograniczyć inflację, czym z kolei walczący o reelekcję obóz PiS chciał się pochwalić w kampanii.

©℗ MAREK RABIJ

OLGA

Drenda:
Pożytki ze snobizmów



Ten, dla kogo muzyka jest stałą i ważną towarzyszką życia, pewnie zna doświadczenie negocjowania z sobą samym – kiedy jakaś płyta z pozoru się nie podoba, ale jednak każe do siebie wracać, albo kiedy uparcie decydujemy się jednak wsłuchać w jakąś muzykę tak, by znaleźć do niej kod i się z nią mimo wszystko zaprzyjaźnić, nawet gdy kontakt z nią przypomina próbę pogłaskania jeżozwierza. Gdy próby zakończą się powodzeniem, przynosi to wielką satysfakcję: poznajemy inny wymiar słuchania, ta sama muzyka zaczyna brzmieć dla nas odmiennie i stopniowo cementuje się sympatii nić.

Szczególnie wiele radości daje złapanie wspólnej częstotliwości z czymś, co nie daje się łatwo polubić, co jest „niepodobalne", oporne. Tak wyglądała moja przygoda z muzyką właśnie zmarłego Davida Thomasa, założyciela awangardowo rockowej grupy Pere Ubu. To muzyka kanciasta, chwilami złowroga, a czasem w niezgrabiaszowski sposób ładna, która zainspirowała niegdyś muzyków Joy Division, R.E.M. czy Pixies. Poznałam ją, jak w wielu innych przypadkach, najpierw zaocznie, na piśmie – nie mając wówczas (jako nastolatka na przełomie tysiącleci) bezpośredniej możliwości odsłuchu, uwierzyłam słowom Rafała Księżyka w czasopiśmie muzycznym „Brum", gdyż zawsze naprawdę przekonująco pomagał on wyobrazić sobie jakieś dźwięki. Wśród tej publiczności, dla której Pere Ubu stali się naturalnie kultowi, znaleźć się nie mogłam – gdy grali w Polsce na festiwalu Marchewka, miałam trzy lata.



OLGA DRENDA

Kaseta też może być sympatycznym małym snobizmem

Pasjonaci muzyki wyodrębniają kategorię artystów, których wypada szanować albo się ich lubieniem popisywać, choć raczej się ich nie słucha z własnej woli (Captain Beefheart, Frank Zappa itp.). Niektórzy mogliby włączyć tam i Pere Ubu; w końcu i ja nie przepadałam na pierwszy rzut ucha, lecz wkładałam w odsłuch świadomy wysiłek – chciałam przed samą sobą stać się kimś, kto naprawdę zna się na muzyce.

Koniec końców jednak fakt, że – jak mówił David Thomas – Pere Ubu to „nieudolny zespół popowy, który zbliża się do sukcesu o włos, ale zawsze daje nogę", sprawił, że zaczęłam ich słuchać z realną przyjemnością. Wspaniale ujmowali tę radość porażki, taką, gdy zbierzemy wszystkie naklejki w promocji, ale nie chce się już nam kłopotać po pluszaka dla wytrwałych zbieraczy.

Wnikliwie inteligentny i osobliwie ekspresyjny David Thomas nie pasował do swoich scenicznych rówieśników czy uczniów. Miał wysoki głos, czasem wpadający w kabaretowe czy kaznodziejskie tony. Jednocześnie w porównaniu ze zbójeckim, ulicznym rysem Marka E. Smitha z The Fall, ekstatyczną wulgarnością Iggy'ego Popa czy kanciastym wdziękiem najbardziej do niego podobnego muzycznie Davida Byrne'a wydawał się cokolwiek posępnym, ale jednak zwyczajnym gościem. Miał w sobie coś z poczciwości filmowych bohaterów Toma Hanksa i wykwintnej mizantropii Ignatiusa Reilly'ego, bohatera kultowej, choć nieco zapomnianej powieści „Sprzysiężenie głupców" (potem dowiedziałam się, że Greil Marcus, kronikarz amerykańskiego rocka, wpadł kiedyś na podobne skojarzenie).

Przez „mózgowy", mało emocjonalny styl Pere Ubu ktoś kiedyś nazwał Thomasa księgowym rocka. Jest to faktycznie muzyka przywodząca na myśl frustracje bystrego faceta, który tkwi ku swej cichej rozpaczy w prozaicznym miejskim życiu (Pere Ubu powstali w przemysłowym, prostolinijnym i mało artystycznym Cleveland) jak w nerwowym mysim labiryncie: tkwienie w korkach, buczenie klaksonów, szum kserokopiarek, bieganina, papierosy. Ma w sobie coś kafkowskiego, choć nazwę zawdzięcza chyba najsłynniejszemu wybrykowi literatury – sztuce „Król Ubu" Alfreda Jarry'ego. Trudno mi pomyśleć o muzyce, która lepiej ilustruje to, jaki bałagan może kryć się w głowie najbardziej niepozornego człowieka; to, że nigdy nie wiemy, co kto chowa na strychu.

Moja własna przygoda z Pere Ubu uświadamia mi jednak pożytki z drobnych snobizmów. Przyjemnie z pewnością udawać, że się czegoś nie rozumie, że coś jest dla nas zbyt zawiłe, że nie rozumiemy sztuki współczesnej – czujemy się wtedy tacy rozkosznie normalni. Ale o wiele większą satysfakcję przynosi próba zrozumienia czy znalezienia z jakimś dziełem wspólnej fali („rock to inteligentna komunikacja niewerbalna", mówił David Thomas). Na próbę – zobaczcie telewizyjne wykonanie utworu „Waiting for Mary" z udziałem Debbie Harry i Davida Sanborna. Neurotyczni awangardziści też potrafią mieć frajdę. ©

Olga Drenda jest etnolożką, pisarką i instagramerką. Wydała m.in. „Duchologię polską", „Wyroby" (Nagroda Literacka Gdynia 2019) oraz „Słowo humoru".

ŚWIAT

MIGRACYJNY EKSPERYMENT

Masowa imigracja z krajów islamskich zmienia Holandię. Rdzenni Holendrzy coraz częściej patrzą na ten proces negatywnie i dają temu wyraz w wyborach: od roku rząd w Hadze współtworzy radykalna Partia Wolności.

ŁUKASZ SAKOWSKI Z HAGI



W ostatnich 20 latach Holandia stała się krajem imigrantów. O ile w miasteczkach i na wsi nie jest to aż tak widoczne, w miastach nie sposób tego nie dostrzec. Haga, Amsterdam, Rotterdam, Utrecht czy Eindhoven są w 30-50 procentach zamieszkane przez osoby pochodzenia nieholenderskiego i niezachodniego. Także wielu obywateli urodzonych już w Holandii ma rodziców spoza Europy – najczęściej z Maroka, Turcji, Surinamu i Somalii.

Wcześniej, gdy odsetek imigrantów i ich potomków wynosił kilka procent, nie rzucało się to tak w oczy. Teraz kilkanaście procent w skali kraju – i kilkadziesiąt w miastach – budzą coraz więcej kontrowersji. Oraz oporów, co znajduje odbicie w wyborach.

Kto zwiedza Holandię poza turystycznymi wypieknionymi enklawami – a tym bardziej ten, kto tu mieszka – rozumie, w czym rzecz. Nie jest to już kraj tak bezpieczny i stabilny społecznie, jak zwykło się go przedstawiać jeszcze na początku XXI wieku.



MOUNEB TAIM / AFP / EAST NEWS

Pierwszy posiłek po zachodzie słońca podczas ramadanu. Utrecht, 8 marca 2025 r.

Anonimowość i atomizacja

Tym, co dominuje dziś w krajobrazie Hagi – siedziby parlamentu i głównych urzędów (choć stolicą jest Amsterdam) – to śmieci: na chodnikach, trawnikach, w krzakach. Także pod marketami, jak Lidl czy holenderska sieć Albert Heijn. W kanałach, które kiedyś były wizytówką miasta, tu i tam widać wyrzucone stare meble.

Kasy w dyskontach, gdzie mniej więcej ponad połowa pracowników ma nieeuropejskie pochodzenie, są pilnowane ostentacyjnie przez krzepkich ochroniarzy. Pracownice często noszą hidżab lub inne islamskie nakrycie głowy. Są dzielnice, gdzie tak ubrana jest większość kobiet. Nie brak mężczyzn w tradycyjnych narzutach typu kandura (luźnym stroju sięgającym kostek), choć wielu ubiera się wygodniej, po zachodniemu – w odróżnieniu od ich żon.

Na okładce holenderskiego „Cosmopolitan" za kwiecień-maj 2025 r., okres Wielkanocy, widnieje zdjęcie muzułmanki z zakrytą głową, a jednym z przewodnich tematów wydania jest dbanie o włosy pod hidżabem.

W miastach plagą stały się kradzieże rowerów, popularnego tu środka komunikacji (kiedyś mawiano, że w Holandii można zostawić nieprzypięty rower) lub baterii do rowerów elektrycznych.

Mieszkańcy opowiadają mi, że w niektórych dzielnicach po zmroku można oberwać na ulicy, i to bez powodu. Kobieta sama o tej porze zwykle nie wyjdzie na ulicę, to zbyt niebezpieczne.

Przypomina mi to trochę klimat z Polski lat 90., ale multikulturalnie, z dużą domieszką islamu. I bez typowej dla Polski swojskości. Różne nacje, języki i religie, a przez to znacznie większa anonimowość i atomizacja społeczeństwa. W efekcie – słabnące zaufanie między ludźmi, czasem nawet wrogość między sąsiadami.

Drenaż portfeli imigrantów

Jednak nie wszędzie tak jest. Są dzielnice, gdzie Holendrzy lub inni Europejczycy są silnie przemieszani z imigrantami (bądź ich potomkami) z Afryki, Azji czy Ameryki Południowej. Są też okolice zamieszkane głównie przez Holendrów. Nie każda część Hagi jest zaniedbana tak jak dzielnice Moerwijk i Spoorwijk – bo to głównie w nich można trafić na ogromne ilości śmieci i właśnie tam żyje bardzo dużo imigrantów oraz ich potomków.

Tym, co rzuca się w tych dzielnicach w oczy, to również bardzo dużo bawiących się dzieci.

Choć bywają zamożne imigranckie rodziny, zwłaszcza marokańskie, wielu Holendrów pochodzenia imigranckiego – a tym bardziej obcokrajowców przybyłych niedawno – wynajmuje mieszkania w starych kamienicach z kiepską kanalizacją i akustyką, często do umeblowania przez najemców na własny koszt. Wynajmującymi zaś są zwykle zamożni Holendrzy, którzy „skąpią na wszystkim, nawet bezpieczeństwie" – jak słyszę w rozmowach.

„Przesadne oszczędzanie", by nie powiedzieć „skąpstwo" uchodzą wręcz za cechę narodową rodowitych Holendrów – oczywiście zdaniem imigrantów, z którymi rozmawiam.

Zjawisko drenowania imigranckich portfeli przez wynajem podupadłych mieszkań zgrabnie sportretował holenderski pisarz Arnon Grunberg w powieści „Tirza", wydanej w kilkudziesięciu językach (również po polsku) i nagradzanej.

Trochę statystyki

Wśród imigrantów, którzy stanowią obecnie kilkanaście procent w 18-milionowym społeczeństwie, spora część to muzułmanie.

Urząd Statystyczny podaje, że w 2023 r. 84,5 proc. obywateli Holandii urodziło się na terenie tego kraju. Jednak niewiele mówi to o skali imigracji: wielu spośród tutaj już urodzonych ma pochodzenie tureckie, marokańskie, somalijskie czy surinamskie (to główne obszary, z których przybywali imigranci).

Rdzenni Holendrzy stanowią zatem mniejszy odsetek, niż może to wynikać z tej statystyki. Jaki dokładnie, nie wiadomo. Na pewno malejący, bo dzietność, w skali kraju wynosząca 1,4 dziecka na kobietę, jest wyższa wśród muzułmanek (w 2012 r. szacowano, że ich dzietność jest średnio o 1-1,3 dziecka wyższa od dzietności rodowitych Holenderek). ↦

↦ Dalej: badanie Urzędu Statystycznego z 2022 r. wskazało, że 57 proc. Holendrów to osoby areligijne, 18 proc. to katolicy, 13 proc. protestanci, a niecałe 6 proc. muzułmanie (pozostałe kilka procent reprezentowane było przez inne religie). Badanie objęło osoby powyżej 15. roku życia, faktyczny udział islamu w „krajobrazie" religijnym jest więc wyższy.

Narzeczony? Raczej muzułmanin

Kilka lat temu w Holandii doliczono się ok. 500 meczetów. Większość związana jest ze środowiskami pochodzenia tureckiego i marokańskiego. Meczetom i zarządzającym nimi organizacjom pochodzenia tureckiego zarzuca się realizowanie propagandy prezydenta Turcji Recepa Tayyipa Erdoğana i przenoszenie obcych konfliktów na teren Holandii (istotnie, przy meczetach często widać powiewające flagi tureckie).

A co z religijnością? Według wspomnianego badania z 2022 r., 12 proc. Holendrów regularnie uczęszcza na nabożeństwa; dotyczy to i chrześcijan, i muzułmanów. Z kolei Niderlandzki Instytut Badań Społecznych opublikował w 2015 r. raport pokazujący, że 40 proc. muzułmanów tureckich, 38 proc. somalijskich, 37 proc. marokańskich i 16 proc. surinamskich uczęszcza na swoje nabożeństwa co najmniej raz w tygodniu.

Ta sama publikacja podaje, że 69-94 proc. z nich (zależnie od pochodzenia etnicznego) codziennie spożywa mięso halal z uboju rytualnego (to kolejny spór cywilizacyjny, tym razem o humanitarne traktowanie zwierząt z chowu).

Znacznie ponad połowa Holendrów pochodzenia marokańskiego, tureckiego i somalijskiego wyraziła w tym badaniu niechęć wobec perspektywy, że ich córka mogłaby poślubić kogoś innego niż wyznawca islamu.

Kwestia przemocy

Na tle innych krajów Europy Zachodniej – Francji, Niemiec, Belgii czy Szwecji – Holandia nie ma tak dużych problemów z islamskim terroryzmem. Co nie znaczy, że nie ma go w ogóle.

Na fali sprzeciwu wobec masowej imigracji wybory w Holandii w 2023 r. wygrała partia, **którą inni politycy traktowali dotąd jako „niedotykalną" skrajność.**

W 2004 r. holenderski reżyser Theo van Gogh został zamordowany przez muzułmanina Mohammeda Bouyeriego; zabójca zeznał, że do czynu tego pchnął go fakt, iż van Gogh wyprodukował film krytykujący podejście islamu do kobiet. W 2018 r. Afgańczyk, ubiegający się o azyl w Niemczech, zaatakował nożem na dworcu kolejowym w Amsterdamie, raniąc kilka osób. W 2019 r. zamachu terrorystycznego z użyciem broni palnej dokonał Holender tureckiego pochodzenia w Utrechcie; zabił kilka osób i ranił kolejne.

Większym za to wyzwaniem, patrząc z perspektywy społecznej, jest przestępczość zorganizowana: mafia, głównie marokańska. Zwłaszcza w Rotterdamie, gdzie mieści się największy europejski port morski. Walki mafijne, przemyt narkotyków, handel ludźmi, wzrost liczby bezdomnych – rozpowszechnione w Holandii, a zwłaszcza w Rotterdamie – doprowadziły do znacznego zwiększenia przestępczości; notuje się wzrost liczby podpaleń, ataków, walk gangów i morderstw.

Kilkaset tysięcy rocznie

Gdy idzie o dynamikę imigracji, znacząca była ostatnia dekada. Urząd Statystyczny przyznaje, że „do 2014 r. przyrost naturalny był głównym czynnikiem napędzającym wzrost liczby ludności w Holandii; od 2014 r. napędzany jest on głównie migracją".

Po tym, jak w 2015 r. przybyło tutaj 205 tys. osób, w kolejnych latach liczby te rosły, aż osiągnęły 269 tys. w 2019 r. Potem nastąpił spadek (do 220 tys. w 2020 r.), ale później, w 2022 r. nowych imigrantów było już ponad 400 tys. (z czego tylko 47 tys. to byli obywatele państw UE). W 2023 r. do Holandii przybyło niemal 337 tys. imigrantów.

Te statystyki, w połączeniu z wyraźnymi zmianami w tkance społecznej i codziennym funkcjonowaniu miast, budzą reakcje w społeczeństwie. W efekcie zmienia się podejście polityków – także z partii mainstreamowych.

W 2021 r., zaraz po tym, jak Amerykanie opuścili Afganistan, ówczesny premier Mark Rutte (i zarazem lider Partii Ludowej na rzecz Wolności i Demokracji, prawicowo-liberalnej) zadeklarował, że Afgańczycy, którzy nie są związani z Holandią, nie powinni być przyjmowani. W tym samym roku uchwalono reformę ustawy o integracji imigrantów. Nakłada ona obowiązek na imigrantów spoza Unii, by przeszli kurs i zdali egzamin z norm społecznych i języka oraz funkcjonowania rynku pracy.

Pomimo krytyki – krytycy zarzucali reformie, że dyskryminuje muzułmanów – została wprowadzona w życie w 2022 r.

Europejski schemat...

W 2023 r. czwarty już rząd Marka Ruttego rozpadł się, a powodem był konflikt o politykę azylową (dziś Rutte stoi na czele NATO). Partie mainstreamowe nie mogły się porozumieć, część koalicjantów blokowała restrykcyjne pomysły (chadecy uznali je za niechrześcijańskie).

Ogłoszono nowe wybory, w których najwięcej głosów, prawie jedną czwartą, otrzymała Partia Wolności – ugrupowanie Geerta Wildersa, którego głównym postulatem od wielu już lat jest radykalne ograniczenie imigracji. Zwłaszcza islamskiej, choć Wildersowi zdarzyło się krytykować także imigrantów z „nowej" Unii, w tym Polaków. Czynił to zwykle w taki sposób, że reszta sceny politycznej traktowała go jak *enfant terrible*.

W ten sposób powstała sytuacja, której schemat powtarza się w ostatnich latach w wielu krajach Europy: na fali sprzeciwu wobec masowej i niekontrolowanej imigracji wybory wygrywa partia, która

OGŁOSZENIE

TOK FM Pierwsze Radio Informacyjne

NASZE DZIENNIKARKI i NASI DZIENNIKARZE goszczą co tydzień w „Światopodglądzie" radia Tok FM. Słuchaj nas, gdziekolwiek jesteś.

95,2 FM Gdynia | 95,8 FM Wrocław | 96,9 FM Opole | 97,4 FM Łódź | 97,4 FM Katowice | 97,7 FM Poznań
87,9 FM Gorzów | 88,2 FM Toruń | 89,2 FM Elbląg | 93,8 FM Lublin | 94,9 FM Kielce **www.tokfm.pl**

przez resztę traktowana była do tej pory jako „niedotykalna" skrajność.

Ciąg dalszy jest potem dwojaki. Albo „niedotykalni" nimi pozostają, a reszta zawiera koalicję, by nie dopuścić ich do władzy. To kazus AfD w Niemczech (choć wygrała w landach wschodnich, władzy nie objęła) czy Partii Wolnościowej w Austrii (wygrała wybory, ale nie udało jej się stworzyć koalicyjnej większości). Albo też zostają dopuszczeni do rządzenia, co skutkuje ich „odczarowaniem" (Finlandia) czy swoistą „normalizacją" (Włochy).

...i holenderska odpowiedź

W Holandii zaistniał scenariusz pośredni: po kilku miesiącach negocjacji stanęło na tym, że w marcu 2024 r. Partia Wolności utworzyła koalicję (razem z partią Ruttego, centroprawicową Nową Umową Społeczną i Ruchem Rolnik-Obywatel), ale Wilders nie wszedł w ogóle do rządu (choć miał ambicję zostania premierem).

Na jego czele stanął, jako postać kompromisowa i ponadpartyjna, Dick Schoof: polityk niezależny, który wprawdzie był kiedyś w Partii Pracy, ale reputację zdobył jako urzędnik, wieloletni szef służb wywiadu i bezpieczeństwa wewnętrznego. Natomiast członkini partii Wildersa, Marjolein Faber, stanęła na czele ministerstwa ds. migracji.

Podobnie jak Polska, rząd Schoofa chciałby rewizji unijnego paktu migracyjnego, w stronę jego zaostrzenia. Chce



ŁUKASZ SAKOWSKI

Okładka holenderskiego „Cosmopolitan", kwiecień-maj 2025 r.

też, na wzór Szwecji, ograniczyć imigrantom prawo do sprowadzania rodzin. I surowiej karać łamiących prawo lub sprawiających problemy społeczne, co uzasadnia kryzysem edukacji, bezpieczeństwa i służby zdrowia.

A także mieszkalnictwa, dlatego minister Faber zapowiedziała wycofanie się z priorytetowego przyznawania mieszkań socjalnych uchodźcom, twierdząc, że łamie to konstytucyjne prawa Holendrów do mieszkań.

Wbrew naciskom Wildersa, Faber uznała natomiast, że ustawa o rozlokowaniu uchodźców w ośrodkach, gdzie mają czekać na decyzję o azylu, będzie obowiązywać co najmniej do 2026 r., gdyż nie można uchylić jej wcześniej. Próby zakładania nowych ośrodków spotykają się teraz często z oporem społecznym.

Po drugiej stronie tej debaty przeciwnicy zaostrzania polityki migracyjnej odwołują się do praw człowieka i idei pomocy ludziom szukającym lepszego życia.

Przyszłość eksperymentu

Imigranci w Holandii mają smykałkę do biznesów spożywczych. Dzięki nim jest wiele małych sklepów i nie ma – jak w Polsce – monopolu kilku sieci (na markety i małe sklepiki). Przy głównych ulicach pełno jest delikatesów, warzywniaków itp. Ulice te tętnią życiem i jest to ten typ gwarności, jaki dobrze wspominam z dzieciństwa lat 90. XX w. na blokowisku.

Widać też, że część nawet muzułmańskich imigrantów integruje się jakoś z większościowym społeczeństwem. Kobiety w hidżabach suną na rowerach. Nikt z tych, z którymi tu rozmawiałem, nie był świadkiem, by muzułmanie wyzywali Europejki za niezasłanianie włosów – jak to bywa w Wielkiej Brytanii czy Francji.

Być może przy odpowiedniej polityce integracyjnej, laicyzacyjnej i zahamowaniu nowej imigracji cały ten demograficzny eksperyment wyszedłby Holendrom na dobre, pewnie najwcześniej za kilkanaście lat. Ale co z nagminnymi kradzieżami, mafią czy zwyczajnym wyrzucaniem śmieci na ulice?

© ŁUKASZ SAKOWSKI

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

Nadal pomagamy walczącej Ukrainie

„Codziennie mamy po 4-5 zwykłych operacji ludzi rannych w twarz. Ponadto raz lub dwa razy w tygodniu prowadzimy operację pełnej rekonstrukcji twarzy, ona trwa zwykle kilkanaście godzin. Moglibyśmy więcej, ale nie mamy dość sprzętu" – mówił nam Otto-Kristian Reininger, 24-letni lekarz-rezydent na Oddziale Chirurgii Szczękowo-Twarzowej szpitala w Kijowie (jest Ukraińcem o węgierskich korzeniach).

Oddział Otta otrzymał koagulator, aparat do poważnych operacji, jaki zawieźliśmy na Ukrainę pod koniec kwietnia w naszym kolejnym transporcie (podarował go czytelnik, który produkuje takie aparaty). Mieliśmy też 15 mobilnych agregatów i jeden mocniejszy agregat, który zasila dziś szpital polowy na zachód od Pokrowska.

Łącznie od jesieni 2024 r. w naszych trzech transportach zawieźliśmy na Ukrainę 65 agregatów i stacji zasilania, 5 koagulatorów i inne materiały medyczne, razem 4,5 tony pomocy. Te dary czytelniczek i czytelników „Tygodnika" trafiły do szpitali polowych, kompanii medycznych i jednostek frontowych. „Dziękujemy za ten świetny aparat, będzie służyć codziennie w każdej operacji" – mówi Otto.

Nasza akcja trwa. Zbiórkę prowadzi współpracujące z nami Stowarzyszenie Inicjatywa Sąsiedzka, a „Tygodnik" jej patronuje.

Numery kont:
– w złotówkach:
20 1090 2590 0000 0001 5044 0623
– w euro:
64 1090 2590 0000 0001 5044 0898
Odbiorca:
Stowarzyszenie Inicjatywa Sąsiedzka.
www.inicjatywasasiedzka.org
(darowiznę można odliczyć od podatku)
Dziękujemy!
„Tygodnik Powszechny"
i Stowarzyszenie Inicjatywa Sąsiedzka



AGNIESZKA ZIELIŃSKA

„Zakończymy biznes mieszkaniowy" – to główne hasło protestów w sprawie tańszych mieszkań w hiszpańskich miastach. Madryt, kwiecień 2025 r.

Pokolenie wynajmu

AGNIESZKA ZIELIŃSKA Z MADRYTU

Hiszpanie wychodzą na ulice, żądając prawa do godnego mieszkania. Kryzys mieszkaniowy to dziś najgorętszy temat społeczny. Ceny najmu rosną, także za sprawą masowej turystyki.

Qué pasa, qué pasa, que no tenemos casa". Co się dzieje? Nie mamy domu, ot co! – skandują w Madrycie. W tle odgłos tysięcy kluczy, które protestujący wznoszą w górę, potrząsając nimi bez przerwy. Maszerują głównymi ulicami, Alcalá i Gran Vía, zachęcając przechodniów, by się przyłączali. „Sąsiadko, obudź się, eksmitują w twoim budynku!".

W samej tylko stolicy tego dnia protestuje, w ocenie organizatorów ze związku najemców, 150 tys. ludzi.

„Nie chcemy nic gratis"

Protest łączy pokolenia. Antonio, lat 87, w pomarańczowej koszulce związku najemców (jest jego aktywistą), zgadza się na rozmowę. Biegnie wzrokiem po tłumie, nie chce zgubić żony. – Ostatnio podpisałem dobrą umowę na wynajem i problem mieszkaniowy chwilowo mnie nie dotyczy – mówi Antonio. – Ale myślę o tych wszystkich młodych, którzy za wynajem pokoju płacą 700 euro miesięcznie. Przy takich cenach nie da się zbudować życia, założyć rodziny. Krzyczymy „koniec z czynszami", ale chodzi oczywiście o uczciwe ceny, nie chcemy nic gratis.

Angela, Meksykanka, od kilkunastu lat mieszka w Madrycie. Niesie transparent, na którym opisano życie Susany: 79-letnia wdowa dzieli mieszkanie z dwoma studentami i śpi w salonie; nie stać jej na wynajem pokoju. – Takich jak ona są w Madrycie tysiące. Rząd powinien ustalić maksymalną wysokość czynszu i określić limit, ile mieszkań może kupić jedna osoba, która ma pieniądze – uważa Angela. – Stworzono biznes z czegoś, co powinno być podstawowym prawem.

Na proteście spotykam też Diego (24 lata) i Davida (22 lata). Przyjaciele i współlokatorzy, śmieją się, że tak już będzie przez całe życie. Potem Diego poważnieje: – Ponad połowę pensji tracimy na czynsz. Eksmitują ludzi z osiedla, na którym mieszkali całe życie, bo ktoś kupił budynek na wynajem dla turystów. Są osiedla, na których wynajem mieszkania kosztuje tyle co pensja minimalna.

David: – Nigdy nie będzie mnie stać na kupno mieszkania. To problem naszego pokolenia. Dotarło do nas, że to, co mówili nam rodzice, jest nieprawdą. Powtarzali, że trzeba się usamodzielnić i kupić dom, by założyć rodzinę. Tych marzeń już nie ma. Jestem pewien, że przez całe życie będziemy musieli wynajmować mieszkania.

Gdy mieszkanie staje się luksusem

Na proteście spotykam też dawną znajomą, Cristinę, niską szczupłą brunetkę z burzą loków. Poznałyśmy się sześć lat temu w Madrycie. Pamiętam, że zabrała mnie wtedy na spacer po centrum: przechadzałyśmy się wzdłuż calle de Bailén, Pałacu Królewskiego i katedry patronki Madrytu, Matki Boskiej Almudeny.

Cristina dawniej mieszkała w tej okolicy. Pokazała mi, w którym budynku. Ścisłe centrum. Ale musiała opuścić to miejsce po kolejnych podwyżkach czynszu: – Rozumiem, że ktoś kupuje sobie trzecie czy czwarte mieszkanie, aby wynająć je turystom. To legalne, ale moim zdaniem amoralne. Również podróżuję i rozumiem, że turyści chcą mieszkać w centrum, ale oni pozostają tu tylko kilka dni. A madrytczycy nie mogą już

wynająć mieszkania w swoim mieście i każdego dnia tracą godziny w pociągu.

Początkowo Cristina przeniosła się z centrum do dalszych dzielnic, ale z czasem i na to nie było jej stać: – Mam 47 lat, nie chcę już dzielić mieszkania ze studentami. Żyję razem z rodzicami na południu Madrytu. W ich czasach łatwiej było kupić mieszkanie.

To, co mówi Cristina, potwierdzają dane opublikowane przez Bank Hiszpanii. Badanie pokazuje, jak poziom zamożności i posiadania domu zmienia się na przestrzeni pokoleń. Wniosek: młodsze pokolenia posiadają mniej domów i gromadzą mniej majątku. Dla przykładu: 81 proc. osób urodzonych w latach 1945-65 już wieku 42 lat miało swój dom. Obecnie tylko 67 proc. z pokolenia dzisiejszych 40- i 50-latków posiada domy.

Badanie pokazuje też, że choć w Hiszpanii rosną pensje i powiększa się majątek gospodarstw domowych, to nieustanie rosną też koszty życia.

Problem najgorętszy

Problem dostępu do mieszkań – wręcz: kryzys mieszkaniowy – to obecnie jeden z najgorętszych tematów społecznych w Hiszpanii. Jest na szczycie listy problemów w sondażu Centrum Badań Socjologicznych z grudnia 2024 r.

Sondaż taki prowadzi się co roku od 40 lat i drugi raz w historii mieszkalnictwo uznano za najpoważniejszy problem (po raz pierwszy w 2007 r., na progu kryzysu finansowego). W ostatnim roku ceny mieszkań w strefie euro najbardziej podrożały właśnie w Portugalii i Hiszpanii – chodzi o podwyżkę rzędu ponad 11 proc., przy średniej europejskiej 4,9 procent.

Ostatnio na stronach z nieruchomościami na sprzedaż pojawił się nowy filtr: „status mieszkania". Powód? Jest coraz więcej nietypowych ogłoszeń z promocyjną ceną: „Studio o powierzchni 50 metrów kwadratowych. Zajęte przez *okupas*, brak możliwości odwiedzin".

Łącznie, jak policzono w podkaście elDiario.es, pod koniec marca było ponad 20 tys. ofert sprzedaży mieszkań ze squatersami (po hiszpańsku: *okupas*).

W rzeczywistości znaczna część tych ogłoszeń to mieszkania zajmowane przez rodziny, które nie mogły już spłacać kredytu hipotecznego, straciły mieszkania, a po ugodzie z bankiem pozostały w mieszkaniu, płacąc uzgodniony czynsz.

Piwnica do zamieszkania

Wysokie czynsze są nie tylko w Madrycie, ale także w Barcelonie, na Wyspach Kanaryjskich i Balearach. To tam w ciągu 10 lat ceny mieszkań na wynajem potroiły się. Stąd coraz więcej w sieci ogłoszeń o wynajmie piwnic, namiotów i przyczep kempingowych. Wśród ogłoszeń można znaleźć też pomieszczenia bez okien czy oferty trzypokojowych mieszkań dla 14 osób.

Pensja minimalna w 2025 r. wynosi w Hiszpanii 1184 euro brutto, przy czternastu wypłatach (dwie dodatkowe tradycyjnie wypłacane na Boże Narodzenie i wakacje). Jednak w większych miastach taka najniższa pensja często nie wystarcza na wynajem mieszkania. Z badania Activum Real Estate wynika, że wynajęcie 60-metrowego mieszkania na Ibizie kosztuje nawet 1360 euro miesięcznie, w Madrycie 986 euro, a w Barcelonie 1173 euro.

Wzrost cen wynajmu w wielu przypadkach prowadzi do eksmisji, czego symbolem stała się emerytka Marina López. W wieku 94 lat została eksmitowana z mieszkania w Madrycie, które zajmowała prawie 35 lat. Mimo wcześniejszych prób blokady eksmisji, doszło do niej w lipcu 2024 r.

Marina López miała 517 euro emerytury i prawie 700 euro czynszu do zapłacenia. Powodem eksmisji było ponad 10 tys. euro długu. Kobieta zmarła pół roku po eksmisji w ośrodku dla osób starszych, a jej historia stała się symbolem problemu eksmisji osób starszych w Hiszpanii.

Turystyka wypycha mieszkańców

W kwietniu miały miejsce pierwsze ogólnokrajowe protesty w sprawie tańszych mieszkań. Demonstranci wyszli na ulice ponad 40 miast. Złączyło ich hasło: koniec biznesu mieszkaniowego. Domagano się obniżenia czynszów, długoletnich umów na wynajem, likwidacji mieszkań turystycznych i wynajmu tych, które stoją puste (w Hiszpanii są ponad 4 mln pustych mieszkań przejętych przez banki; efekt kryzysu finansowego z 2008 r.).

Rzeczniczka związku najemców w Madrycie, Valeria Racu, mówi mi, że protesty nie są wymierzone bezpośrednio w turystów, ale że turystyka i powstawanie coraz to nowych mieszkań turystycznych nasilają problem mieszkaniowy. W Madrycie jest ponad 16 tys. mieszkań turystycznych, w tym ponad 15 tys. jest nielegalnych, tj. nie ma licencji.

– To mieszkania, które jutro mogłyby być wynajęte, ale należą do sektora turystycznego. Musimy je odzyskać – mówi Racu.

Ministerstwo praw społecznych i spraw konsumenckich przeanalizowało wszystkie oferty mieszkań na wynajem w Madrycie z popularnych aplikacji turystycznych. Okazało się, że ponad 90 proc. lokali nie ma licencji turystycznej. Teraz te oferty mają być usunięte, a właściciele ukarani.

– Urząd miasta może nałożyć grzywnę nawet do 30 tys. euro za wynajmowanie mieszkań turystycznych bez licencji. W ciągu ostatnich 10 lat w Hiszpanii utworzono pół miliona mieszkań turystycznych, wiele w sposób nielegalny – mówi mi Andrés Barragán Urbiola z ministerstwa.

Czy prawo nadąży za kryzysem?

W 2024 r. Hiszpanię odwiedziły rekordowe 94 mln turystów (wzrost o ponad 10 proc.). Andrés Barragán uważa, że kraj ma bogatą ofertę hoteli, dlatego nie ma potrzeby tworzenia nowych mieszkań turystycznych, zwłaszcza że brakuje ich dla mieszkańców.

Ministerstwo prowadzi też podobne rejestry mieszkań z aplikacji turystycznych w innych regionach kraju, w tym Andaluzji i na Balearach. Nie jest to trudne: wystarczy przeanalizować adresy podane w aplikacjach i ustalić ich właścicieli, a następnie sprawdzić, czy mają licencję.

Od maja 2023 r. obowiązuje ustawa mieszkaniowa, która pozwala regulować czynsze w oparciu o oficjalny wskaźnik cen. Jak dotąd tylko Katalonia zastosowała jej przepisy w ponad 200 gminach. Regulacja czynszów spowodowała umiarkowany spadek cen, ale także spadek liczby podpisywanych nowych umów wynajmu.

Natomiast w kwietniu weszła w życie nowelizacja ustawy o własności, która zmienia zasady wynajmu mieszkań turystycznych. Właściciele, którzy chcą przeznaczyć swoje mieszkanie na taki wynajem, muszą uzyskać zgodę większości wspólnoty mieszkaniowej. Przy jej braku wspólnota może domagać się zaprzestania wynajmu dla turystów. Za nieprzestrzeganie regulacji grożą grzywny (nawet do 600 tys. euro).

Nowe prawo nie obejmuje jednak dotychczasowych mieszkań turystycznych. ©

Inna Ameryka

MAŁGORZATA SIDZ Z EDMONTON (KANADA)

Partia Liberalna Kanady wygrywa ponownie wybory federalne, chociaż już bez Justina Trudeau. Zawdzięcza to w dużej mierze Donaldowi Trumpowi.

Jeszcze trzy miesiące temu taki wynik nie przyszedłby nikomu do głowy. Opiniotwórczy magazyn „MacLean's", czytany przez ponad trzy miliony Kanadyjczyków (czyli przez co trzynastego mieszkańca), zadecydował zawczasu i majowe wydanie poświęcił Pierre'owi Poilievre'owi i jego Partii Konserwatywnej.

Tymczasem Partia Liberalna, od marca na czele z bankowcem i technokratą Markiem Carneyem, po raz czwarty z rzędu stanie na czele rządu federalnego w Ottawie.

NATURALNY PORZĄDEK | Tutaj mówi się o niej jako o „naturalnej partii Kanady", bo przez 158 lat istnienia państwa to Partia Liberalna desygnowała premiera przez ponad połowę tego czasu. Nie jest też przypadkiem, że Carney potwierdził swoją pozycję jako premiera dokładnie w setnym dniu urzędowania Donalda Trumpa.

Jeszcze na początku tego roku zdawało się, że opozycyjni konserwatyści mają zwycięstwo w kieszeni. Wśród osób mających głosować po raz pierwszy notowano ogromny wzrost poparcia dla nich i ich lidera Pierre'a Poilievre'a. Pod jego rządami Kanada miała stawiać na przemysł wydobywczy, inwestycje w armię i nowe technologie. Poilievre obiecywał, że skończy z podatkiem węglowym, zbuduje mieszkania w przystępnej cenie oraz rozprawi się z przestępczością i plagą narkotyków.

Obietnice Poilievre'a były odpowiedzią na realne niepokoje Kanadyjczyków, zmęczonych rosnącymi kosztami życia i wzrostem przestępczości.

WOBEC TRUMPA | Liberałowie wykonali jednak zwrot: 6 stycznia Justin Trudeau, znienawidzony przez wielu, podał się do dymisji, a 14 marca premierem został, jeszcze w starym rozdaniu parlamentarnym, Carney. W jego osobie Partia Liberalna postawiła nie na zawodowego polityka, lecz ekonomistę z wielkim doświadczeniem w świecie finansów, który wcześniej kierował Bankiem Kanady i Bankiem Anglii.

W wielu sferach Carney chce kontynuować politykę Trudeau, opartą na sprawiedliwości społecznej i suwerenności gospodarczej. Zapowiada zieloną transformację gospodarki, wysokimi podatkami dla najbogatszych chce finansować dobrą opiekę zdrowotną i edukację, chce budować tanie nieruchomości i pomagać rodzinom.

Carney przyniósł efekt świeżości, tzw. *honeymoon effect*. Mógł też przez półtora miesiąca wykazać się jako premier. Nie marnował czasu: ruszył zacieśniać więzi z Europą, rozmawiał z przedstawicielami Pierwszych Narodów, a przede wszystkim stawił czoło Trumpowi. Pokazał się jako lider nastawiony na umocnienie więzi międzynarodowych, a to daje nadzieję na zatrzymanie spadku kanadyjskiej gospodarki, na razie wciąż silnie uzależnionej od USA.

SKOJARZENIE | Dziś można spekulować, czy wynik wyborów byłby inny, gdyby Poilievre – zamiast skupić się na atakowaniu Trudeau – więcej mówił o programie. Obiecywał on wielką zmianę po rządach Liberałów, które, jak mówił, „doprowadziły kraj do ruiny". Za „symbol straconej dekady" uznał namiotowe obozowiska bezdomnych, rozrastające się w miastach. Tymczasem Trudeau wycofał się, a Liberałowie znieśli podatek węglowy dla konsumentów – podczas gdy te kwestie stanowiły istotę agendy Poilievre'a.

Na początku kampanii Poilievre został przez media ochrzczony „kanadyjskim Trumpem" i ta etykieta była wtedy atrakcyjna. Ale gdy Trump wypowiedział Kanadzie wojnę handlową i zasugerował, że może ją dołączyć do Stanów Zjednoczonych, skojarzenie trudno było już odwrócić.

WIELCY PRZEGRANI | Ceny mieszkań, przestępczość – to wciąż ważne kwestie. Ale to negocjacje z Trumpem okazały się najważniejsze dla wielu wyborców. Kanadzie udało się uniknąć największych ceł, a wielu wierzy, że to dzięki postawie Carneya i jego rozmowom z Trumpem. Ten zdążył udowodnić, że pod jego rządami nic nie będzie przewidywalne. Kanadyjczycy uznali, że to Carney uratuje Kanadę przed skutkami jego impulsywnych decyzji.

Choć więc kanadyjski system partyjny jest bardzo różnorodny, tegoroczne wybory stały się starciem dwóch partii, a Kanadyjczycy do końca w napięciu śledzili sondaże, które pokazywały, jak z każdym tygodniem rządów Trumpa rośnie znowu poparcie dla Liberałów.

I na koniec to oni wygrali: otrzymali 169 miejsc w parlamencie federalnym, Konserwatyści zaś 144 miejsca, Partia Quebecka 22, najwięksi przegrani wyborów, Nowi Demokraci, zaledwie 7 (stracili 17 miejsc, a ich lider Jagmeet Singh podał się natychmiast do dymisji). Jedno miejsce przypadło Zielonym. Pierre Poilievre nie zdobył mandatu poselskiego.

GŁOSY ULICY | W okolicach wyborów pytam sąsiadów i nieznajomych z Edmonton, na kogo oddają głos.

Ulisses, który przeprowadził się do Alberty z Meksyku 15 lat temu jako nastolatek, głosował za Poilievre'em, bo lider Konserwatystów wspiera bitcoin. – Obiecał, że Kanada będzie światową stolicą kryptowaluty. Poilievre sam używa bitcoinów i chce, żeby krypto było alternatywą dla dolara – tłumaczy Ulisses.

Cat jest lesbijką, dlatego przez całe życie głosowała na Partię Liberalną. Tym razem jednak głosuje na Partię Konserwatywną: – Poilievre obiecał, że rozprawi się z przestępczością i wyśle na przymusowy odwyk narkomanów. Jestem przedszkolanką, bezpieczeństwo dzieci jest dla mnie najważniejsze.

Także Yves-Lorne głosuje na konserwatystów, bo boi się, że liberałowie „zabiorą mi broń". Uważa też, że Partia Liberalna kradnie konkurentom idee: – Kiedy Konserwatyści powiedzieli, że trzeba cof-



SOPA IMAGES / GETTY IMAGES

Na dzień przed wyborami premier Mark Carney przemawia do zwolenników. Edmonton, 27 kwietnia 2025 r.

nąć podatek węglowy, Liberałowie go cofnęli. Gdy mówili o przestępczości i rynku mieszkaniowym, to Liberałowie zaczęli to za nimi powtarzać.

Joginka Mackenzie zagłosowała na Liberałów, jak zawsze, bo ważna jest dla niej sprawiedliwość społeczna, prawa mniejszości rasowych i seksualnych. Dlatego „zawsze będzie w opozycji do Konserwatystów".

Tymczasem Jamie, która zawsze głosuje na Partię Konserwatywną, postanowiła tym razem oddać głos na Liberałów. Przekonał ją Carney: doświadczeniem w bankowości i wiarą chrześcijańską w sercu.

Podobnie uważa Erin, makijażystka, która do niedawna planowała głosować na Partię Konserwatywną i „za żadne skarby" nie oddałaby znów głosu na Trudeau: – Ze względu na sytuację ekonomiczną, w której jesteśmy, Carney jest najlepszy. Jest lepszym, sprawdzonym liderem. Ma czystą kartę, żadnych skandali. Owszem, przydałaby się nam zmiana, bo Liberałowie rządzą od wielu lat. Ale sam Carney ma bardzo konserwatywny sposób myślenia. Myślę, że on sprowadzi Liberałów w stronę centrum, w stronę konserwatywną.

Partner Erin głosował na Konserwatystów: – Tak jak wielu konserwatystów nie lubię Pierre'a, nie ufam mu, ale chcę zmiany rządu. Mój głos to głos na partię, nie na Poilievre'a. Moja mama powtarza, że Poilievre sprzedałby nas Stanom, a że Carney będzie umiał negocjować z Trumpem.

KONIEC EPOKI | W przemówieniu zaraz po ogłoszeniu wyników Carney zapowiedział negocjacje z USA z pozycji suwerennego narodu i ze świadomością, że „mamy wiele, wiele innych opcji, żeby budować dobrobyt dla wszystkich Kanadyjczyków".

„Nasza relacja ze Stanami Zjednoczonymi, oparta na stabilnie rosnącej współpracy, jest zakończona. System globalnego wolnego handlu, zakotwiczony w USA, na którym Kanada polegała od II wojny światowej – ten system, który chociaż nie idealny, to dostarczał dobrobyt naszemu krajowi od dekad – zakończył się" – mówił Carney.

Ponownie podkreślał, że „Stany Zjednoczone chcą kanadyjskiej ziemi, wody, zasobów, kraju". I że nigdy to nie nastąpi. „Nigdy. Prezydent Trump chce nas złamać, żeby Stany Zjednoczone mogły nas sobie przywłaszczyć. To nigdy, przenigdy się nie wydarzy".

Carney obiecuje, że będzie premierem „wszystkich Kanadyjczyków", także tych, którzy na niego nie głosowali. Poza negocjacjami z Trumpem, jednym z jego pierwszych wyzwań będzie opracowanie planu ułatwienia handlu między prowincjami (to odpowiednik stanów w USA). Zniecierpliwieni Kanadyjczycy oczekują też niższych rachunków w sklepach i niższych cen nieruchomości.

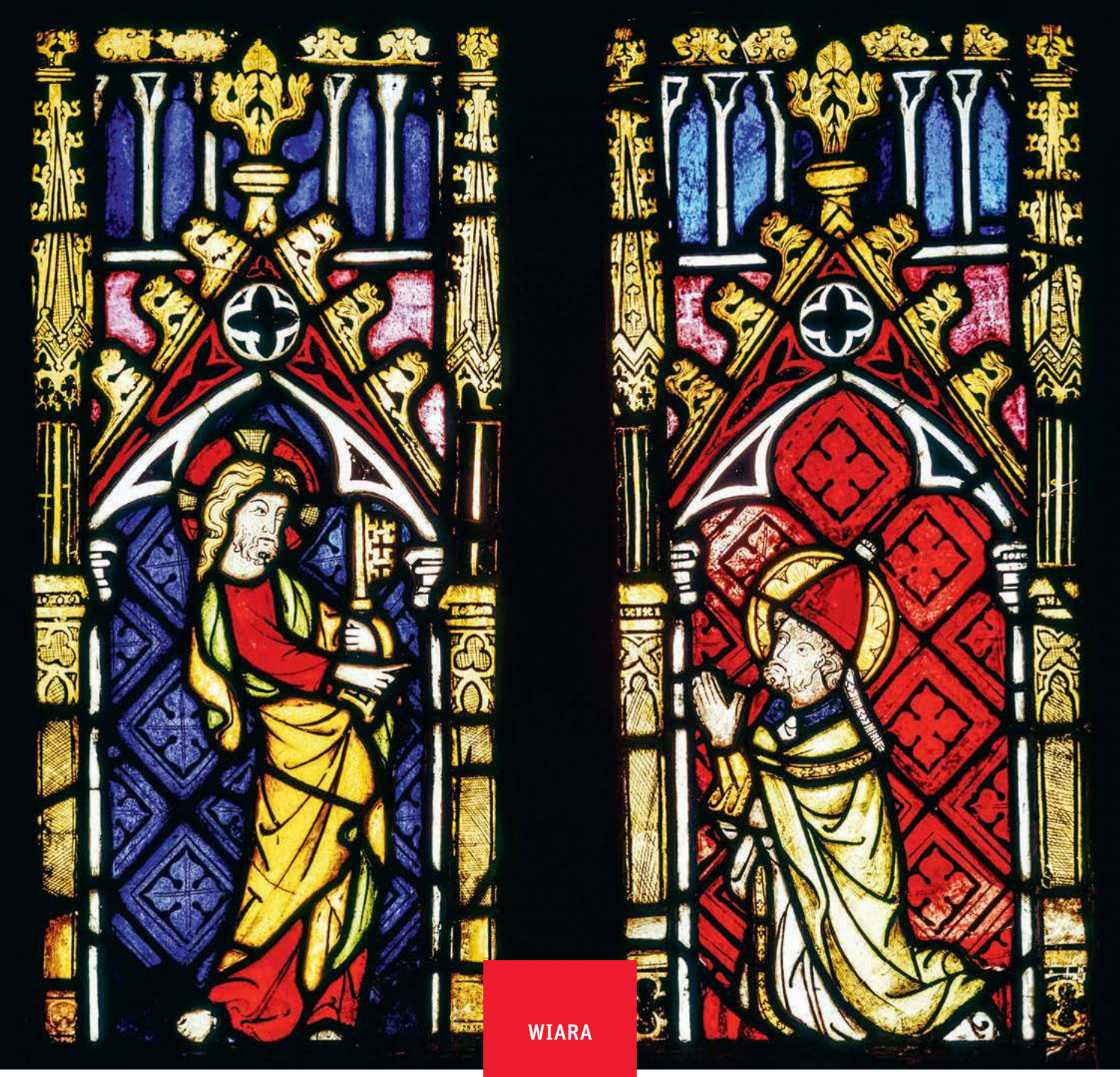
„*Build, baby, build!*", „buduj, kochanie, buduj!" – mówił Carney, parafrazując powiedzenie Trumpa, gdy ten zapowiadał zwiększenie wydobycia paliw kopalnych („*drill, baby, drill!*" – „wierć, kochanie, wierć!").

CIEKAWE CZASY | Z kolei Poilievre w swoim wystąpieniu powyborczym dziękował wyborcom partii, pogratulował Carneyowi, nazwał wyniki „praktycznie remisem" i podkreślił, że Liberałowie zasiądą na czele mniejszościowego rządu. Rzeczywiście, Liberałom do samodzielnej większości parlamentarnej zabrakło zaledwie trzech miejsc. Nie wydaje się, aby Partia Quebecka była odpowiednim dla nich koalicjantem.

Kanadyjskie media straszą teraz, że wygrana Liberałów może ponownie rozbudzić tzw. zachodni separatyzm: że rozczarowani podejściem rządu Carneya do paliw kopalnych, mieszkańcy prowincji Alberta będą woleli odłączyć się od Kanady, może nawet zostać kolejnym stanem USA. Tymczasem silna pozycja Partii Quebeckiej w rządzie mogłaby wpłynąć łagodząco na budzenie podobnych nastrojów w Quebecu, gdzie w przeszłości silne były głosy opowiadające się nawet za niepodległością tej wschodniej frankofońskiej prowincji.

Brytyjski „Spectator" nazywa wyniki kanadyjskich wyborów „rewanżem centrystów": przesunięcie oczekiwanych wyników o 20 punktów procentowych w ciągu zaledwie trzech miesięcy ma pokazywać, że Kanada nie jest tak spolaryzowana, jak mogłoby się wydawać, i że ludzie są gotowi głosować na idee, na program wyborczy, a nawet na lidera ponad partyjnymi podziałami. Wybory pokazują też, że nic nie potrafi zjednoczyć tak bardzo, jak wspólny wróg. A najlepszym wrogiem dziś jest ten, kto jeszcze wczoraj był przyjacielem.

Polityka kanadyjska i światowa stają się mniej przewidywalne. Typowany na zwycięzcę Poilievre stracił nawet miejsce w parlamencie, przywódca Nowych Demokratów złożył rezygnację, a Mark Carney, który dopiero w marcu wszedł do polityki, zaczyna urzędowanie z bardzo mocną pozycją. ©



WIARA

Chrystus przekazujący klucze św. Piotrowi. Witraż, ok. 1315–1320, Kolonia, Niemcy

PIERWSZY ZNACZY SŁUGA

Zjawisko kulturowe pod tytułem „papież” ma głębokie biblijne i teologiczne korzenie. Niedobrze byłoby redukować prymat Piotrowy wyłącznie do władzy nad kościelną instytucją.

MONIKA BIAŁKOWSKA

Był rok 49. Jezus zmartwychwstał zaledwie kilkanaście lat wcześniej. Paweł z Barnabą zdążyli właśnie wrócić ze swojej wyprawy misyjnej, podczas której przeszli przez Cypr, Syrię, Pamfilię, Cylicję. Mieli świeżo w pamięci twarze tych, którzy z przejęciem przyjmowali prawdę o Jezusie, choć wcześniej wierzyli w wielu bogów. Kiedy wrócili do Antiochii, dowiedzieli się, że w Jerozolimie chrześcijanie są oburzeni: jak można chrzcić tych, którzy wcześniej nie przyjęli Prawa? Przecież poganie najpierw powinni zostać Żydami! Przed chrztem powinni przejść obrzezanie, zachowywać posty, wypełniać wszystkie obowiązki. Bez tego nie można zostać chrześcijaninem!

To był pierwszy tak poważny konflikt w młodym Kościele. Na dodatek wywołał go – pośrednio wprawdzie – Paweł, ten, który za Jezusem nie chodził, nigdy Go za życia nie spotkał. Trzeba było rozstrzygnąć, kto ma rację. Paweł z Barnabą pojechali więc do Jerozolimy spotkać się z Piotrem. Zebrał się pierwszy sobór, na którym apostołowie i starsi wysłuchali Pawłowej relacji o misyjnych sukcesach. Słuchali się, spierali, dyskutowali. Ostatecznie ustalono to, co ma swoje konsekwencje również i dla nas dzisiaj: że na nawracających się pogan nie będą nakładane dodatkowe ciężary judaizmu.

Wygrała opcja Pawła. Ale to nie Paweł podejmował decyzję. Wiedział, że musi przyjść do Piotra – bo to Piotr jest potwierdzeniem, że głoszona nauka zgodna jest z myślą Jezusa. Pieczęć Piotra jest stwierdzeniem prawdy Kościoła. Tak rodził się prymat.

Prymat Piotra

Prymat biskupa Rzymu jest zjawiskiem, które nie ma odpowiednika we współczesnym, świeckim świecie. Jednocześnie jest przyjmowany w sposób naturalny, jako fakt nierozłącznie związany z Kościołem katolickim. Cały współczesny świat, niezależnie od wyznawanej religii, wie, kto to jest papież – widzi w nim głowę Kościoła, której decyzje w sprawach zasadniczych nie są kwestionowane. Cały świat wstrzymuje oddech, żegnając jednego i czekając na kolejnego następcę św. Piotra. Zjawisko kulturowe pod tytułem „papież" ma swoje głębokie biblijne i teologiczne korzenie i niedobrze byłoby redukować prymat Piotrowy wyłącznie do władzy nad kościelną instytucją.

Prymat biskupa Rzymu oznacza – najogólniej mówiąc – że każdorazowy biskup Wiecznego Miasta ma najwyższe zwierzchnictwo i posłannictwo w Kościele. To on jest pierwszy w prowadzeniu Kościoła i do niego należy strzeżenie depozytu wiary – dbanie, by nauka Kościoła nie uległa zafałszowaniu.

Przez wieki to zadanie było wypełniane różnie i nieidealnie, czasem wręcz wiązało się ze zgorszeniem. Jednak jeszcze w 1991 r. kard. Joseph Ratzinger, na długo zanim sam został papieżem, pisał, że nawet niekatolicy przyjmują konieczność istnienia wspólnego centrum chrześcijaństwa, które chroni przed wpływami politycznymi i uzależnieniem od świeckiej władzy. Jeden, jasny punkt odniesienia pomaga nie zginąć pośród wielu ideologii. Dziś trudno nie zauważyć, jak ważny staje się ów wspólny i jednoznaczny punkt odniesienia w zglobalizowanym świecie, w którym każdy może stać się autorytetem – wystarczy, że sam się nim ogłosi. Prymat Piotra nie jest sposobem na zazdrosne utrzymywanie autorytarnej władzy w jednym ręku. Ma służyć jedności i trwałości Kościoła.

Najpierw Kefasowi

Jak to się wszystko zaczęło? Oczywiście od Piotra. Jeśli uważnie wczytać się w Nowy Testament, Piotr jest w nim wszędzie tam, gdzie wydarzają się sprawy najważniejsze. To on jest świadkiem zmartwychwstania Jezusa i choć pusty grób odkrywają kobiety (nie przypadkiem), to on jako pierwszy wchodzi do środka. Więcej: kiedy Paweł pisze o tym w Pierwszym Liście do Koryntian, nie opisuje historii jak inne. Ten zapis jest najstarszym wyznaniem wiary („credo korynckie").

Oko badacza dostrzeże z łatwością, że autorem tego fragmentu nie jest Paweł, choćby dlatego, że używał zupełnie innych słów. Paweł, pisząc, że Zmartwychwstały ukazał się „najpierw Kefasowi, a potem Dwunastu", przekazał starszą formułę, będącą już wtedy dziedzictwem tradycji. Świadectwo Piotra jako kryterium prawdziwości zmartwychwstania było już wtedy – niespełna dwadzieścia lat po śmierci Jezusa – prawdą wiary.

Skała świata

Zanim jednak Piotr stał się świadkiem zmartwychwstania, chodził za Jezusem jako prosty rybak i nic nie zapowiadało, że jego imię – nowe, nadane mu przez Mistrza – przetrwa tysiące lat. Jezus przygotowywał go do tej roli. Piotr był przy przemienieniu Jezusa i na modlitwie w Ogrójcu. Usłyszał od Niego pytanie „czy mnie miłujesz?" i zadanie „paś owce moje". To Piotr pytał, ile razy należy przebaczać, i szedł do Jezusa po wodzie.

Jezus nazwał go „skałą, kamieniem". Nowe, dodatkowe imię nadawali czasem swoim uczniom również rabini. O tym, że nie było to własne imię Piotra, świadczy fakt, że aramejskie „Kefas", używane przez Pawła, ewangeliści zapisywali po grecku jako „Petrus". Imion własnych się nie tłumaczy, w dodatku w grece zabieg ten wymagał zmiany formy i rodzajników (*Petros – Petra*). Gdyby było to imię własne i gdyby nie nadane zostało bezpośrednio przez Jezusa, pisanie o nim nie miałoby większego sensu.

W przeciwieństwie jednak do rabinów, Jezus nie nadał Piotrowi imienia, które odzwierciedlałoby jego charakter. Piotr nie był stały w wyznawanych przez siebie uczuciach wobec Pana. Łatwo go było wystraszyć. Był porywczy, działał szybciej niż myślał. Jaka to skała i opoka? Kard. Ratzinger pisał, że imię to trzeba rozumieć wyłącznie w kontekście posługi – tego, kim Piotr dopiero miał się stać. Nawiązuje ono przecież do tekstów rabinicznych, w których Jahwe, zastanawiając się nad sensem stworzenia świata, dostrzega Abrahama i nazywa go „skałą, na której może skonstruować i założyć świat". Ratzinger pisze: „Szymon, który jako pierwszy wyznał, że Jezus jest Chrystusem, i sam jest pierwszym świadkiem zmartwychwstania, staje się obecnie – z osobistą wiarą Abrahama, chrystologicznie odnowioną – skałą przeciwstawiającą się całej fali niewierności i niszczenia człowieka".

Kamień zgorszenia

Piotr sam z siebie nigdy nie był „skałą" – i nie jest nią również żaden jego następca. Piotra, w jego ludzkiej kondycji, Jezus nazwał szatanem, wyrzucając go precz. Jego siła i misja w Kościele pochodzi wyłącznie z mocy Chrystusa. Znów trudno tu nie przytoczyć kard. Ratzingera, który pisze: „Ukazuje się tutaj w formie dramatycznej napięcie pomiędzy darem pochodzącym od Pana a siłami własnymi; zaczyna się też w jakimś stopniu cały historyczny dramat papieży, w którym mamy wciąż ↦

ROGERS FUND, 1929 / THE METROPOLITAN MUSEUM OF ART / DOMENA PUBLICZNA

↦ do czynienia z tymi dwiema rzeczywistościami: tą, że papiestwo stanowi fundament Kościoła dzięki mocy, która nie z niego wypływa, oraz tą, że równocześnie niektórzy papieże stają się – ze względu na swe ludzkie bytowanie (»ciało i krew«) – kamieniem zgorszenia, starając się wyprzedzić lub ominąć Chrystusa, zamiast iść za Nim, albo też uważając, iż powinni wytyczać według własnej logiki drogę, którą tylko On może ustalić: »nie myślisz o tym, co Boże, ale o tym, co ludzkie«".

Kto wie? Rzym wie

Wróćmy jednak do historii. Apostołowie po zmartwychwstaniu Jezusa poszli w różne części ówczesnego świata. Piotr był pośród nich pierwszy, jako ważny punkt odniesienia. Paweł we wspólnotach, do których szedł, mówił o dominującej roli Piotra. Sam się do niego odwoływał i ryzykował aż dwa powroty do Jerozolimy, gdzie groziła mu śmierć, byle tylko Piotra poznać i sprawdzić u niego, czy to, co sam głosi, jest prawdziwą Ewangelią.

Skąd jednak Rzym? Wiemy, że zarówno Piotr, i jak Paweł do Rzymu dotarli. Obaj ponieśli tam męczeńską śmierć. A miejsce śmierci Piotra bardzo szybko stało się miejscem, w którym miała być kontynuowana jego misja.

Nie było jednak tak, jak by się wydawało: że oto ktoś po Piotrze ogłosił się jego następcą, podporządkowując sobie pozostałych wiernych. W starożytnym świecie biskupów było wielu i każdy sprawował władzę na własnym terenie. Tyle że coraz częściej między biskupami, którzy nie pamiętali już samego Jezusa, pojawiały się spory, co rzeczywiście jest zgodne z Jego myślą. Instancją, która – wydawało się – będzie potrafiła odpowiedzieć, czego chciałby Jezus i co jest naprawdę chrześcijańskie, był pierwszy spośród apostołów: Piotr. A skoro już nie żył – to jego następca, biskup Rzymu.

Przewodzący w miłości

Około 107 r. Ignacy, biskup Antiochii, pisał swój list do Rzymian. Chwalił w nim mieszkańców, kierował do nich prośby, ale w tekście najbardziej zwraca uwagę jego uroczysty adres, jakiego nie ma żaden z innych listów Ignacego: „[Kościół,] który przewodzi w krainie Rzymian, godny Boga, godny czci, godny błogosławieństw, godny pochwały, godny powodzenia, godny czystości i przewodzący w miłości, naznaczony prawem Chrystusa i imieniem Ojca". Owo „przewodzenie w miłości" to pierwszy w historii Kościoła zapis stanowiący świadectwo przewodnictwa Kościoła rzymskiego wobec innych wspólnot chrześcijańskich. Nie oznaczało władzy, ale wezwanie do większej doskonałości, do bycia swego rodzaju wzorem chrześcijańskiego życia i w ten sposób punktem odniesienia dla innych.

Sto lat później Ireneusz z Lyonu pisał na temat Rzymu, gdy występował przeciwko heretykom – nazwał go największym, najstarszym i znanym wszystkim, „ponieważ z tym Kościołem ze względu na jego szczególne pierwszeństwo powinien koniecznie zgadzać się każdy Kościół, to znaczy wierni wszędzie; z nim, w którym zawsze, dla dobra wszystkich, została zachowana tradycja pochodząca do apostołów". Te słowa są już wprost stwierdzeniem prymatu, który nie polega na zniewoleniu chrześcijan czy budowaniu nad nimi władzy, ale na opiece przed tymi, którzy mogą próbować (świadomie lub nieświadomie) zafałszować prawdy wiary.

Jedność, nie ekskomunika

Nie tylko inne Kościoły lokalne odwoływały się w kłopotach do Rzymu. Sam Kościół w Rzymie ze swoimi biskupami był świadomy roli, jaka na nim ciąży. Pierwszym ważnym sporem, w którym Rzym musiał podjąć decyzję, był konflikt o datę świętowania Wielkanocy. Nie wchodząc w szczegóły, chodziło o to, czy zmartwychwstanie Jezusa obchodzone być powinno 14 dnia żydowskiego miesiąca nisan (data ta wypada w pierwszą wiosenną pełnię księżyca), czy w niedzielę po tej pełni. Spór trwał przez dziesiątki lat, od połowy II wieku. Za pierwszą opcją opowiadały się głównie Kościoły z Azji Mniejszej. Jej zwolennicy przybyli nawet w 195 r. do Rzymu, by narzucić swój zwyczaj zachodowi Kościoła, uważającemu, że dniem zmartwychwstania powinna być jednak niedziela.

Ostatecznie, gdy wszystkie inne Kościoły opowiedziały się na lokalnych synodach za niedzielą i powołały na tradycję św. Piotra, biskup Efezu uznał, że jego tradycja nie jest mniej ważna, bo wyrosła na innym apostole, św. Filipie. I wtedy wkroczył biskup Rzymu, Wiktor I, grożąc buntującym się Kościołom wschodnim wyłączeniem ze wspólnoty.

Prawdopodobnie swojej groźby nie spełnił. Ułagodzili go inni biskupi, przypominając, że ma się starać o „pokój, jedność i miłość bliźniego", a nie wykluczać. Jednak ta właśnie historia jest pierwszym

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

Nasze podkasty się rozwijają!

Dotychczasowe cykle tematyczne dostały własne kanały. W aplikacji, w której słuchasz podkastów, koniecznie odszukaj i zasubskrybuj:



PODKAST TYGODNIKA POWSZECHNEGO



TYGODNIK POWSZECHNY KULTURA



TYGODNIK POWSZECHNY NAUKA



STRONA ŚWIATA JAGIELSKI & STORY



SZKOŁA UCZUĆ

Szczegółową ramówkę znajdziesz na stronie TygodnikPowszechny.pl/Podkast

Weź, słuchaj!

przykładem realnego sprawowania władzy prymatu.

Między Rzymem a Konstantynopolem

Po edykcie mediolańskim (313 r.) Kościół przestał być jedynie wspólnotą wyznających wiarę w Zmartwychwstałego, a zaczął wyrastać na poważną instytucję, umocowaną w świeckich, a nawet światowych ramach. Od V wieku to właśnie w Rzymie rozstrzygano wszystkie sprawy między wiernymi i duchownymi różnych stopni, a wyroki te uznawano za nieodwołalne.

Rzym nie był jednak jedyny, bo na Wschodzie nadal ważną rolę odgrywał patriarcha Konstantynopola. Na przełomie V i VI wieku papież Gelazy w czasie swojego krótkiego pontyfikatu zdążył napisać aż sto pięćdziesiąt listów, próbując poukładać relacje z Konstantynopolem. Bezskutecznie. To Gelazy ukuł stwierdzenie „Roma locuta est, causa finita". Żywy konflikt między Wschodem a Zachodem o pierwszeństwo w Kościele umarł śmiercią naturalną w momencie wielkiej schizmy wschodniej. Drogi Kościoła Wschodu i Zachodu się rozeszły, a kwestia prymatu Rzymu do dziś pozostaje ważnym i trudnym problemem w dialogu ekumenicznym.

Kościół na Zachodzie rósł w siłę i stawał się kryterium jedności tym bardziej, im bardziej słabło cesarstwo rzymskie. Teologię prymatu budował papież Leon Wielki (zm. 461), którego władza była wciąż jedynie symboliczna, i Grzegorz Wielki (zm. 604), którego z kolei władza świecka ani trochę nie interesowała, za to mocno dbał o sprawiedliwość i zwalczanie kościelnej korupcji.

Kolejne wieki są jednak opowieścią o zwiększaniu władzy świeckiej i coraz większej zależności Kościoła od kolejnych cesarzy i królów, którzy z łatwością wprowadzali swoich protegowanych na najwyższe kościelne stanowiska, z biskupstwem Rzymu włącznie. Paradoksalnie wyzwolenie przyniosła dopiero rewolucja francuska: kiedy państwo stało się świeckie, Kościół zyskał niezależność od świeckiej władzy, a biskupi mogli na powrót podlegać papieżowi, a nie królowi.

Dla posługi miłości

Doktrynalne orzeczenie o prymacie Rzymu pojawiło się późno, bo dopiero na Soborze Watykańskim I (1869-1870).

Dziś najważniejszy w posłudze papieża wydaje się prymat służebny, który rozumie papieża jako tego, **który nie rządzi czy ogłasza prawa, ale służy jedności Kościoła i jego miłości.**

Wtedy to w konstytucji „Pastor aeternus" wyłożona została cała nauka na temat prymatu, który miał być służbą jedności wiary i wspólnoty Kościoła. Uznano, że jest władzą jurydyczną i honorową, trwa stale w papieżu i jego następcach. Władza papieża z Bożego ustanowienia jest złączona z urzędem, powszechna w całym Kościele, najwyższa, niepodzielna i pełna.

Sobór Watykański II potwierdził tę naukę, wprowadzając jednak ważny wątek ekumeniczny, podejmowany później przez Jana Pawła II i Franciszka. Jan Paweł II w „Ut unum sint" pisał: „Modlę się gorąco do Ducha Świętego, by obdarzył nas swoim światłem i oświecił wszystkich pasterzy i teologów naszych Kościołów, abyśmy wspólnie poszukiwali takich form sprawowania owego urzędu, w których możliwe będzie realizowanie uznawanej przez jednych i drugich posługi miłości".

Władza i nieomylność

Jeśli dziś spojrzeć na prymat teologicznie, mówić można o kilku typach jego sprawowania. To często kwestia akcentów, w różnym czasie historii kładzionych w różnych miejscach.

Prymat, jak rozumiemy go najczęściej, czyli w kluczu jurydycznym, daje papieżowi bezpośrednią i pełną władzę nad Kościołem w sprawach zarówno nauczania, jak i zarządzania. Został opisany doktrynalnie przez dwa ostatnie Sobory i w ten sposób sprawowany był przez kilka wieków w historii. Tak rozumiany prymat jest dla Kościoła gwarantem jedności doktryny, choć osłabia rolę biskupów diecezjalnych i mocno – czasem zbyt mocno – koncentruje jego życie wokół Rzymu, odzierając Kościół z lokalności. Często również był przyczyną uwikłania Kościoła w triumfalizm i konkurencję z wielkimi władcami świeckimi.

Z kolei prymat czytany w kluczu dogmatycznym wiąże się z wizją Piotra jako najwyższego nauczyciela wiary – osoby będącej gwarantem jedności i nauczania, z przywilejem nieomylności. Ten aspekt prymatu biskupa Rzymu wybrzmiewa najrzadziej: ostatnim papieżem, który się do niego odwołał wprost, był Pius XII, ogłaszając w 1950 r. dogmat o wniebowzięciu NMP. Biorąc pod uwagę, że od tego czasu minęło 75 lat i sześć pontyfikatów papieży, którzy nie użyli przywileju ogłaszania nieomylnie prawd dogmatycznych, można przypuszczać, że ten aspekt pozostaje dziś już tylko teologicznym przywilejem i możliwością.

Służba i kolegialność

Dziś najważniejszy w posłudze papieża wydaje się prymat służebny, który rozumie papieża jako tego, który nie rządzi czy ogłasza prawa, ale służy jedności Kościoła i jego miłości; który wspiera i umacnia Kościoły, a nie sprawuję władzę. Ten aspekt szczególnie mocno rozwijany jest i ukazywany w Kościele po Soborze Watykańskim II i encyklice Jana Pawła II „Ut unum sint". Nie ma w nim rysów dominacji, jest za to wezwanie, by papież był przywódcą duchowym i moralnym.

Prymat honorowy (*primatus honoris*) wreszcie, również dziś mocno akcentowany, to prymat znany z pierwszych wieków, gdy biskup Rzymu rzeczywiście był „pierwszym wśród równych". Tak często (nie zawsze) rozumiał swój prymat papież Franciszek i czynił go przedmiotem rozmów w dialogu ekumenicznym. Nie daje on realnej władzy nad Kościołami, ale z pewnością może budować jedność większą niż ta, z którą mamy do czynienia dzisiaj.

Jedności Kościoła służy również rozwijana w ostatnich latach pontyfikatu Franciszka wizja prymatu kolegialnego, gdzie papież działa nie ponad, ale razem z biskupami jako „pierwszy wśród równych". Biskupi lokalni nie są jego podwładnymi, ale partnerami w przechowywaniu depozytu wiary i czytaniu znaków czasu. Oni także biorą odpowiedzialność za Kościół, mimo że ostatecznie – jak na Soborze Jerozolimskim – głos potwierdzający należy do Piotra. Choć wielu ten sposób sprawowania władzy Piotrowej może niepokoić, to właśnie on jest dla Kościoła najbardziej naturalny i pierwotny, bo od niego wszystko się zaczynało. © MONIKA BIAŁKOWSKA

Jak papież z papieżem

MARTA ZABŁOCKA

Każdego roku 10 maja dzwonił do Franciszka. Zapowiada, że ma zamiar podtrzymać tradycję. Bez względu na to, kto zostanie wybrany.



Pierwsze kroki w roli papieża stawiali w tym samym czasie. Intronizacja Tawadrosa II na patriarchę Koptyjskiego Kościoła Ortodoksyjnego odbyła się w kairskiej katedrze 18 listopada 2012 r. Po czterech miesiącach, 13 marca 2013 r., swój pontyfikat w Watykanie rozpoczął Franciszek. Dwaj papieże spotkali się po raz pierwszy już dwa miesiące później. Wtedy, jak dziś wspomina Tawadros II, „zrodziła się wielka i silna przyjaźń" między nimi.

Straciłem przyjaciela

– Franciszek zajmuje wyjątkowe miejsce w moim sercu – mówi, gdy pytam go o relacje z biskupem Rzymu. Rozmawiamy w szczególnym dniu: 26 kwietnia, gdy na placu św. Piotra trwają uroczystości pogrzebowe rzymskokatolickiego papieża.

Patriarcha wraca pamięcią do 2013 r. i pierwszej rozmowy z Franciszkiem. To wtedy podjęli wspólną decyzję, by każdego roku, 10 maja, obchodzić Dzień Przyjaźni Koptyjsko-Katolickiej. Data nie jest przypadkowa – tego dnia w 1973 r. doszło w Watykanie do historycznego spotkania Pawła VI z Szenudą III, patriarchą Aleksandrii. Ówcześni papieże podpisali przełomową „Wspólną deklarację chrystologiczną", w której uznali wspólną wiarę w Jezusa Chrystusa „doskonałego Boga co do swojej boskości, doskonałego człowieka co do swojego człowieczeństwa". Był to symboliczny moment pojednania katolików i Koptów od czasu schizmy, do której doszło w 451 r., podczas Soboru Chalcedońskiego. Franciszek nazwał tamto spotkanie „historycznym kamieniem milowym w relacjach między Stolicą św. Piotra a Stolicą św. Marka".

Tawadros II idzie wytyczoną wtedy ekumeniczną ścieżką. Do najbardziej znaczących wydarzeń zaliczył wizytę papieża Franciszka w Egipcie w 2017 r. i swój udział w szczycie przedstawicieli Kościoła katolickiego i prawosławnego w Bari w 2018 r.

Wspólni męczennicy

Ostatnie spotkanie z Franciszkiem, do którego doszło w Watykanie w maju 2023 r., Tawadros II uważa za szczególne. Papieże uczcili wtedy 50. rocznicę dialogu katolicko-koptyjskiego.

– Kiedy spotkaliśmy się na placu św. Piotra, poczułem, że łączy nas szczególne uczucie i porozumienie. Była to też okazja do spotkania się delegacji koptyjskiej i katolickiej. Rozmawialiśmy o współpracy między naszymi Kościołami – opowiada. Przywołuje chwilę, kiedy wręczył Franciszkowi relikwie dwudziestu jeden męczenników koptyjskich. – To go bardzo poruszyło. Podjął decyzję, by zostali oni uznani także za świętych Kościoła katolickiego. To wielki symbol jego miłości. Duchowa komunia, która nas połączyła – dodaje.

Dwudziestu Egipcjan i jeden Ghańczyk zostało ściętych niedaleko stolicy Libii, Trypolisu, w lutym 2015 r. przez dżihadystów z organizacji Państwo Islamskie. Ich zwłoki wróciły do Egiptu trzy lata później. Koptyjski Kościół Ortodoksyjny obchodzi ich święto 15 lutego, w dniu męczeństwa. Po spotkaniu papieży nazwiska Koptów wpisano do Martyrologium Rzymskiego, czyli do księgi liturgicznego obrządku zawierającej spis świętych na poszczególne dni roku.

Gdy zatem dowiedział się o śmierci Franciszka, Tawadros II poczuł się, jakby stracił przyjaciela. – Był człowiekiem, który w najlepszy możliwy sposób reprezentował swój Kościół. Wspierał jedność chrześcijaństwa, był oddany ludziom. Po śmierci stał się naszym przyjacielem w niebie i wspiera nas, modlących się w różnych intencjach. Modlimy się, aby kolejny papież przyjął i kontynuował drogę swojego poprzednika – dodaje.

Losowanie na papieża

Na zadane wprost pytanie – jak to jest być papieżem – Tawadros II z uśmiechem odpowiada: – Nie wiem. Jestem z wykształcenia i zawodu farmaceutą, ale nie mam recepty na to, jak być dobrym papieżem. Bycie papieżem to nie jest zawód. To coś więcej.

Droga Wagiha Sobhy Baky Solimana do zostania 118. koptyjskim papieżem rozpoczęła się, gdy młody Egipcjanin porzucił zarządzanie państwową fabryką farmaceutyczną i wstąpił do monasteru św. Pishoya w Wadi El-Natrun. W 1989 r.,



VATICAN POOL / GETTY IMAGES

Koptyjski papież Tawadros II po wspólnej modlitwie z papieżem Franciszkiem w kaplicy Redemptoris Mater w Watykanie. 10 maja 2013 r.

mając lat 37, został tam wyświęcony na księdza. Osiem lat później papież Szenuda III konsekrował go na biskupa generalnego. Przyjął wówczas nowe imię, nawiązujące do papieża Tawadrosa I z VIII w., dziś znanego jako św. Teodor, wyróżniającego się niezwykłą pokorą i łagodnością.

Szenuda III zmarł w 2012 r., po ponad 40 latach pontyfikatu. Święty Synod – zgromadzenie biskupów koptyjskich – powołał regenta, najstarszego z biskupów, by przewodził Kościołowi do czasu wybrania nowego papieża. Rozpoczął się kilkumiesięczny, wieloetapowy proces, którego zasady zostały określone w 1957 r. Zadaniem regenta i czternastu członków Synodu było przygotowanie wstępnej listy – pięciu lub sześciu kandydatów, wedle prostych kryteriów: co najmniej 40 lat życia, minimum 15 lat kapłaństwa, brak żony. Lista nazwisk została opublikowana w trzech głównych arabskojęzycznych gazetach w Egipcie, by informacja dotarła do każdego Kopta.

Trzy miesiące później doszło do zgromadzenia 74 biskupów Kościoła koptyjskiego, 12 duchownych reprezentujących każdą diecezję oraz przedstawicieli wiernych – kobiet i mężczyzn (w sumie blisko 2400 osób), które w głosowaniu wybrało trzech kandydatów na papieża. Ich nazwiska wypisano na kartach i rozpoczęła się publiczna ceremonia „świętego wyboru przez losowanie" w katedrze św. Marka w Kairze. Mogła je obserwować cała wspólnota. Na dnie srebrnego kielicha umieszczono zwinięte i zapieczętowane czerwonym woskiem kartki z nazwiskami. Metropolita Pachomios, tymczasowy administrator (*locum tenens*) Kościoła, wezwał do modlitwy o dobry wybór. Do ołtarza podszedł w ciszy chłopiec z zawiązanymi oczami, który sięgnął do kielicha i... wybrał nowego papieża. Katedra zatrzęsła się od owacji i głośnych modlitw. Tawadros, który przebywał wtedy w swoim klasztorze św. Pishoya, zadeklarował: „Zaczniemy od zorganizowania domu od wewnątrz. To odpowiedzialne zadanie. Najważniejsze, by Kościół, jako instytucja, służył społeczności".

Czystość wiary i umysłu

Koptyjski Kościół Ortodoksyjny liczy 10 mln wiernych w Egipcie oraz ok. 2 mln osób w diasporze, rozproszonej po blisko 100 krajach (najwięcej w USA, Sudanie, Australii i Francji). „Poza Egiptem mamy ok. 500 kościołów i 10 klasztorów – mówi mi Tawadros II. – Jako papież jestem odpowiedzialny za każdego wiernego. Są kraje, gdzie mieszka trzech, czterech Koptów, wtedy ksiądz albo biskup odwiedza ich przynajmniej raz na sześć miesięcy".

Koptyjski papież odwiedził też Polskę, pod koniec kwietnia tego roku. W naszym kraju mieszka od 400 do 500 Koptów, a jedynym duchownym jest o. Daoud Adib, sprawujący posługę w kaplicy koptyjskiej pw. św. Jana Chrzciciela i św. Merkuriusza w Otrębusach.

O swoim Kościele papież mówi, że „od czasów Chrystusa idzie prostą linią i jest wierny prostym, podstawowym dogmatom". Opowiada o bogactwie tradycji koptyjskiej, do której należą m.in. sztuka pisania ikon, liturgia w języku koptyjskim, ponad 200 dni postu w roku. Koptowie mają też własny kalendarz, u podstaw którego leży rytm siewu i zbiorów nad Nilem. Dzień wydania tego numeru „Tygodnika Powszechnego" (7 maja 2025 r.) jest u nich 29. dniem miesiąca Parmuti, roku 1741.

Z jakimi problemami zwracają się koptyjscy wierni do swego papieża? Tawadros II wymienia trzy: biedę, brak dostępu do edukacji oraz wpływ mediów społecznościowych. Podkreśla, że „rolą Kościoła jest zachowanie czystości umysłu i czystości wiary", i nie ogranicza się jedynie do deklaracji: w 2018 r. wprowadził 12 przepisów dla mnichów koptyjskich, które mają chronić życie monastyczne, skupione na odosobnieniu, modlitwie, pracy i ciszy. Mnisi zostali zobligowani do wycofania się z mediów społecznościowych. Według zwierzchników Kościoła Facebook, Instagram, TikTok czy platforma X są narzędziami szerzenia „zagmatwanych idei", podsycania osobistych polemik oraz pseudodoktrynalnych sporów.

Prześladowany naród

Wyznawcy wschodniego chrześcijaństwa w Egipcie muszą się jednak chronić nie tylko przed szkodliwym wpływem mediów społecznościowych. Także przed prześladowaniem ze strony wyznawców islamu. Historia ostatniego ćwierćwiecza to liczne przypadki przemocy na tle religijnym, m.in. porwania kobiet i dziewczynek zmuszanych do konwersji na islam czy zawierania małżeństw z muzułmanami. Dochodziło też do napadów z bronią na koptyjskie kościoły, księży i wiernych. Do najbardziej tragicznych można zaliczyć rok 2011. 1 stycznia doszło do wybuchu samochodu-pułapki przed kościołem w Aleksandrii, w którym zginęło 21 osób, a ponad 70 zostało rannych. W następnych miesiącach fala przemocy rozlała się przede wszystkim na Kair. Celem zamachu terrorystycznego w Niedzielę Palmową w 2017 r. w katedrze św. Marka w Aleksandrii był także Tawadros II. Uratował się, bo wyszedł z budynku na chwilę przed detonacją ładunku przez terrorystę-samobójcę (do ataku przyznała się ISIS). Tego samego dnia do zamachu doszło także w mieście Tanta. W sumie śmierć poniosło wtedy 45 osób, a 130 odniosło rany.

Tawadros II zapewnia mnie jednak, że Koptowie i muzułmanie „żyją w miłości od wielu wieków": – Razem pracujemy, studiujemy, chodzimy do wspólnych szkół i szpitali. Nie ma żadnego podziału ani rozłamu między nami. Dlatego rolą Kościoła jest, żeby właśnie zachować i wesprzeć tę jedność narodową.

Prawdą jest, że incydentów z roku na rok jest coraz miej. Jednak raport ↦

↦ Amnesty International na temat praw człowieka za rok 2024 odnotowuje wciąż problemy z uzyskaniem zgody na budowę kościołów chrześcijańskich w Egipcie. W ubiegłym roku wydano pozwolenia na budowę niespełna 3,5 tys. świątyń (na 5540 złożonych wniosków). Amnesty przywołuje też przykład z kwietnia 2024 r., kiedy policja nie była w stanie ochronić Koptów z dwóch wiosek w okolicach miasta Al-Minja, w środkowej części państwa. Świadkowie relacjonowali, że do ataków doszło po doniesieniach o utworzeniu chrześcijańskich miejsc kultu, a sprawcami byli muzułmanie, którzy skandowali antychrześcijańskie hasła i niszczyli koptyjskie domy.

Telefon do papieża

– Należy modlić się tak, jak Jezus w ostatniej swojej modlitwie. Tak jak czytamy w Ewangelii św. Jana (17, 21-22), że ważne jest, abyśmy wszyscy byli jednym – mówi Tawadros II pytany o drogę pojednania między religiami. Mówiąc o jedności chrześcijan Wschodu i Zachodu, wymienia cztery postulaty, które przedstawił papieżowi Franciszkowi podczas ich ostatniego spotkania w Watykanie. Pierwszym jest braterstwo w Chrystusie, wyrażane poprzez wspólne działania. Drugi obejmuje wzajemne zrozumienie, poprzez studiowanie tradycji, sakramentów i nauczania obu Kościołów. Trzeci krok to dialog duchowy – zarówno liturgiczny, jak i nieformalny. Czwartym jest modlitwa. Przyznaje, że realizacja tej drogi wymaga cierpliwości. Ale przypomina, że od czasów schizmy minęło 15 stuleci. – Powrót do siebie – katolików i Koptów – wymaga więc dużo czasu.

Tawadros II zapowiada, że podtrzyma tradycję, jaką współtworzył z Franciszkiem, gdy każdego roku 10 maja, w dzień pojednania katolików i Koptów, wcześnie rano rozmawiali ze sobą przez telefon.

W tym roku słuchawkę podniesie jednak nowy papież. Co mu powie? – Wspomnę o rozmowach z papieżem Franciszkiem w ciągu ostatnich 12 lat i o listach, które między sobą wymienialiśmy – mówi Tawadros II. – Zaproszę go do złożenia wizyty w Egipcie. Dialog musi zostać zachowany, bo chodzi o spotkanie dwóch Kościołów, a nie tylko o rozmowę między papieżami w Watykanie i Aleksandrii.

©℗ MARTA ZABŁOCKA

Autorka jest dziennikarką Polskiej Agencji Prasowej



Błogosławieństwo po niemiecku

ARTUR SPORNIAK

Niemiecki Kościół precyzuje przepisy dotyczące błogosławienia par homoseksualnych i idzie dalej niż Watykan.

Złożona z biskupów i świeckich Wspólna Konferencja Episkopatu Niemiec i Centralnego Komitetu Niemieckich Katolików (ZdK) przyjęła wytyczne dla duszpasterzy na temat praktyki błogosławienia par żyjących w związkach niesakramentalnych, w tym homoseksualnych. Autorzy twierdzą, że dokument zatytułowany „Błogosławieństwa dla par, które się kochają" jest zgodny z „duszpasterskim podejściem pontyfikatu papieża Franciszka". Traktuje jednak takie pary w nowy sposób, a ponieważ ukazał się dwa dni po śmierci papieża – w okresie *sede vacante* – najprawdopodobniej uniknie oficjalnej reakcji Watykanu.

Burza wywołana przez Watykan

Franciszek zgodził się na udzielanie błogosławieństw parom homoseksualnym i żyjącym w związkach niesakramentalnych, zatwierdzając w grudniu 2023 r. deklarację „Fiducia supplicans" (FS), opracowaną przez prefekta Dykasterii Nauki Wiary



GODONG / AFP / EAST NEWS

Pielgrzymka osób homoseksualnych podczas modlitwy Anioł Pański na placu św. Piotra. Watykan, 14 lutego 2023 r.

kard. Víctora Manuela Fernándeza. Ponieważ obaj zdawali sobie sprawę, że może ona wywołać kontrowersje, deklaracja została zredagowana w taki sposób, by uczynić akt błogosławieństwa jak najmniej formalnym. Zawierała też oczekiwanie, że temat błogosławienia nie będzie więcej roztrząsany ani uściślany.

„Nie jest właściwe, aby diecezja, Konferencja Episkopatu lub jakakolwiek inna struktura kościelna stale i oficjalnie autoryzowała procedury lub obrzędy dla wszystkich rodzajów spraw" (FS 37), dlatego „poza powyższymi wskazaniami nie należy oczekiwać innych odpowiedzi na temat ewentualnych sposobów co do regulacji szczegółów lub praktycznych aspektów tego rodzaju błogosławieństw" (FS 41) – czytamy w deklaracji.

Mimo tego paradoksalnego pomniejszania znaczenia wprowadzanych zmian, deklaracja wywołała – jak pamiętamy – gwałtowne protesty w wielu lokalnych Kościołach (m.in. afrykańskich, ale też na Węgrzech czy w Kościele greckokatolickim w Ukrainie). W konsekwencji kard. Fernández zezwolił lokalnym Kościołom na zignorowanie watykańskiego dokumentu.

Inna droga niemiecka

Tymczasem Kościół katolicki w Niemczech szedł własną drogą. We wrześniu 2018 r. ukazał się raport trzech uniwersytetów na temat skali zjawiska wykorzystania seksualnego małoletnich w Kościele katolickim. Wywołał on szok. Reakcja niemieckich biskupów była unikalna w skali światowej – zasiedli do rozmów ze świeckimi katolikami, by opracować program daleko idących reform. W ten sposób ukonstytuowała się Wspólna Konferencja Episkopatu Niemiec i Centralnego Komitetu Niemieckich Katolików, która w 2019 r. zainicjowała Drogę Synodalną – forum wypracowujące propozycje zmian w Kościele.

Owocem Drogi było wiele zaleceń, m.in. wezwanie do opracowania wytycznych co do ceremonii błogosławienia par żyjących w związkach pozasakramentalnych. Choć nie mogą one lub nie chcą zawrzeć sakramentu małżeństwa, doceniono w nich to, że „są zjednoczone miłością, traktują się nawzajem z pełnym szacunkiem i godnością oraz są gotowe przeżywać swoją seksualność w długiej perspektywie, z pełną uważnością na siebie nawzajem oraz biorąc na siebie odpowiedzialność społeczną".

Opublikowane teraz wytyczne „Błogosławieństwa dla par, które się kochają" są realizacją tego zalecenia. Starają się one uwzględniać treść „Fiducia supplicans", choć oba dokumenty podchodzą do sprawy z różnych stron. Przyjrzyjmy się temu.

Wytyczne zgadzają się, że błogosławienie osób homoseksualnych i żyjących w związkach nieregularnych powinno odróżniać się od ceremonii ślubnej i mieć charakter spontaniczny, czyli swobodny – nie wymagając zatwierdzonej, kościelnej formuły. Co nie znaczy, że ma być „byle jakie". Przeciwnie, wytyczne podkreślają, że skoro obrzęd ma być swobodny, tym bardziej powinien być starannie przygotowany. Organizatorzy powinni dobrać czytania biblijne i w razie potrzeby odpowiednio je zinterpretować. „Sposób udzielania błogosławieństwa, miejsce, ogólna estetyka, w tym muzyka i śpiew, powinny wyrażać wdzięczność ludziom, którzy proszą o błogosławieństwo, za ich jedność i wiarę". Ceremonia powinna mieć wymiar wspólnotowy, a uczestnicy włączać się w nią „poprzez aklamację, modlitwę i śpiew". Wytyczne zatem idą dalej niż „Fiducia supplicans" i nadają błogosławieństwu charakter paraliturgiczny.

Tymczasem watykańska deklaracja kładzie nacisk, by obrzęd błogosławieństwa był prostym gestem i nie kojarzył się z liturgią Kościoła, bowiem „ze ściśle liturgicznego punktu widzenia błogosławieństwo wymaga, aby to, co jest błogosławione, było zgodne z wolą Bożą wyrażoną w nauczaniu Kościoła" (FS 9). Kościół nadal naucza, że współżycie seksualne jest legalne tylko w sakramentalnym małżeństwie, zatem nie może liturgicznie błogosławić par o nieuregulowanym kościelnie statusie. Jakie zatem znaczenie ma błogosławienie nieliturgiczne?

Niemcy kontra Watykan

Zarówno niemieckie wytyczne, jak watykańska deklaracja zgadzają się, że Kościół nie może stawiać żadnych wstępnych warunków proszącym o błogosławieństwo. Deklaracja jednak sugeruje, że takie błogosławieństwo jest prośbą do Boga o siły, by żyć moralnie. Proszący o błogosławieństwo „nie domagają się uprawomocnienia własnego statusu, ale błagają, aby wszystko, co jest prawdziwe, dobre i po ludzku ważne w ich życiu i relacjach, zostało przeniknięte, uzdrowione i wzmocnione obecnością Ducha Świętego" (FS 31).

Dla Kościoła niemieckiego wyrażenie „wszystko, co jest prawdziwe, dobre i po ludzku ważne" jest akceptacją – wyrażoną po raz pierwszy w dokumencie doktrynalnym – związków nieregularnych. Taka jest bowiem rzeczywistość. Wytyczne stwierdzają, że w naszej kulturze i społeczeństwie „wysoko ceni się godność człowieka, równość i samostanowienie i w związku z tym panuje powszechna akceptacja dla różnych konstelacji par zrodzonych z miłości i odpowiedzialności".

Autorzy wytycznych zdają sobie sprawę, że ich podejście jest nowatorskie w Kościele. Stąd zalecenie: „Duszpasterze, którzy mimo wszystko dojdą do wniosku, że błogosławieństwo nie jest zgodne z ich sumieniem lub nie są tego pewni, powinni skierować parę proszącą o błogosławieństwo do osób, które udzielą im wsparcia (np. przedstawicieli duszpasterstwa osób queer)". ©℗



DOMENA PUBLICZNA

Carravagio, Ofiarowanie Izaaka, 1600 r.

Czy Bóg nas wodzi na pokuszenie?

PAWEŁ RAKOWSKI

Jak rozumieć słynne zdanie z modlitwy „Ojcze nasz”? Wiara w Jezusa daje mocną podpowiedź.

Od czasu do czasu na katolickich portalach wraca temat tłumaczenia na język polski modlitwy „Ojcze nasz”. Już powszechnie wiadomo, że tłumaczenie „nie wódź nas na pokuszenie” nie jest jedynym możliwym i można je tłumaczyć również jako „nie wprowadzaj nas w próbę”. Bóg zatem nie kusi w tym sensie, w jakim się to rozumie w języku polskim, czyli bycia kuszonym do czynienia zła.

Czy jednak zmiana tłumaczenia rozwiązuje wszystkie dylematy teologiczne z tym związane? Czy mniej niepokojące są słowa o „wprowadzaniu w próbę”? Jak rozumieć to, że Bóg poddaje człowieka próbom? W jakim celu?

Czy stojące za tym greckie słowo rzeczywiście można jednoznacznie tłumaczyć jako „próbę” i odłożyć na bok nasuwające się przy tym kolejne pytania o Boga?

Pokusa, próba, lekcja

Słowo greckie, które wywołuje zamieszanie, to *peirasmos*. Jest ono niejednoznaczne i może być rozumiane jako pokusa lub próba. Innym greckim słowem używanym w kontekście próby jest przymiotnik *dokimos*, oznaczający kogoś wypróbowanego, przetestowanego, sprawdzonego. Pokusa i próba pozornie wydają się znaczyć to samo. Pokusa jest wyraźnie naznaczona negatywnie, przyciąga człowieka do popełnienia zła czy przekroczenia ustalonych norm moralnych. Próba natomiast z biblijnej perspektywy ma na celu uwypuklenie ludzkiej wiary, nadziei i miłości.

Choć słowniki właśnie tak próbują rozgraniczyć te dwa słowa, nadając jednemu bardziej pozytywne znaczenie (wypróbowanie ludzkich cnót), a drugiemu negatywne (uleganie pokusie ku złemu), to z tekstów biblijnych nie możemy wyznaczyć tak jasnej granicy znaczeniowej. Słowo *peirasmos* godzi te dwie różne rzeczywistości – być może należałoby je tłu-

maczyć inaczej i mówić po prostu o „trudnych doświadczeniach życiowych" jako takich, bez względu na to, czy wydobywają one z człowieka zło czy dobro. Tym bardziej że takiego abstrakcyjnego słowa jak „doświadczenie", jako zespół przeżyć, w języku greckim nie znajdziemy. Niektóre słowniki próbują iść w tym kierunku, wskazując, że *peirasmos* może być lekcją, jaką człowiek wyciąga z konkretnych życiowych doświadczeń.

Skoro *peirasmos* w biblijnych narracjach jest niejednoznaczne, to również niejednoznaczna wydaje się rola Boga w kontekście trudnych życiowych doświadczeń, takich jak choroba, wojna czy śmierć. Jaki wpływ ma Bóg na to, co się człowiekowi wydarza złego? Czy rzuca On człowiekowi kłody pod nogi? Jeśli tak, to w jakim celu, skoro człowiek o te kłody może się potknąć, a nawet zabić?

Sprawdzian wiary

Dylemat z tym związany jest tak stary jak chrześcijaństwo. Starożytnym świadectwem tego jest rozstrzygnięcie dotyczące rozumienia dwuznacznego *peirasmos*, jakie daje List Jakuba: „Kto doznaje pokusy, niech nie mówi, że Bóg go kusi. Bóg bowiem ani nie podlega pokusie ku złemu, ani też nikogo nie kusi" (Jk 1, 13). Mimo tak wyraźnej odpowiedzi, kolejne pokolenia kontynuują stawianie pytań o rolę Boga w obliczu trudnych życiowych doświadczeń. Ufając słowom apostoła Jakuba, że Bóg nie może kusić do zła, czyli że nie ma złych intencji wobec człowieka, skupmy się na tym drugim znaczeniu słowa *peirasmos*, tj. na poddawaniu próbie.

Teologia wystawiania ludzi na próbę przez Boga ma swoją długą historię w tradycji żydowskiej, a później chrześcijańskiej. Został jej poddany Abraham czy Hiob, a także sam Jezus. W chrześcijaństwie takim próbom poddawani byli też święci. Jaki był ich sens?

Tradycyjnie mówi się o oczyszczaniu i ugruntowaniu wiary sprawdzanych osób. Patrząc szerzej na biblijne narracje, próby te były potrzebne nie tyle Bogu, ile ludziom, którzy, aby podążać drogą wiary sprawiedliwych i świętych, musieli mieć dowód na to, że ich wiara jest warta naśladowania – że jest wiary godna. Nie wystarczyło ogłosić Abrahama ojcem narodów, należało jeszcze pokazać, że jego wiara jest niezachwiana. Podobnie nie wystarczyło powiedzieć, że Jezus jest Mesjaszem – potrzebny był swego rodzaju test, aby Jego naśladowczynie i naśladowcy mogli uznać w Nim Syna Bożego i z ufnością za Nim pójść. Być może takie próby były również ważne dla samych próbowanych, ponieważ mogły weryfikować wyobrażenia o sobie oraz poszerzać rozumienie swojej własnej wiary.

Próba Abrahama

Przyglądając się konkretnym narracjom biblijnym, zrozumienie owych prób nie zawsze jest proste, nierzadko wręcz jeszcze bardziej komplikuje obraz Boga. Przykładem jest próba, z jaką miał się zmierzyć Abraham. Tradycja żydowska, a za nią chrześcijańska, jednoznacznie czyta ten tekst jako próbę, której Bóg miał poddać Abrahama, sprawdzając, czy jest gotowy poświęcić dla Boga wszystko, nawet syna, na którego tyle lat czekał, ufając Bożej obietnicy. Bóg ostatecznie ocalił chłopca ręką anioła.

Tylko że w tekście hebrajskim nie wiadomo, czego chciał Bóg od Abrahama. Prośbę, jaką słyszy Abraham, można rozumieć dwojako: czy Bóg chciał, aby Abraham złożył Izaaka w ofierze, czy raczej tego, aby nauczył Izaaka składać ofiarę? Skoro Bóg ocalił Izaaka, czy nie znaczyłoby to, że Abraham źle zrozumiał prośbę Boga? Czy w takim razie przeszedł próbę pomyślnie?

Na kartach biblijnych po tym wydarzeniu nie ma już żadnego zapisanego dialogu między nim a jego ojcem Abrahamem, jako jedyny z patriarchów Izraela nie będzie też potrafił sobie sam znaleźć żony, a ta, która nią zostanie, pod koniec życia oszuka go wraz ze swoim młodszym synem, wykradając od niego błogosławieństwo zarezerwowane tradycyjnie dla starszego brata. Czy tragiczny los Izaaka nie jest konsekwencją traumy, jakiej doświadczył leżąc związany na drewnie w oczekiwaniu na ruch ojcowskiej ręki trzymającej nóż, aby go zabić? Czy taki miał być jeden z owoców owej próby? Czy tego chciał Bóg? Pytania można mnożyć.

Próba krzyża

Równie trudną do zrozumienia jest próba, jakiej doświadczył Jezus. W przeciwieństwie do Izaaka, który omal nie zginął z ręki ojca, Jezus był dorosłym człowiekiem, podejmującym niezależne decyzje, za które mógł wziąć pełną odpowiedzialność. Próby, jakiej został poddany, nie szukałbym w samej Jego męce, ale w tym, co wydarzyło się przed nią, szczególnie chwilę przed Jego pojmaniem, kiedy przebywał wraz z uczniami w Getsemani. Zapis tego wydarzenia jest kluczowy, ponieważ to wtedy Jezus podejmuje ostateczną decyzję o pozostaniu w Jerozolimie, mimo pełnej świadomości, że chwilę później miał być pojmany. Pojmanie, męka i ukrzyżowanie wydają się już tylko konsekwencją tej decyzji.

Jeśli Jezus jest Synem Bożym, jak podaje Pismo i chrześcijańskie wyznania wiary, to kto w tej historii jest faktycznie poddawany próbie: człowiek czy Bóg? Kiedy Syn Boży na krzyżu wypowiada „Boże mój, Boże, czemuś mnie opuścił?", to czy Bóg nie stanął wtedy przed dylematem, aby jednak zmienić zdanie o ludziach i ostatecznie zerwać z nimi wszystkie zawarte do tej pory przymierza? Gdyby tak się stało, byłby Bogiem, który zmienia zdanie.

Jezus w modlitwie „Ojcze nasz" mógł definitywnie zerwać z teologią „próby", ponieważ ostatecznie jedynym, który miał być wypróbowany, był On sam, a że był Synem Bożym – jedno z Ojcem, to w konsekwencji w osobie Jezusa próbie został poddany również Bóg. W takim razie próba krzyża okazałaby się nie tyle próbą dla ludzi, ile dla samego Boga. Po niej jeszcze bardziej uwidoczniło się, kim jesteśmy – umiłowanymi dziećmi Boga, i nic tego nie jest w stanie już zmienić. Przymierze na krzyżu wydaje się ostatecznym rozstrzygnięciem dylematu, czy Bóg aby na pewno nie zostawi człowieka i nie zerwie z nim przymierzy – również tych zawartych z Noem czy z ludem Izraela na Synaju. Bóg przeprowadził na naszych oczach test na sobie, aby nam udowodnić, że jest Bogiem, który nie zmienia swojego zdania.

Nie ma już zatem nic niepokojącego dla człowieka w słowie *peirasmos* z perspektywy próby i pokusy, jaką przeszedł Bóg w Jezusie, bo nie potrzeba już żadnej innej próby. Te, z którymi się ciągle zmagamy, nie pochodzą od Boga, tylko z życia. Są to trudne i zagmatwane decyzje, które przychodzi człowiekowi podejmować w obliczu cierpienia i zła, ale już bez duchowego obciążenia, że stoi za nimi Bóg. ©

O. WACŁAW

Oszajca: *Znaleźć Ducha Świętego*



A co z Duchem? Same kłopoty. Z Bogiem Ojcem i Synem Bożym kłopotów mamy mniej: „Kto widzi Syna, widzi jednocześnie Ojca”, ale z Duchem jest inaczej. Ogłasza On bowiem swoją obecność posługując się zwierzęciem (gołębica), zjawiskiem atmosferycznych (obłok, wicher) i fizykochemicznym (ogień). Trudno Go z tymi mediami utożsamić, ale nie trzeba odrzucać. One podają nam adres, pod którym Ducha można znaleźć, gdyż od początku świata „unosi się” On „nad wodami”. Ducha szukamy w dziejącym się tu i teraz świecie, łącznie z ludźmi.

O jednym z ludzi mówimy wprost, że został poczęty „z Ducha Świętego”. A ponieważ to, co mówimy o jednym człowieku, mówimy zawsze o wszystkich, to znaczy, że i nasz początek jest w ciałach naszych rodziców, ale przede wszystkim w Bogu. Anioł Ślązak tak to ujął: „Jak Bóg ja jestem wielki, On mały jest jak ja: / Nie może On nade mną, ja być pod Nim wszak” (przekład Andrzeja Lama). „Czy więc żyjemy, czy umieramy – mówi Paweł – należymy do Pana”. Zdarza się jednak nam chrześcijanom o tym zapominać, ale Paweł przypomina: „Czy nie wiecie, że jesteście świątynią Boga i że Duch Boży w was mieszka?”. Co więcej, „jesteście Ciałem Chrystusa, a każdy z was jest Jego częścią”.

Jeśli tak, to chyba myli się ten, kto o Chrystusie mówi: „Jezus w dzień i noc pozostaje w Najświętszym Sakramencie jako więzień miłości. Wystarczyłoby, żeby pozostał tylko w dzień, gdy ludzie przychodzą Go odwiedzać, lecz On chce i w nocy tam pozostać, aby już od wczesnego rana mogły Go znaleźć te dusze, które Go szukają. To powinno spowodować, by ludzie wciąż odwiedzali Jezusa ukrytego w Najświętszym Sakramencie, ale dzieje się przeciwnie. Przynajmniej więc my – zakonnicy powinniśmy Go jak najczęściej odwiedzać, a odchodząc do swoich zajęć zostawić u stóp Jego swe serce i swe uczucia”. Nie! Paweł Apostoł co innego nam radzi. W świątyni, jeśli coś trzeba zostawić, to egoizm, i mówiąc za papieżem Franciszkiem, trzeba też rozkleić pobożnie złożone łapki, po to, żeby On przez nas odpowiedział tym, którzy u Niego szukają ratunku. Pamiętamy przecież, że jedynego, dobrego pasterza i kapłana nie kto inny, ale jego najbardziej prawowierne (w swoim mniemaniu) owieczki własnymi raciczkami stratowały na śmierć. Coś podobnego i nam się przydarza. ©

O. Wacław Oszajca jest jezuitą, teologiem i duszpasterzem. Autor wielu tomów poezji, był m.in. jurorem Nagrody Literackiej Nike.

KARD. GRZEGORZ

Ryś: *Testament Franciszka*



Ostatnie słowo Franciszka. Testament prosty i przejmujący zarazem – jak cały jego pontyfikat. Dyspozycje co do pochówku (dość detaliczne). I „dyspozycja” własnym cierpieniem: „o pokój w świecie i braterstwo między narodami”. Żadnych dyspozycji co do majątku. Dlaczego? Gdyż go nie posiadał. Wszystkie otrzymywane dary były natychmiast przekazywane na rzecz ubogich. Wiem to od kardynała Konrada – papieskiego jałmużnika. Franciszek przekazywał mu wszystko: od otrzymywanych najlepszych modeli samochodów, przez wózki inwalidzkie, po buty, skarpetki, a nawet chusteczki do nosa.

Co można było rozdać natychmiast – kardynał rozdawał; co nie – spieniężał, a otrzymane pieniądze szły zaraz na potrzeby bezdomnych i biednych. Taka postawa papieża kryje się również za jednym z ostatnich jego poleceń – całkowitego opróżnienia osobistego konta w banku. Franciszek nie miał własności. Właśnie tym najbardziej upodobnił się do obranego na czas pontyfikatu patrona – św. Franciszka z Asyżu. Wybierając „Panią Biedę”, Franciszek nie chciał własności w świecie, w którym to właśnie własność wyznaczała każdemu miejsce w społecznej hierarchii. Łacińskie słowo „dominium” oznaczało jednocześnie „władzę” i „własność” – tyle znaczysz, ile masz! Czy to już przeszłość? Postawa papieża (tak, jak postawa Biedaczyny osiemset lat temu) jest wezwaniem do odwrócenia porządku – jest syntezą postulatu „Kościoła ubogiego dla ubogich”.

Co zrobimy z tym znakiem? Osiem wieków temu intuicję Franciszka porzucili nawet jego uczniowie, i to już w następnym pokoleniu (może nawet jeszcze w tym samym?). Potem stała się celem równie zawiłych, co brutalnych teologicznych ataków i dyskusji, w których zła odpowiedź na pytanie „czy Jezus miał, czy nie miał na własność trzosa, o którym wspomina Ewangelia (por. J 12, 6; 13, 29)?” mogła skutkować... śmiercią na stosie.

Tak czy owak, ubóstwo w rozumieniu Franciszka z Asyżu zostało w pamięci Kościoła jedynie jako jego osobisty wybór, charyzmat, radykalizm – raczej nie do naśladowania. Trudno nie zapytać o recepcję ubóstwa „naszego” Franciszka. Zwłaszcza że tym razem mamy do czynienia nie tylko z charyzmatykiem, ale również z następcą Piotra. ©

Kardynał Grzegorz Ryś jest historykiem Kościoła, kaznodzieją i rekolekcjonistą. Wydał wiele książek o historii, teologii i duchowości.

WOJCIECH

Bonowicz:
Trzeba mieć rozum!



Rozpoczęło się wielkie wymieranie rozumu – mówi do swojego psa bohater najnowszej powieści Krzysztofa Vargi. „Spośród wielkich wymierań, a było ich dotychczas pięć, kiwaczku, czyli ordowickie, dewońskie, permskie, triasowe i kredowe, najstraszniejsze jest wymieranie obecne – umysłowe".

Wspomniany bohater jest, owszem, marudny, widzi świat raczej w ciemnych barwach, ba, życzy mu rychłego końca, niemniej w tym akurat wydaje się mieć rację. Jeszcze się rozum tu i ówdzie broni, ale już z sił opada, cofa się, nie wie, jakiego argumentu użyć, aby przebić się przez obcesowość i wszechobecny hałas. Już nie wiadomo, co jest rozumem, już się „rozumem" nazywa byle jakie przekonania, wyobrażenia, uprzedzenia. Och, nawet więcej: już się w imię rozumu rozmaite nierozumne decyzje tłumaczy. (Dialog podsłuchany: „Zaszczepiłeś się?! Człowieku, trzeba mieć rozum! A nie jak ten baran – mówią: szczep się, to ty zaraz lecisz z podwiniętym rękawem. Trzeba myśleć samodzielnie". „Kiedy właśnie większość się nie szczepi...". „No widzisz?! Ludzie mają rozum").

„Polska jest dziś jak książka szyfrem pisana: kto potrafi postawić jej rozumne pytanie, temu także rozumnie odpowie", pisał przed laty na tych łamach ks. Tischner. Czy dziś napisałby tak samo? To było przeszło pół wieku temu, w czasie, gdy wydawało się, że rozumność na dobre przegrywa z siłą. Dziś nie ma czołgów na ulicach, a odczucia podobne. Tyle że wtedy gdzieś w tle świtała przynajmniej nadzieja na rozumność, może przesadna, może nieostrożna, może nie dość uzasadniona – ale była. Nadzieja na rozumność. Nadzieja, że rozum znaczy więcej niż siła.

A dziś pytamy: czy rozum ma tu jeszcze coś do powiedzenia? Czy też skazani jesteśmy na świat miotany przez przypływy i odpływy narcyzmu, namiętności władzy, beztroski i tak dalej?

Ktoś mówi i robi rzeczy jawnie głupie i szkodliwe, ale i tak znajdą się tacy, co powiedzą, że „sprawny", „skuteczny", „wie, jak prowadzić kampanię". Irytują mnie takie komentarze, jak nie wiem co. Skuteczny?! Ale przecież ludzi w durnia robi! Kłamie, przeinacza fakty, szczuje. Komentator chce być bezstronny, to napisze: „obrał skuteczną strategię", „wie, jak trafić do wyborców", „potrafi zmobilizować elektorat". Czy to rzeczywiście godne pochwały, skoro przy okazji ileś wartości zostanie podeptanych, ileś szkodliwych idei puszczonych w obieg, iluś ludzi skrzywdzonych?

Wyższość zwierząt nad ludźmi, mówi bohater powieści Vargi zatytułowanej „Śmiejący się pies", polega na tym, „że wyrażając złość bądź radość, strach lub błogość, robią to szczerze. Natomiast my, ludzkość, przez setki tysięcy lat wyuczyliśmy się całej gamy fałszywych min, gestów, formułek. Ćwiczyliśmy się w sztuce mimikry, aż cali staliśmy się jednym wielkim, nienaprawialnym kłamstwem".

Nudna ta kampania? Może i nudna. Ale przede wszystkim – mnóstwo w niej nieprawdy, nieautentyczności, a w związku z tym także niepewności, w czym właściwie uczestniczymy. No i podłość. Podłość z Bogiem na ustach. Śmieszna – ale podła. Głupia – ale mimo to podła. I dlatego niebezpieczna. Tam, gdzie rozum słabnie, kleją się do głowy najbardziej szkodliwe bzdury.

„Polska jak książka szyfrem...". Nie wiem, czy mam klucz do Polski. Widzę, jak wielu z nas opiera się temu, co głupie. Żyje mądrze, pracuje rzetelnie, dba o najbliższych i tak dalej. Widzę też, jak mimo wysiłków takich ludzi coś wspólnego się rozkłada, a miejsce nadziei zajmuje poczucie bezsensu, zmarnowanych wysiłków, tryumfującego chaosu. Czy można zatrzymać wielkie wymieranie rozumu? Jak wielu z nas chce naprawdę, żeby było mądrzej, a nie tylko wygodniej, „po naszej myśli", „żeby się nam tylko nikt nie wtrącał"?

Czytałem niedawno kwestionariusz Prousta wypełniony przez Andrzeja Poniedzielskiego. Na pytanie „Co wzbudza we mnie obsesyjny lęk?" Poniedzielski odpowiedział: „Że głupota umrze później niż nadzieja". ©

Wojciech Bonowicz jest poetą i społecznikiem. Autor biografii, rozmów rzek oraz „Dziennika pocieszenia". Debiutował na łamach „Tygodnika" w 1994 roku.



TYGODNIK POWSZECHNY

DODATEK SPECJALNY
„TP” 19/2025

Gala wręczenia Nagrody – od prawej: Natalka Suszczyńska, Katarzyna Roman-Rawska, Aneta Prymaka-Oniszk, prezydent Białegostoku Tadeusz Truskolaski, Sonia Nowacka, Aleksandra Górecka.

DAWID GROMADZKI / UM BIAŁYSTOK



Nagroda Literacka Prezydenta Białegostoku im. Wiesława Kazaneckiego kształtuje przestrzeń polskiego pola literackiego już od dawna i ma dla niego ogromne znaczenie – wskazuje na niezwykłe talenty literackie, jednocześnie otwiera przed nimi drogę do dalszej kariery i wyróżnień.

Po raz pierwszy przyznano ją w 1992 r. – i już od przeszło trzech dekad otrzymują ją pisarki i pisarze uprawiający wszystkie rodzaje i gatunki literackie. Wymóg formalny, kształtujący specyfikę Nagrody, jest jeden: autorka bądź autor musi być związany z Białymstokiem (lub regionem) – pochodzeniem, tematyką swojej twórczości bądź miejscem wydania. Wśród dotychczasowych laureatów są takie postacie jak Edward Redliński, Ignacy Karpowicz, Szymon Hołownia, Piotr Nesterowicz, Michał Książek czy Andrzej Stasiuk.

W tym roku laureatką Nagrody Literackiej Prezydenta Miasta Białegostoku im. Wiesława Kazaneckiego w kategorii „Najlepsza książka roku” została Natalka Suszczyńska za zbiór opowiadań „Chipsy dla gości”.

Natomiast statuetkę w kategorii „Najlepszy ogólnopolski poetycki debiut roku” – przyznawaną od 2019 r. – prezydent Białegostoku Tadeusz Truskolaski wręczył Soni Nowackiej za tomik „Saros”.

ŚNIĄC O FAKTURACH

KATARZYNA TRZECIAK

Po wydanych w 2019 r. „Dropiach" – surrealistycznym zbiorze opowiadań o polskim prekariacie – Natalka Suszczyńska powraca z nowym tomem. „Chipsy dla gości" to kolejna seria krótkich tekstów, w których autorka chwyta aktualne mody, afekty i języki codzienności, filtrując je przez groteskę i absurd.

Bohaterki tych opowiadań, często występujące w roli pierwszoosobowych narratorek, żyją w świecie zdominowanym przez zakazy, wymogi segregacji śmieci czy ograniczenia prawa do zgromadzeń. W opowiadaniu „Baby Boczniak" Suszczyńska buduje obraz takiej rzeczywistości przez drobne przesunięcia: „afera boczniakowa", choć absurdalna, doskonale mieści się w logice mediów społecznościowych i znanych mechanizmów viralowych narracji.

Podobnie działa opowiadanie „Faktury", którego bohaterka, Hanna, „bierze wszystko na fakturę" – nie z chciwości, lecz z nadzieją, że może „coś się uda rozliczyć". Zwyczajna codzienność zostaje tu opisana jako proces stopniowego przesycania życia logiką działalności gospodarczej. Faktury stają się nie tylko narzędziem, ale i podmiotem – obsesja Hanny rozwija się od praktyki do autonomii fikcyjnej rzeczy, zyskującej niemal własną osobowość.

Właśnie w takim połączeniu groteski z realizmem tkwi siła tej prozy. Suszczyńska nie moralizuje – jej opowiadania operują ironią, ale nigdy nie są wyższościowe. Pokazują świat, w którym kompulsje i osobliwości nie są wyłącznie indywidualnymi fiksacjami. Zawsze mają swoje źródło w ekonomii – warunkach życia, w jakich funkcjonują bohaterki.

Na „Chipsy dla gości" składają się teksty, których postacie przewijają się przez różne opowiadania – raz jako główne, innym razem jako tło. Tworzy to obraz świata zamkniętego w systemie powracających tematów i obsesji, ale też społecznej zależności i współuczestnictwa w tej samej rzeczywistości.



Natalka Suszczyńska
Chipsy dla gości
Wydawnictwo Ha!art
Kraków 2024

NOSTALGIA MILENIALSÓW

KATARZYNA TRZECIAK

Tytuł tomiku „Saros" Soni Nowackiej oznacza w języku arabskim „powtórzenie" – odnosi się do cyklicznego powrotu Ziemi, Słońca i Księżyca do niemal tego samego układu. Kluczowe jest tu słowo „niemal". Ta drobna różnica, niewielkie przesunięcie względem punktu wyjścia, staje się dla Nowackiej fundamentem poetyckiej kompozycji – opartej na powrotach, refrenach i migotliwych obrazach, które z pozoru się powtarzają, ale za każdym razem pojawiają się inaczej.

Tom składa się z wierszy pełnych zapośredniczonych obserwacji – świata oglądanego przez ekrany, przefiltrowanego przez media i estetykę kultury popularnej. Technologiczne przetworzenia nie są jednak tylko tematem tych utworów – stają się formą istnienia podmiotu, który doświadcza teraźniejszości poprzez filtr ekranowego kiczu, nostalgii i estetycznych anachronizmów.

Pojawiają się tu „ładne teledyski vaporwave'y z delfinami w niebie" czy „hajs spuszczany z chmury przez barokowe putta". Takie obrazy, przywołujące świat internetowej wyobraźni i popkulturowych fantazmatów, pojawiają się często w formie enumeracyjnych ciągów, jak w otwierającym tom wierszu „Opportunity". Utwór ten, autotematyczny i celowo nużący, opiera się na poszukiwaniu wiersza w generatorach rymów i gromadzeniu kolejnych elementów symulowanego świata.

Nowacka tworzy z tych elementów swoisty podręczny zestaw milenialskiej nostalgii – brokat, memy, sztuczne pejzaże. W kolejnych wierszach motywy te ulegają przekształceniom, prowadząc do obrazów końca – nie tylko końca imprezy czy dnia, ale końca świata. Apokalipsa rozgrywa się tu codziennie i lokalnie, w zmieniającym się świetle, w miejskich krajobrazach, w chwilach rozpadania się rzeczywistości.

Świat „Saros" kończy się często i spektakularnie – w różowym świcie, w brokacie przed kościołem, po czym powraca – jak gif – wciąż ten sam, ale nie do końca. Właśnie w tych przesunięciach, w tym „niemal", rozgrywa się cała poetycka opowieść Nowackiej.



Sonia Nowacka
Saros
Convivo
Warszawa 2024

NOMINACJE W KATEGORII NAJLEPSZA KSIĄŻKA ROKU

KAMIENIE PAMIĘTAJĄ

MICHAŁ SOWIŃSKI

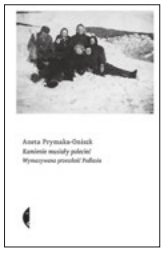
Książka Anety Prymaki-Oniszk to opowieść o tych, których zabrakło w oficjalnej historii – Polski, ale nie tylko. O ludziach z pogranicza – Białorusinach, prawosławnych, mieszkańcach Podlasia – którzy przez lata byli pomijani, czasami wręcz pogardzani. Autorka pisze z perspektywy osobistej, łącząc wspomnienia z dzieciństwa z opowieściami bliskich i materiałami archiwalnymi. Pokazuje, jak wielka historia – wojny, zmiany granic, represje – wpłynęła na życie konkretnych rodzin, ale też całych miejscowości i regionu.

Podlasie, które wyłania się z tej książki, to miejsce skomplikowane. Ludność je zamieszkująca doświadczyła przesiedleń, przymusowych zmian tożsamości – w zależności od czasu i miejsca albo polonizacji, albo rusyfikacji. To kraina, która wiele przeszła – i w której wciąż tkwią ślady dawnej przemocy. Wspomnienia o niej ukryte są w nieoznaczonych grobach, porzuconych cmentarzach, ruinach cerkwi i rodzinnych zdjęciach, których nikt już nie potrafi dokładnie opisać.

Prymaka-Oniszk pisze o pamięci, która nie mieści się w szkolnych podręcznikach – bo jest rozproszona, nieopowiedziana, często niewygodna. Opowiada też o zacieraniu tożsamości religijnej. Często pod przymusem, dlatego do dziś pozostaje zadrą w zbiorowej pamięci.

W ostatnim rozdziale autorka wraca do współczesności i pokazuje lokalny spór o język i edukację w ogóle. Padają mocne słowa o prześladowaniu i zakazie mówienia „po naszemu". Rany wciąż są zaskakująco (przynajmniej z zewnętrznej perspektywy) głębokie. Bo trudno mówić o przeszłości, którą każdy pamięta inaczej – a nie ma przestrzeni, żeby ją swobodnie artykułować.

Ta książka nie daje łatwych odpowiedzi, raczej przypomina, że historia nigdy nie jest prosta – szczególnie w tak ciężko doświadczonych regionach jak Podlasie. A odpominanie wypieranej przez dekady i stulecia przeszłości to z pewnością krok w dobrą stronę.



Aneta Prymaka-Oniszk
Kamienie musiały polecieć. Wymazywana przeszłość Podlasia
Wydawnictwo Czarne
Wołowiec 2024

ZNIKAJĄCE ŚLADY

MICHAŁ SOWIŃSKI

„Zaśnięcie Anisy" to książka o staroobrzędowcach – słabo znanej mniejszości w Polsce. Katarzyna Roman-Rawska opowiada o ich historii, kulturze i stopniowym zanikaniu. Robi to przede wszystkim z osobistej perspektywy, traktując temat jako część własnej genealogii. Dlatego zaczyna od siebie – od opowieści babci, wspomnień z Gabowych Grądów, opisów miejsc znanych z dzieciństwa, w których ziemia i pamięć splatają się ze sobą.

Staroobrzędowcy to grupa religijna, która w XVII wieku sprzeciwiła się reformom w rosyjskiej Cerkwi. Uciekając przed prześladowaniami, osiedlali się na obrzeżach – między innymi na dzisiejszym Podlasiu i Suwalszczyźnie. Przez wieki żyli z dala od większości, pielęgnując własny język, obrzędy i zwyczaje. XX wiek – zwłaszcza czas po II wojnie światowej – przyniósł jednak przymusowe zmiany wyznania, procesy asymilacyjne, migracje, zniszczenia. Dziś ich obecność coraz częściej ogranicza się do nazwisk na starych fotografiach, zarośniętych mogił i wspomnień kilku żyjących potomków.

Roman-Rawska opisuje ten proces jako wnuczka i badaczka. Pokazuje, jak łatwo wymazać ślady istnienia – gdy cmentarz zostaje przekształcony w działkę rekreacyjną, cerkiew znika z krajobrazu, a twarze na zdjęciach tracą imiona. Zwraca uwagę na obojętność wobec małych wspólnot – zarówno ze strony instytucji, jak i lokalnych społeczności. Jednocześnie pokazuje, że nawet historia, która znika, pozostawia ślady – w dokumentach, w krajobrazie, w pamięci nielicznych, którzy jeszcze pamiętają, gdzie stał dom i kto w nim mieszkał.

To opowieść o tym, co dzieje się, gdy wspólnota przestaje istnieć i nie ma już komu opowiedzieć jej historii. Roman-Rawska przygląda się temu z bliska, bez sentymentalizmu, ale z dużą uwagą. Nie próbuje odtwarzać przeszłości, lecz zapisuje to, co po niej pozostało: fragmenty języka, obrzędy pamiętane przez nielicznych, miejsca, które stopniowo tracą swoje znaczenie. Zadaje pytanie, jak postępować z takimi resztkami, i czy można je jeszcze zrozumieć lub ocalić.



Katarzyna Roman-Rawska
Zaśnięcie Anisy. Opowieść o polskich starowierach
Wydawnictwo Czarne
Wołowiec 2024

TYGODNIK POWSZECHNY

DODATEK DO „TYGODNIKA POWSZECHNEGO" 19/2025

REDAKCJA: Michał Sowiński | PROJ. GRAF. Marek Zalejski
FOTOEDYCJA: Jacek Taran | SKŁAD: Zuzanna Kardyś

Białystok

DODATEK POWSTAŁ WE WSPÓŁPRACY Z URZĘDEM MIEJSKIM W BIAŁYMSTOKU

NOMINACJE W KATEGORII NAJLEPSZY OGÓLNOPOLSKI POETYCKI DEBIUT ROKU

UKŁADY SFORMALIZOWANE

KATARZYNA TRZECIAK

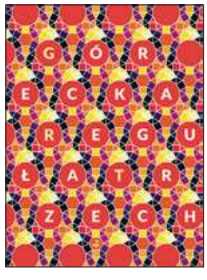
Reguła trzech to zasada występująca w różnych dziedzinach – jej znaczenie zmienia się w zależności od kontekstu. W matematyce służy do rozwiązywania zadań z trzema znanymi wartościami. W retoryce odnosi się do łatwości zapamiętywania informacji przedstawionych w trójkach. W komedii wyznacza strukturę żartu idealnego, opartego na powtórzeniu i zaskoczeniu.

W debiutanckim tomie Aleksandry Góreckiej „Reguła trzech" wszystkie te znaczenia są obecne – choć najbliżej mu do matematycznych układów i wizualnych struktur. Wiersze Góreckiej funkcjonują jako formy organizowania przestrzeni strony. To układy geometryczne, eksperymenty graficzne, konstruktywistyczne operacje na języku. Ich sens rodzi się z zakłóceń – rozbijania słów, przestawiania porządków, zestawiania przeciwstawnych rejestrów.

Tom podzielony jest na trzy części. W każdej z nich formalny rygor spotyka się z onirycznym obrazem: sny, wyobrażenia i fantazje zderzają się z pojęciami matematycznymi, liczbami, kalkulacjami. Między tymi porządkami pojawiają się figury pośrednie – jak iluzjonista z wiersza „Import random; random. seed()", który łączy świat obliczeń z przestrzenią niedopowiedzianych znaczeń.

Humor – subtelny, ironiczny – również ma tu swoje miejsce. Górecka przywołuje postacie znanych matematyków, jak Gauss czy Lagrange, wprowadzając je w nieoczywiste związki z tradycją poetyckiej awangardy (np. Gauss „współpracuje" z Tymoteuszem Karpowiczem).

Wiersze w „Regule trzech" to miejsca styku. Połączenia i pomieszania – między nauką a poezją, abstrakcją a konkretem, eksperymentem formalnym a emocjonalnym doświadczeniem języka.



Aleksandra Górecka
Reguła trzech
Biuro Literackie
Kołobrzeg 2024

SCENY Z CUDZEGO ŻYCIA

KATARZYNA TRZECIAK

„Istnieje klasa złóż, które szczególnie upodobał sobie / człowiek i łączy z nimi nadzieję na przeżycie siebie. / Optimum efektu osiągano jednakże przy tzw. usunięciu siebie / tj. wytarciu wszystkich, jakie się dało, śladów" – pisze Rafał Wawrzyńczyk w swoim debiutanckim tomie poetyckim „Dziecko na głowie króla". Autor, znany dotąd przede wszystkim jako krytyk muzyczny i poetycki, wkracza na pole poezji z wyraźnie zarysowaną strategią pisarską.

Motyw przeżywania poprzez usuwanie siebie nie ogranicza się do jednego wiersza – to jeden z podstawowych mechanizmów organizujących całość tomu. Pierwszoosobowego podmiotu jest tu sporo – Wawrzyńczyk chętnie sięga po gramatyczne „ja", które przybiera różne formy: raz konfesyjne, jak w wyznaniu „Chciałem żyć w małym mieście z rynkiem", innym razem wykorzystane jako chwyt do mnożenia pytań i komplikowania samego wyznania. W takich momentach „ja" staje się zlepkiem zasłyszanych historii, opowieścią pozszywaną z cudzych głosów.

Przykładem tego typu strategii jest wiersz „Fryzjer", w którym pierwszoosobowe „Bardzo chcę do Brwinowa" inicjuje językową wędrówkę przez rozmaite przekształcenia słowa „aura". Wiersz rozwija się przez aliteracje i homonimie, prowadząc do pytań o przeszłość, poznanie, tęsknotę. Obok Iwaszkiewicza pojawia się tu Duchamp, a w innych utworach z tomu wybrzmiewają nazwiska postaci związanych z historią nowoczesnej kultury i literatury.

Część wierszy to egzystencjalne portrety tych postaci – jak otwierający tom „Herder pedagog" – inne stają się wehikułami teraźniejszego doświadczenia, scenami z życia podmiotu. Warto przy tym zaznaczyć, że te liczne odniesienia nie pełnią funkcji wyłącznie erudycyjnych – nie są kluczami do jednoznacznej interpretacji. Raczej działają jak ślady, które zakorzeniają głos poetycki w tradycji, każdorazowo reorganizowanej po to, by zadawać pytania o wielowarstwowe sensy współczesnych doświadczeń „ja" i „my".



Rafał Wawrzyńczyk
Dziecko na głowie króla
wydawnictwo j
Wrocław 2024

HISTORIA

NIGDY WIĘCEJ NAM

80 lat po zakończeniu II wojny światowej pamięć o Zagładzie pozostaje racją bytu Izraela. Jednak powtarzane w świecie hasło „Nigdy więcej" tu, w Izraelu, coraz bardziej oddala się od jego uniwersalnej interpretacji w duchu „Nigdy więcej nikomu".

MAREK MATUSIAK



Jedno z najważniejszych wystąpień na temat Zagłady, jakie kiedykolwiek zabrzmiało w izraelskim parlamencie, wygłosił 15 lat temu Ahmad Tibi – obywatel Izraela i deputowany Knesetu jako przedstawiciel mniejszości arabskiej.

Przemawiając w styczniu 2010 r., z okazji Międzynarodowego Dnia Pamięci o Ofiarach Holokaustu, Tibi mówił o największej zbrodni we współczesnej historii, w obliczu której wszelkie podziały tracą znaczenie. Wyrażał współczucie dla bliskich ofiar – zwłaszcza tych, z którymi „żyje na tej samej ziemi" – i potępiał negowanie Zagłady spotykane w bliskowschodnich społeczeństwach (włącznie z palestyńskim).

Ahmad Tibi zwracał także uwagę na płynący z pamięci o Zagładzie imperatyw, a mianowicie: przeciwstawiania się nienawiści. W tym także rosnącej w Izraelu – już wówczas – nienawiści do Arabów. Apelował też, aby ci, którzy kiedyś byli ofiarami, potrafili dostrzec cierpienie innych. Zwłaszcza tych, którzy są ofiarami ich własnych działań, a zatem – „ofiarami ofiar".

Pamięć jako racja bytu

Przemówienie, którego wtedy gratulowali Tibiemu nawet deputowani izraelskiej prawicy, było pierwszym tego rodzaju publicznym aktem empatii reprezentanta mniejszości arabskiej wobec żydowskiej większości. Zarazem jednak, wygłoszone rok po „Operacji Płynny Ołów" – w której izraelska armia zabiła w Gazie 1400 osób – było także dopominaniem się o uznanie cierpienia palestyńskiego.

Wystąpienie Tibiego jest dostępne w sieci (np. na YouTubie). Oglądane po 15 latach – zwłaszcza zaś po ataku Hamasu z 7 października 2023 r. i po trwającej ponad półtora roku izraelskiej rzezi odwetowej (bo dziś trudno już nazywać to zwykłą operacją wojskową) – wystąpienie Tibiego uzmysławia nie tylko, czym pamięć o Zagładzie w dzisiejszym Izraelu jest, ale także czym zdecydowanie nie jest.

Jest fundamentem wspólnoty narodowej, a w przypadku państwa jest jego regularnie deklarowaną racją bytu.

Co przecież wcale nie było od razu oczywiste, bo zrozumienie tego, co Niemcy i ich kolaboranci (zorganizowani i spontaniczni) zrobili Żydom w czasie II wojny światowej, zajęło izraelskiemu społeczeństwu wiele dekad. Oraz – jak wiemy w Polsce – nie tylko izraelskiemu.

Krótkie dzieje pamięci

Początkowo, po powstaniu państwa w 1948 r., Ocalali przyjęci zostali w Izraelu niechętnie – za wyjątkiem garstki bohaterów zbrojnego oporu. Przypisywano im słabość, bierność, a potencjalnie także nieczyste sumienie (skoro przeżyli). O samej Zagładzie mówiono zaś raczej przez pryzmat uogólnionych raportów niż osobistych świadectw. Te nie współgrałyby z duchem epoki, w której izraelska wspólnota narodowa heroicznie zdobywała i budowała państwo.

Przełom rozpoczął się wraz z procesem niemieckiego zbrodniarza Adolfa Eichmanna – jednego z organizatorów Zagłady, sądzonego w Jerozolimie w 1961 r. Dzięki bezpośrednim transmisjom opinia publiczna śledziła na żywo zeznania ponad stu świadków (głównie Ocalałych), szczegółowo opisujących przebieg Zagłady na terenie okupowanej Europy. Ich wstrząsające świadectwa uruchomiły debatę, która w efekcie ustawiła Zagładę w centrum izraelskiej tożsamości.

Dziś żyjący Ocalali otaczani są należnym szacunkiem. Nauka o Zagładzie jest obowiązkowym elementem programu nauczania. Uczniowie (i oficerowie armii) jeżdżą do miejsc kaźni na wyjazdy edukacyjne. Politycy zaś powtarzają, że tylko silne państwo może uchronić Żydów przed nowym Holokaustem.

Akces do wspólnoty

Dla takich ludzi jak Ahmad Tibi, a zatem nieżydowskich obywateli Izraela, uznanie wyjątkowości Zagłady jest natomiast swoistą drogą do izraelskości. Deklaracją przynależności do państwa, w którym żyją, i zgłoszeniem symbolicznego akcesu do wspólnoty pamięci – pomimo że w sensie ścisłym nie jest to ich pamięć.

Jednak skoro także Cem Özdemir – niemiecki polityk z partii Zielonych, obywatel Republiki Federalnej o tureckich korzeniach – może poczuwać się, jak to deklaruje, do niemieckiej winy (mimo że jego przodkowie żyli w czasie tamtej wojny w Anatolii), to izraelski Arab może przecież symbolicznie dołączyć do wspólnoty ofiar.

Przypadków takich nie ma wiele. Jeśli się jednak zdarzają, budzą po stronie żydowskiej autentyczne wzruszenie. Gdy Ja'ir Lapid (obecnie polityk opozycji, a wówczas dziennikarz) rozmawiał z Tibim po jego przemówieniu, wydawał się bliski płaczu.

Nigdy więcej, ale komu?

Tym wszystkim pamięć o Zagładzie w dzisiejszym Izraelu jest. Z całą pewnością nie jest natomiast – wbrew nadziejom Tibiego – uniwersalnym ↦



YAHEL GAZIT / GETTY IMAGES

W przeddzień Dnia Pamięci o Holokauście izraelscy aktywiści przed budynkiem Jad Waszem upominają się o palestyńskie dzieci, które zginęły w czasie izraelskich nalotów na Gazę. Choć nie ma prawnego zakazu takich protestów, izraelska policja często uniemożliwia ich organizowanie. Jerozolima, 24 kwietnia 2025 r.

↦ napomnieniem co do praw i godności człowieka. Przynajmniej nie z punktu widzenia władz i większości obywateli.

Z perspektywy diaspory może to wyglądać inaczej – przykładem zaangażowanie Żydów amerykańskich na rzecz zniesienia segregacji rasowej w USA. Jednak z perspektywy współczesnych Izraelczyków Zagłada jest tragedią wyjątkową i niepowtarzalną, ale tragedią w najściślejszym sensie narodową, z której – jeśli wynikają jakieś moralne zobowiązania – to raczej świata wobec Izraela, a nie Izraela wobec kogokolwiek. Hasło „Nigdy więcej" oznacza tam zdecydowanie bardziej „Nigdy więcej nam" niż „Nigdy więcej nikomu".

Zrozumienie tego jest jednym z kluczy do zrozumienia Izraela. W tym także zauważalnej osobności czy też – mówiąc otwarcie – amoralności jego polityki zagranicznej.

Dlaczego np. Izrael nie poczuwa się do solidarności z zaatakowaną Ukrainą? Bo nie jest to jego sprawa. Dlaczego jednym z najlepszych przyjaciół Izraela w UE jest Orbán, polityk umniejszający rolę Węgier w Zagładzie węgierskich Żydów? Bo jest użyteczny i służy bieżącym interesom. Dlaczego władze w Jerozolimie dostarczają technologię do inwigilowania opozycji licznym reżimom, od Rwandy przez Serbię po Uzbekistan i Mjanmę? Bo powiększa to szeregi ich międzynarodowych sojuszników.

Pamięć o Zagładzie nie ma tu – z ich perspektywy – nic do rzeczy.

Oblicza partykularyzmu

Jak to możliwe – idąc dalej – że na czele Instytutu Jad Waszem, głównej instytucji pielęgnującej pamięć o Zagładzie, stoi Dani Dajan, etniczny nacjonalista, przez lata jeden z liderów ruchu na rzecz żydowskiej kolonizacji Zachodniego Brzegu Jordanu? Po pierwsze dlatego, że jest to nominacja polityczna. Po drugie, czy nacjonalista nie może piastować stanowiska strażnika narodowej pamięci? Doświadczenie podpowiada, że może.

Jak to możliwe – wreszcie – że w imię pamięci o Zagładzie można obecnie otwarcie i bez poczucia dysonansu domagać się „wypalenia Gazy żywym ogniem", „wybicia Palestyńczyków do nogi" albo ich zagłodzenia? Możliwe, jeśli uznaje się Zagładę wyłącznie za tragedię narodową, z której jedyną lekcją jest to, że Żydzi nie mogą być słabi.

Dlatego też izraelscy żołnierze – w tym wnuki i prawnuki Ocalałych – którzy od 19 miesięcy równają Gazę z ziemią, szczerze wierzą, że realizują tym hasło „Nigdy więcej" i zapobiegają kolejnemu Holokaustowi, a przynajmniej kolejnemu 7 października 2023 r.

Zamach ten był zaś – jak powtarzają władze – „największym atakiem na Żydów od czasu Holokaustu". Zapominając np. że w latach 1976-1983 argentyńska junta wojskowa zamordowała i „zniknęła" niemal 2 tys. żydowskich obywateli Argentyny.

Izrael uważa się jednak nie tylko za depozytariusza, ale też dysponenta pamięci o Zagładzie. Dlatego choć jego przywódcy na przestrzeni dekad konsekwentnie (i zasadnie) bronili jej unikalności (nawet na tle np. ludobójstwa Ormian), to po 7 października 2023 r. premier Beniamin Netanjahu nie miał oporów, by nazwać Hamas „nowymi nazistami", a jego zbrodnię porównać do tej w Babim Jarze w 1941 r. Netanjahu uważa, że jemu – jako przywódcy państwa żydowskiego – wolno.

Niechciana uniwersalność

Nie bez przyczyny było zatem, że gdy pod koniec marca niemiecka fundacja zarządzająca miejscem pamięci na terenie obozu koncentracyjnego w Buchenwaldzie ogłosiła, że wystąpienie w czasie uroczystości z okazji 80. rocznicy wyzwolenia więźniów tego obozu przez armię USA wygłosi Omri Boehm – izraelski filozof – izraelska ambasada przypuściła atak i doprowadziła do jego odwołania.

Boehm – znany z krytycznych wypowiedzi pod adresem swojego państwa i jego premiera – miał, jak wyjaśniali organizatorzy, przedstawić swoje „głębokie, etycznie ufundowane refleksje na temat relacji między historią a pamięcią, w szczególności zaś na temat wartości uniwersalnych praw człowieka i ich znaczenia w kontekście zbrodni narodowego socjalizmu".

Przedstawicielstwo państwa Izrael uznało najwyraźniej, że tego rodzaju refleksje i tego rodzaju prelegent nie są do niczego potrzebni.

© MAREK MATUSIAK

Pobieda na nowo

ANNA ŁABUSZEWSKA

Wojna przeciw Ukrainie to kontynuacja tamtej wojny sprzed 80 lat: to przekaz rosyjskiej propagandy. Kreml po raz kolejny instrumentalizuje II wojnę światową, teraz z ukłonem w stronę Trumpa.

Wśród ruin okupowanych ukraińskich miast, doszczętnie zniszczonych przez rosyjską armię, w tych dniach stawiane są billboardy z hasłem „80-lecie Zwycięstwa". To przygotowania do obchodów zakończenia II wojny światowej – kluczowego punktu w propagandzie Kremla.

Władimir Putin już dawno sprywatyzował Pobiedę w wielkiej wojnie ojczyźnianej – jak w Rosji nazywa się II wojnę światową, datując jej początek na rok 1941 – i uczynił z niej oręż w walce z wrogami zewnętrznymi. Teraz próbuje podpiąć tamto zwycięstwo pod wojnę z Ukrainą i „kolektywnym Zachodem". Choć już nie całym Zachodem – Ameryka pod rządami Donalda Trumpa zostaje z niego wyłączona.

Hasło sprzed lat

Jednym z naczelnych haseł, używanych przez stalinowską propagandę ponad 80 lat temu podczas II wojny światowej, było zawołanie „Zwycięstwo będzie nasze".

Słowa te wypowiedział wówczas jako pierwszy Wiaczesław Mołotow, ówczesny minister spraw zagranicznych (i współtwórca umowy Hitler–Stalin, na mocy której we wrześniu 1939 r. oba państwa podzieliły między siebie Polskę). Padły w radiowym wystąpieniu, które Mołotow wygłosił zaraz na początku wojny

niemiecko-sowieckiej, kiedy wróg rozwijał *Blitzkrieg*, a Armia Czerwona szła w rozsypkę. Miały dodać otuchy.

Dziś hasło to zostało wmontowane przez współczesnych rosyjskich propagandystów w oprawę ideologiczną wojny z Ukrainą. Podobnie jak wiele innych elementów, które mają dowieść, że Rosja cały czas prowadzi szlachetną wojnę z wrogami czyhającymi na jej prawość. Przekaz brzmi: wtedy w wielkiej wojnie ojczyźnianej Rosja w pojedynkę walczyła z nazizmem – i teraz także musi walczyć z nazizmem.

Wspólny wróg Rosji i USA

Putin i członkowie jego ekipy przy każdej okazji powtarzają, że Ukrainą rządzi pozbawiona legitymacji władzy „nazistowska klika", którą należy wypędzić z Kijowa. „Ukronaziści" mają, jak twierdzi propaganda, wsparcie Europy, ponieważ tam również podnosi dziś głowę „hydra nazizmu". Toteż i Europę należy oczyścić z nazistowskich naleciałości.

Idąc tym torem, Służba Wywiadu Zagranicznego Rosji zamieściła na swojej stronie internetowej karykaturę przewodniczącej Unii Europejskiej Ursuli von der Leyen. Rysunek utrzymany jest w stylu sowieckich karykatur czasu II wojny światowej: wpisana w kształt swastyki, von der Leyen wymachuje skrwawionymi szponami, aby unicestwić Rosję i Amerykę, jedyne ostoje wartości humanitarnych (tak, również Amerykę – tę pod rządami Trumpa). Materiał opatrzono tytułem: „Eurofaszyzm – podobnie jak 80 lat temu – jest dziś wspólnym wrogiem Rosji i USA".

Sztafeta pokoleń

Płukanie mózgów pod 80. rocznicę Pobiedy odbywa się na wielu poziomach. Pracują nad tym nie tylko politycy i urzędnicy wszystkich szczebli, powtarzający zadane treści, ale też rzesze quasi-ekspertów, artystów estrady, filmowców, nauczycieli itd. Utrwalany jest mit czynu Armii Czerwonej, która rzekomo bezinteresownie przyniosła ludom Europy wolność. Całkowicie pomijana jest druga strona tego medalu: zniewolenie podbitych krajów i popełniane przez Sowietów zbrodnie (przemilczana jest rola paktu Hitler–Stalin, zbrodnia katyńska, mordowanie członków antykomunistycznego oporu, deportacje itd.).

Armia rosyjska, walcząca teraz o zniewolenie Ukrainy, jest przedstawiana jako spadkobierczyni zwycięskiej Armii Czerwonej, a obecna wojna (w oficjalnej nomenklaturze „specjalna operacja wojskowa") to kontynuacja dzieła wielkiej Pobiedy.

Propaganda próbuje na siłę zmontować sztafetę pokoleń: dziadkowie zwyciężyli w wojnie z faszyzmem, a dziś generacja wnuków przejmuje w swoje ręce ich sztandar i znów niesie światu wyzwolenie spod jarzma nazizmu.

Ten element propagandy jest bodaj najbardziej oderwany od rzeczywistości. Do rosyjskiej armii wstępują dziś bowiem głównie ci, którzy chcą zarobić, a ideologia – o ile w ogóle ma znaczenie – uplasowana jest w ich systemie motywacyjnym na odległym planie.

Każdy krytyk to rusofob

Jednym z rosyjskich rytuałów pamięci, rozpowszechnionych w ostatnich latach, był „Nieśmiertelny pułk" – upamiętnienie weteranów wojny z odwołaniem do historii rodzinnej. Początkowo był to uliczny marsz, którego uczestnicy nieśli portrety przodków walczących na froncie; w tej manifestacji osobiście udział wziął Putin, idąc ze zdjęciem swojego ojca.

Pandemia, a potem wojna przeciw Ukrainie pomieszały szyki twórcom tego rytuału – wpierw z obawy przed wirusem, potem z obawy przed antywojennymi protestami zmieniono jego format na internetowy.

Jednak rosyjska agentura wpływu, działająca pod patronatem Kremla, promuje dziś akcję „Nieśmiertelny pułk" w jej pierwotnej wersji poza granicami Rosji. Jedna z urzędniczek za to odpowiedzialnych zapewnia, że marsze w Europie odbędą się mimo panujących w wielu krajach „nastrojów rusofobicznych" (wyjaśnijmy tu, że wszelka krytyka agresywnej polityki Moskwy jest definiowana przez rosyjską propagandę jako rusofobia).

W tym kłamliwym przekazie propagandowym Kremla, zbudowanym wokół wojennych mitów, nic nie składa się w logiczną całość. Ale przecież propaganda nie żywi się logiką, lecz emocjami. Skoro ktoś na świecie wskazuje na Rosję jako na agresora, realizującego zbrodnicze cele, zostaje okrzyknięty „rusofobem" i „nazistą".

■■■

Jak na razie jednak w trwającej wojnie – tej, która miała być „trzydniową wyprawą na Kijów" – do zwycięstwa wciąż jest daleko.

Tymczasem kolejną swoją cegiełkę do mitu Pobiedy dołożył właśnie patriarcha Cyryl – ten, pod którego przewodem Rosyjska Cerkiew Prawosławna od początku błogosławi zbrodniczą wojnę: w świątecznym kazaniu Cyryl kilkakrotnie nazwał Wielkanoc „Dniem Zwycięstwa". ©



ILYA NAYMUSHIN / EAST NEWS

Mural upamiętniający 80. rocznicę zwycięstwa w II wojnie światowej na ścianie budynku mieszkalnego. Krasnojarsk, Rosja, 23 kwietnia 2025 r.



HANNES ALBERT / DPA / PAP

Montaż Kamienia Pamięci, tymczasowego pomnika polskich ofiar niemieckiej okupacji w latach 1939–1945. Berlin, 16 kwietnia 2025 r.

Bucza i pamięć

HANNA RADZIEJOWSKA Z BERLINA

Wojna Putina wpływa na kształt niemieckiej pamięci o wojnie sprzed 80 lat. Ukraińskie groby przypomniały Niemcom, że wspólnota narodowa – ta, która walczy o wolność – istnieje.

Nieopodal Bundestagu i siedziby kanclerza w Berlinie pojawił się ostatnio polodowcowy głaz. W maju zostanie odsłonięty jako „tymczasowe" upamiętnienie polskich ofiar niemieckiej okupacji. W reakcji na to w Polsce rozległy się głosy krytyczne. Czy słusznie?

Gdy w 2013 r. Władysław Bartoszewski wezwał do budowy pomnika polskich ofiar, jego apel nie spotkał się ze specjalnym odzewem w Niemczech. W centrum Berlina były upamiętnienia – europejskich Żydów, Romów, ofiar eutanazji i homoseksualistów. Grupy te miały cechę wspólną: należały do kategorii bezpaństwowych mniejszości. Dopiero w 2017 r., za sprawą oddolnej inicjatywy, zaczął się powolny proces społeczny i polityczny na rzecz upamiętnienia polskich ofiar. Bundestag uchwalił projekt w 2020 r., ale dopiero teraz wykonano pierwszy widoczny w przestrzeni publicznej krok w jego realizacji.

PROBLEM Z NARODEM | Na czym polegał kluczowy problem z *Polendenkmal*? A także: jak rosyjska agresja na Ukrainę wpłynęła na zmiany w niemieckiej pamięci? W skrócie: aby pojawił się ten głaz, musiały zajść zmiany w myśleniu elit i w kulturze pamięci.

W maju 2020 r. Klaus Lederer, polityk Partii Lewicy i wieloletni berliński senator ds. kultury, tak widział kwestię ofiar: „8 maja 1945 r. zakończyła się II wojna światowa (...), masowy mord europejskich Żydów (...) Sinti i Romów, osób niepełnosprawnych, socjaldemokratów, komunistów, działaczy związkowych, osób wierzących i wielu innych osób".

Z kolei prof. Aleida Assmann, moim zdaniem najważniejsza reprezentantka studiów nad pamięcią, w tekście „Europa: wspólnota pamięci?" z 2006 r. zauważała co prawda polskie ofiary, ale nadawała im szczególną interpretację. Argumentowała, że „gdy narody zachodnioeuropejskie w coraz większym stopniu dostosowywały swoje narodowe konstrukcje przeszłości do standardów nauki historycznej, narody, które wyłoniły się z bloku wschodniego [po 1989 r.], niekoniecznie podjęły się podobnych rekonstrukcji".

Assmann pisała, że wiele z tych narodów „zajmuje się przywracaniem starych mitów narodowych lub tworzeniem nowych. Jako przykład można przytoczyć Polskę, (...) której ludność doświadczyła szczególnie ciężkich cierpień z rąk Niemców. Jej mit narodowy trwa i nadal obraca się wokół roli ofiary. (...) W świetle tego głęboko zakorzenionego kulturowego wzorca doświadczenia, praktycznie niemożliwe jest uznanie statusu innych ofiar – takich jak Żydzi – i poradzenie sobie z własną winą w kontekście katolickiego antysemityzmu".

Assmann kończyła tekst przesłaniem: „Jeśli pamięć narodowa nie jest nauczana w ramach wspólnej świadomości historycznej, projekt Stanów Zjednoczonych Europy pozostanie pustym marzeniem".

UKRAIŃSKIE GROBY | Jakie skutki miało takie myślenie? Jeśli nie ma państwa polskiego jako ofiary, to polskich obywateli, ofiary III Rzeszy, możemy odnaleźć tylko w grupach „ludzie wierzący", „Żydzi", „socjaliści", „ofiary eutanazji" czy „komuniści". Pobocznym efektem takiej kultury pamięci stało się – jak pokazał sondaż na zlecenie Instytutu Pileckiego w Berlinie z 2024 r. – przekonanie 59 proc. Niemców, że to niemieccy Żydzi byli największą grupą ofiar Holokaustu. Prowadzi to do pytania, na ile mechanizm europeizacji pamięci sprzyjał wyobrażeniu samych Niemców, że to ich obywatele są jedną z ważniejszych ofiar III Rzeszy.

To, co dla większości polskiego społeczeństwa było konkretną rzeczywistością – doświadczenie wojny, okupacji i cierpienia, szacunek wobec kombatantów – w Niemczech odbierane było jako konstrukcja mitów ofiary i bohatera w ramach „struktury narodowej pamięci".

Czy dopiero rosyjskie rakiety spadające na Kijów zaczęły burzyć te dotychczasowe wyobrażenia? Niezłomny opór stawiany przez Ukraińców, zbrodnie rosyjskie, bliskość wojny – części niemieckiego społeczeństwa pozwoliło to ujrzeć, że bycie ofiarą lub bohaterem nie jest czymś abstrakcyjnym, nie należy do sfery mitu.

Masowe groby w Buczy odsłoniły skalę rosyjskich zbrodni na Ukraińcach właśnie z powodu ich narodowości. Przypomniały, że wspólnota narodowa – ta, która walczy o wolność, i ta, która chce zabijać z czystej rasowej nienawiści – istnieje. W ten sposób dramatyzm obecnej wojny pomaga Niemcom na nowo odkryć istnienie politycznej rzeczywistości i politycznej odpowiedzialności, także w kontekście trwających od dekad gospodarczo-politycznych „dealów" między Rosją i Niemcami.

NOWE SPOJRZENIE | W listopadzie 2024 r., podczas obchodów 35. rocznicy upadku muru berlińskiego, dawny NRD-owski

opozycjonista i dziś pisarz Mirko Martin mówił w głośnym przemówieniu, że projekt Nord Stream „zachęcał Putina do agresji, i to w przekonaniu, że Niemcy, będący przecież mistrzami świata w moralizowaniu, z pewnością nie porzucą lukratywnego interesu, niezależnie od Ukrainy. Z kolei z niemałą arogancją zignorowano przejrzyste ostrzeżenia płynące z Europy Wschodniej. I to właśnie zagrożona Europa Wschodnia musi ponosić tego konsekwencje".

W podobnym duchu o odpowiedzialności Niemiec za rosyjską agresję na Ukrainę mówiła w lutym 2025 r. w wywiadzie dla „Gazety Wyborczej" historyczka Franziska Davies: „Skupienie się wyłącznie na Rosji było dla Niemiec katastrofą. Katastrofą było to, że nie słuchaliśmy Polski. Katastrofą było lekceważenie Ukrainy i krajów bałtyckich (...) Historia mówi Niemcom: »Przeorientujcie się i szykujcie na być może dekady, kiedy Rosja nie będzie waszym partnerem«".

To w nowym spojrzeniu części elit na Europę Środkowo-Wschodnią tkwi kluczowa dziś przemiana w niemieckiej kulturze pamięci.

Prof. Tatjana Tönsmeyer, autorka monografii „Europa pod niemiecką okupacją", zwraca uwagę, że kluczem do zrozumienia II wojny światowej jest nie sama wojna, lecz okupacja, bo to okupacja przyniosła najwięcej ofiar, a nie działania *stricte* militarne. Niemcy powtarzają: „Nigdy więcej Auschwitz. Nigdy więcej wojny". Jednak hasło „Nigdy więcej okupacji" prawie się nie pojawia – zauważa Tönsmeyer i podkreśla, że także obecna rosyjska okupacja wschodniej Ukrainy jest miejscem największych ludobójczych zbrodni.

PIERWSZY ETAP | Powrót myślenia politycznego w opisie doświadczenia II wojny światowej i współczesności ma jeszcze jeden skutek: przywraca w pacyfistycznym społeczeństwie świadomość, że wolności i pokoju trzeba bronić także środkami militarnymi.

Prof. Sönke Neitzel, historyk wojskowości, oceniał w 2024 r., że „być może to ostatnie lato, które przeżywamy w pokoju". Niemcy jako sojusznik NATO być może już wkrótce będą musiały bronić pokoju w Europie – w imię wartości demokratycznych i politycznej odpowiedzialności.

Odkrywanie przez Niemców historii narodów Europy Wschodniej jako im równych, myślenie o ofiarach w kategoriach politycznych i narodowych: to przemiany w niemieckim dyskursie po lutym 2022 r.

I tu wracamy do upamiętnienia polskich ofiar w Berlinie. Wiele lat pracy aktywistów, naukowców i instytucji w obszarze polsko-niemieckim, także oddziału Instytutu Pileckiego w Berlinie, oraz wysiłek dyplomatyczny państwa polskiego przyczyniły się do tego, by ten mały krok w rewolucyjnej w Niemczech zmianie, jakim jest pomnik dla polskich ofiar niemieckiej okupacji, stał się możliwy.

Pamiętając, że jest on potrzebny przede wszystkim Niemcom i jest realizowany przez niemieckie władze, to jednak tak należy rozumieć słowo „tymczasowy": nie jako chwilowy, ale jako pierwszy etap gruntownej przebudowy topografii niemieckiej pamięci w Berlinie. ©

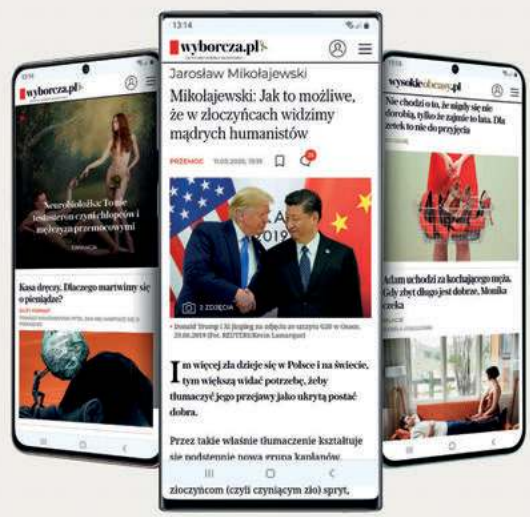
HANNA RADZIEJOWSKA *jest historyczką i menedżerką kultury, od 2019 r. kieruje berlińskim oddziałem Instytutu Pileckiego. Tekst jest prywatną opinią i nie reprezentuje stanowiska instytucji.*

REKLAMA

Trzymaj się **faktów**

wyborcza.pl

Zeskanuj mnie





POLIN Muzeum Historii Żydów Polskich





MACIEK JAŹWIECKI / MUZEUM POLIN x3

„MY, KTÓRZY PRZEŻYLIŚMY”

O WYSTAWIE „1945. NIE KONIEC, NIE POCZĄTEK” W MUZEUM POLIN

Czym był koniec wojny? Co oznaczał dla tych, którzy przeżyli? Opowiada o tym wystawa Muzeum Polin „1945. Nie koniec, nie początek”. Opisuje zakończenie wojny z perspektywy polskich Żydów, ocalałych z Zagłady w kryjówkach, pod przybraną tożsamością, w obozach koncentracyjnych, partyzantce, armiach Berlinga i Andersa oraz w Związku Radzieckim. Co czuli i myśleli w chwili odzyskania wolności i w pierwszych powojennych latach, jakie decyzje podejmowali i co nimi kierowało. W jaki sposób odbudowywali swoje życie po katastrofie i czy byli w stanie tego dokonać.

Jednym z pierwszych doświadczeń osób, które ocalały z Zagłady, była pustka spowodowana stratą bliskich, domu, społeczności – wszystkiego, co daje poczucie bezpieczeństwa, oparcie i możliwość zakorzenienia. Dopiero wtedy w pełni uświadamiali sobie ogrom Zagłady. Byli bezdomni zarówno w sensie dosłownym – najczęściej nie mieli dokąd pójść – jak i w wymiarze emocjonalnym – zostali pozbawieni swojego miejsca na ziemi.

Dla każdego symboliczny koniec okupacji mógł wiązać się z różnymi wydarzeniami. Dla jednych był to widok żołnierzy polskich lub radzieckich, dla innych – powrót do przedwojennego domu czy rodzinnej miejscowości, odnalezienie bliskich, ujawnienie żydowskiej tożsamości... Wielu Żydów nie mogło doświadczyć tych oznak wyzwolenia: nie mieli do kogo ani dokąd wracać, a nawet jeśli kierowali się do swoich dawnych miejsc zamieszkania, zazwyczaj bardzo szybko z nich uciekali w obawie o swoje bezpieczeństwo, zastraszeni przez miejscowych. Często kierowani strachem pozostawali przy swoich okupacyjnych fałszywych tożsamościach. Koniec wojny nie dopełnił się.

Na wystawie prezentujemy kolejne wydarzenia, procesy i okoliczności, które wywarły decydujący wpływ na życie ocalałych. Opowiadamy o pustce, powrotach w rodzinne strony, antysemityzmie, z jakim się spotykali – od podszytego niechęcią zdziwienia: „To ty przeżyłeś?”, przez pogróżki, ulotki antysemickie, po morderstwa i pogromy. Pokazujemy pierwsze upamiętnienia i starania, by udokumentować Zagładę, a także brak zgody polskiego otoczenia na żydowską żałobę, który manifestował się m.in. niszczeniem pomników i rozkopywaniem grobów.

Przedstawiamy dylematy, z którymi musieli mierzyć się ocalali, i argumenty przemawiające za pozostaniem bądź wyjazdem. Podążamy różnymi drogami za tymi, którzy zdecydowali się odbudować życie w Polsce (funkcjonowanie w żydowskiej społeczności; zaangażowanie w działalność komunistyczną; ukrywanie żydowskiego pochodzenia). Śledzimy losy tych, którzy trafili do obozów dipisów, a następnie, po długotrwałym oczekiwaniu i tułaczce, rozproszyli się po świecie.

Odbudowa – obok powojennej pustki i ruin – jest drugim z kluczowych wątków opowieści na wystawie. Ten mało znany szerszej publiczności rozdział historii polskich Żydów ukazuje ocalałych w zupełnie innym świetle.

Wyszli z Zagłady z ogromną traumą, pozbawieni wszystkiego, co w życiu najważniejsze, jednocześnie sprzeciwiali się postrzeganiu ich przez pryzmat ofiar. Chcieli być aktywni, sprawczy i mieć podmiotowość. Pragnęli samodzielnie kształtować swoje życie w wymiarze osobistym, a także na poziomie społeczności żydowskiej w Polsce i poza nią. Zdawali się mówić, odwołując się do tytułu znanego powojennego filmu: „My, którzy przeżyliśmy. Jesteśmy tu, i tu chcemy odbudować nasze życie”. Każda podjęta w tamtych czasach próba odnalezienia swojego miejsca na ziemi wymagała niezwykłej siły i determinacji, stawienia czoła traumie, bezdomności i wrogości otoczenia.

ZUZANNA SCHNEPF-KOŁACZ,
współkuratorka wystawy
„1945. Nie koniec, nie początek”
w Muzeum Polin

Fragment tekstu Zuzanny Schnepf-Kołacz „»My, którzy przeżyliśmy«. O wystawie »1945. Nie koniec, nie początek«” z publikacji „1945. Nie koniec, nie początek”, pod red. Anny Bikont i Kamila Kijka, Warszawa, Muzeum Polin, 2025

MATERIAŁ PROMOCYJNY

REKLAMA

POLIN

Muzeum
Historii
Żydów
Polskich

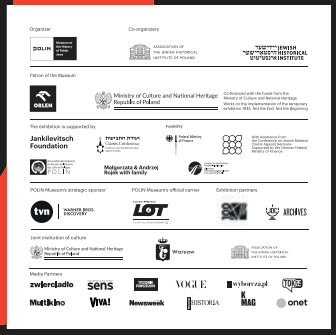
ul. Anielewicza 6
00-157 Warszawa

WYSTAWA CZASOWA

1945.
NIE KONIEC, NIE POCZĄTEK

polin.pl

7.03–15.09.2025





ARCO IMAGES / B&EW

NAUKA

INWAZJA I KONTRATAK

Zgodnie z hipotezą uwolnienia od wrogów, obce gatunki inwazyjne mogą się szybko rozprzestrzeniać na nowym terenie, ponieważ brakuje tam organizmów, które je atakują. W Polsce najskuteczniejsi najeźdźcy ten okres mają już za sobą.

WOJCIECH MIKOŁUSZKO

Nasza przyroda jest pełna gatunków inwazyjnych. Strona rządowa podaje, że w 2019 r. naliczono ich 118, a liczba ta do obecnego roku na pewno wzrosła. Są wszędzie: na łąkach, w lasach, w wodach, na ich obrzeżach, w sadach i w miastach. I są dużym problemem dla środowiska.

Rywalizacja nawłoci

Na łąkach dominują dwa gatunki nawłoci pochodzenia północnoamerykańskiego: nawłoć kanadyjska (*Solidago canadensis*) i nawłoć późna, zwana też olbrzymią (*Solidago gigantea*). Oba kwitną licznymi, drobnymi kwiatami. – Ponadto nawłoć kanadyjska tworzy rozmaite podgatunki w swym rodzimym zasięgu występowania, Ameryce Północnej – mówi „Tygodnikowi" prof. Magdalena Szymura z Uniwersytetu Przyrodniczego we Wrocławiu. – Była do nas przywożona parokrotnie jako roślina ozdobna.

Nawłocie rozprzestrzeniły się po całym kraju. Obecnie zasiedlają głównie pobocza dróg i miejsca po działalności ludzi, ale spotyka się je też na zwykłych łąkach.

– Nawłoć wąskolistna (*Solidago graminifolia*) została przywieziona w podobnym czasie co nawłoć kanadyjska, ale przypadkowo, w postaci nasion będących zanieczyszczeniem gleby w doniczkach drzew i krzewów ozdobnych. Początkowo się nie rozprzestrzeniła i rosła tylko w miejscu pierwszej introdukcji: w okolicach Opola – opowiada prof. Szymura. – Była to jednak bomba z opóźnionym zapłonem. Teraz można ją spotkać na obszarach pokopalnianych Górnego Śląska, a także w Borach Niemodlińskich. Zapewne za kilka lat będzie występować w całej Polsce.

Dlaczego dla rodzimej przyrody może być problemem? M.in. dlatego, że nasze gatunki zapylaczy nie są przystosowane do zbierania pyłku i nektaru z nawłoci północnoamerykańskich.

– Inwazyjne nawłocie są miododajne i przyciągają hodowlane pszczoły. Niestety ograniczają populacje dzikich zapylaczy, nawet o 90 proc. – opowiada dr Paulina Bączek również z Uniwersytetu Przyrodniczego we Wrocławiu.

– Zwierzęta rzadko jedzą inwazyjne nawłocie – mówi prof. Szymura. – One zawierają dużo alkaloidów i mają gorzki smak. Ponadto ich łodygi oraz liście są twarde. Zwierzęta je więc zgryzają, jak nie ma nic innego. Jeżeli mają wybór, to żywią się dostępnym, najczęściej rodzimym gatunkiem, jak nawłoć pospolita (*Solidago virgaurea*).

Również ptaki, które lubią gniazdować wśród trawy, jak skowronek, unikają nawłociowisk. Rośliny inwazyjne tworzą bowiem gęste i wysokie łany, co prawdopodobnie ma związek z wydzielanymi do gleby tzw. substancjami allelopatycznymi. To zróżnicowane związki chemiczne, które poniekąd zatruwają okolicę – powodują np., że nasionom innych roślin trudniej w niej kiełkować, albo zaburzają współpracę rozwiniętych już roślin z innymi organizmami (np. grzybami porastającymi korzenie i dostarczającymi roślinom minerały). Substancje allelopatyczne są jednym z narzędzi skutecznej inwazji obcych roślin.

Biedronki, norki i szopy

W naszych lasach panoszy się czeremcha amerykańska (*Prunus serotina*). Ona również pochodzi z Ameryki Północnej. Do Europy wprowadzono ją na początku XVII w. jako roślinę ozdobną. Przyjmuje pokrój małego drzewa lub krzewu. Początkowo nie stanowiła zagrożenia. Dopiero posadzenie jej sadzonek w lasach w XIX w. – miała dostarczać drewna – spowodowało jej rozprzestrzenianie się. Okazało się, że świetnie się sprawdza na siedliskach ubogich. Obecnie można ją już spotkać na całym obszarze Polski. Jest u nas jednym z najbardziej inwazyjnych gatunków.

Wśród owadów furorę – także medialną – zrobiły inwazyjne biedronki. Rodzimych mamy w Polsce 75 gatunków, natomiast w 2006 r. zaobserwowano kolejną. Przybyła z Azji i obecnie to ją spotyka się najczęściej. Po łacinie nazywa się *Harmonia axyridis*, a po angielsku *Harlequin ladybird*. Dlatego choć oficjalnie po polsku mówi się na nią biedronka azjatycka, to przyjęła powszechne miano: arlekin.

Jej ubarwienie jest zmienne. Nierzadko przybiera kolor czerwony z czarnymi plamkami. Wtedy ludzie mylą ją z biedronką siedmiokropką lub dwukropką. Nie dość, że stała się pospolita i zbiera się w wielkie chmary przy budynkach jesienią, kiedy szuka miejsc do przezimowania, to często też gryzie ludzi. Może to być bolesne, powodować świąd i zaczerwienienie, a nawet reakcje alergiczne, trudności w oddychaniu i obrzęk twarzy.

W wodach słodkich i w ich pobliżu spotyka się z kolei często małego ciemnobrązowego ssaka: norkę amerykańską, zwaną też wizonem (*Neogale vison*). Osobników dzikich nikt nie policzył – wydaje się to niemożliwe. Wiadomo, że są liczne. Jak na reprezentanta rodziny łasicowatych przystało, norka amerykańska jest długa i wąska. Prawdopodobnie jej przedstawiciele uciekli z gospodarstw, w których była hodowana ze względu na futro.

Wizon jest tzw. superdrapieżnikiem. Dobrze pływa, świetnie się wspina i szybko biega. Zabija pisklęta i niszczy jaja – często wielokrotnie więcej, niż potrzebuje do zjedzenia. Nasze ptaki próbują się przed nim bronić. Perkozy i łyski na przykład zbijają się w duże kolonie. Jeśli jeden osobnik ostrzeże głosem przed norką amerykańską, pozostałe są zaalarmowane. Łyski gniazdują też w pobliżu siedzib ludzkich, gdzie norka amerykańska niemal się nie zapuszcza. Ale nie każdy gatunek ptaka może pozwolić sobie na nasze sąsiedztwo.

Na zachodzie Polski pospolicie występuje inny ssak: szop pracz (*Procyon lotor*). Jego też bardzo trudno zliczyć. Również pochodzi z Ameryki Północnej. I tak jak wizon uciekł z hodowli futerkowych – tyle że w Niemczech.

Wyjada owoce w sadach, ale żywi się też jajami, młodymi ptakami, płazami, gadami i padliną. W pobliżu siedzib ludzkich korzysta z zasobów człowieka – m.in. z wyrzucanych resztek jedzenia. W pobliżu miast jego zagęszczenie jest bardzo wysokie. Powoli opanowuje ich środowisko. To ładne zwierzę, dlatego ludzie chętnie je dokarmiają. Istnieje też fundacja, która zajmuje się chorymi szopami praczami. Ślady tego ssaka znaleziono już w Polsce środkowej. Niedługo zapewne opanuje cały nasz kraj.

Ucieczka od wrogów

Dlaczego obce gatunki inwazyjne dobrze sobie u nas radzą? W 2020 r. w czasopiśmie „Ecology and Evolution" Jacob Lucero z York University w Toronto i współpracownicy opisali wyniki badań, w których przetestowali w nowatorski sposób popularną wśród przyrodników hipotezę uwolnienia od wrogów. Zgodnie z nią obce gatunki po przeniesieniu do nowego środowiska rzadziej niż rodzimi konkurenci natrafiają na organizmy, które im szkodzą – drapieżniki (w przypadku ↦

Szop pracz (Procyon lotor)

↦ zwierząt) lub roślinożerców czy też całą gamę patogenów.

Badania zespołu Lucero objęły nawłoć kanadyjską oraz wrotycza pospolitego (*Tanacetum vulgare*), który zanotował odwrotny kierunek inwazji – z Europy do Stanów Zjednoczonych. Na swoich rodzimych terenach żadna z tych roślin nie sprawia kłopotów. U nas kwitnącego na żółto wrotycza pospolitego można spotkać na przydrożach i rumowiskach. Wspominani autorzy chcieli sprawdzić, jak w różnych warunkach, przy niskiej oraz wysokiej konkurencji ze strony innych roślin, na tempo rozprzestrzeniania się wrotycza i nawłoci wpłynie obecność roślinożernych owadów oraz pasożytniczych mikroorganizmów żyjących w glebie. Okazało się, że jedna z tych roślin radzi sobie znacznie lepiej, jeśli odizoluje się ją od roślinożernych owadów, druga – gdy nie będzie mieć styczności z patogenami. Autorzy podsumowali swoje badania stwierdzeniem, że skuteczność ucieczki od wrogów – a więc także tempo rozprzestrzeniania się gatunku inwazyjnego – zależy od wielu czynników: obecności i rodzaju wrogów, cech gatunku inwazyjnego oraz lokalnej konkurencji. Nie ma więc jednego prostego mechanizmu, który tłumaczyłby sukces każdej inwazji.

Gdy gatunki inwazyjne mocno się już rozprzestrzenią, w końcu przestaną być niewidoczne dla lokalnych patogenów, które przecież podlegają naturalnej selekcji. I to często ewoluują szybciej niż gatunki roślin czy zwierząt, ze względu na krótszy cykl życiowy. „Liczba pasożytów znajdowanych u obcych gatunków inwazyjnych wzrasta wraz z czasem, który upłynął od kolonizacji przez nie danego obszaru" – piszą autorzy w pracy opublikowanej przez „Ecography", wśród których pierwszą autorką jest Marta Kołodziej-Sobocińska z Instytutu Biologii Ssaków PAN w Białowieży.

Patogeny kontratakują

W Polsce takie zjawisko obserwujemy już w przypadku inwazyjnych nawłoci. – Na liściach nawłoci znalazłam biały osad. Oddałam próbkę do Zakładu Fitopatologii. Okazało się, że przyczyną objawów na liściach jest grzyb: mączniak prawdziwy – opowiada dr Bączek.

Badaczka przywołuje też pracę szwajcarskiego zespołu, który na obcych nawłociach znalazł 18 żerujących gatunków rodzimych owadów. – Nie były to gatunki wyspecjalizowane. To raczej generaliści, którzy łatwo przerzucili się na nowe gatunki – mówi dr Bączek.

– Nasze pasożyty atakują już inwazyjne nawłocie – potwierdza prof. Szymura.

Paulina Bączek zajmowała się również czeremchą amerykańską. Tę roślinę w Europie atakuje więcej szkodników niż nawłoć kanadyjską i późną. – Na przykład występuje na niej mszyca czeremchowo-zbożowa (*Rhopalosiphum padi*). W zeszłym roku na liściach czeremchy amerykańskiej zaobserwowałam żerującego chrząszcza z rodziny ryjkowcowatych: tutkarza bachuska (*Rhynchites bacchus*). Głowa szkodnika, podobnie jak innych przedstawicieli tej grupy, jest „wyciągnięta" w charakterystyczny ryjek. Czeremcha amerykańska została zaakceptowana przez wiele gatunków szkodników – opowiada badaczka.

Wymienia m.in. muszkę plamkoskrzydłą (*Drosophila suzukii*), która uszkadza owoce czeremchy. Co ciekawe, ten owad sam jest obcym gatunkiem inwazyjnym. Pochodzi z Azji Południowo-Wschodniej.

Dr Piotr Ceryngier z Uniwersytetu Kardynała Stefana Wyszyńskiego w Warszawie, badacz azjatyckiej biedronki, znalazł w literaturze naukowej przykłady czterech gatunków atakujących biedronkę azjatycką. Pierwszy z nich to również owad, z rzędu błonówek (biedronki zaliczamy do chrząszczy). W żywych biedronkach składa jaja, z których wylęgają się larwy. Początkowo odżywiają się komórkami gospodarza. Gdy podrastają, paraliżują biedronkę, wychodzą na zewnątrz, zmieniają się w poczwarki i po około dziesięciu dniach wylatują jako dorosłe osobniki. Większość chrząszczy dożywa do tego momentu, ale ponieważ nie jest w stanie się odżywiać, w końcu umiera.

Dr Ceryngier wymienia też pasożytniczego grzyba, nicienia i roztocze (małego stawonoga z grupy pajęczaków), które zaczęły korzystać z nowej biedronki. Żaden z nich nie zabija chrząszcza, ale znacznie go osłabia. Zarażone nimi biedronki mają mniejszą płodność i częściej rozwijają się u nich śmiertelne choroby.

Gdy gatunki inwazyjne mocno się już rozprzestrzenią, **w końcu przestaną być niewidoczne dla lokalnych patogenów.**

Coś, co można uznać za początki „kontrataku" rodzimych patogenów na inwazyjnego ssaka, zaobserwowała prof. Kołodziej-Sobocińska w norkach amerykańskich. – Większość z tego, co widziałam, to bardzo małe nicienie *Aonchotheca putorii*, które bytują w żołądkach, a nie jelitach. Są odporne na znajdujący się tam kwas żołądkowy – opowiada „Tygodnikowi". – W jelicie widziałam przywry i bardzo małą liczbę tasiemców. To jest różnica między wizonem a naszymi rodzimymi gatunkami drapieżników, np. rysiami czy wilkami, u których w jelitach często dominują pokaźnych rozmiarów tasiemce oraz glisty.

Miliardowe straty

Norbert Peter z Goethe-University z Frankfurtu nad Menem i współpracownicy w publikacji, której tytuł zaczyna się od słów „szopia kontrabanda", opisali w 2023 r. faunę pasożytniczą europejskich szopów praczy. Naliczono 23 gatunki patogenów – pcheł, kleszczy, świerzbowców, przywr, nicieni, tasiemców, kolcogłowów... Część z nich, np. kleszcze, mogą być niebezpieczne także dla nas – przenoszą wirusy kleszczowego zapalenia mózgu i bakterie boreliozy. Aż czternastu zidentyfikowanych w tej pracy gatunków patogenów nigdy wcześniej nie obserwowano u występujących w Europie szopów. Pokazuje to, że zmiany w środowisku mogą zachodzić szybko i że „nasze" szopy tak bardzo zintegrowały się już z naszym środowiskiem, że stały się atrakcyjnym celem dla wielu pasożytów.

Ten swoisty kontratak rodzimych gatunków na obcych przybyszów zapewne pozwoli ograniczyć ich dalsze rozprzestrzenianie się i jest ważnym mechanizmem przyrodniczym. Według globalnego raportu przygotowanego przez Program Środowiskowy ONZ, gatunki inwazyjne są jednym z pięciu kluczowych czynników prowadzących do spadku bioróżnorodności – obok zmian użytkowania lądów i mórz, bezpośredniej eksploatacji organizmów, zmian klimatycznych i zanieczyszczenia środowiska. Tylko w 2023 r. roczne koszty rozprzestrzeniania się gatunków inwazyjnych na całym świecie oszacowano na 423 mld dolarów.

© WOJCIECH MIKOŁUSZKO

STANISŁAW

Mancewicz: *Bezchmurne niebo*



Ostatnio – nad czym bolejemy – uwagę tutejszych rzesz przykuwała najwyżej jedna z dwu kwestii, żartobliwa rzekomo deklaracja prezydenta USA, że chciałby oto zostać papieżem, oraz takoż jego zapowiedź aneksji Kanady. W istocie D. Trump mógłby ruszyć na czele wojsk ku północnym rubieżom Ameryki w przebraniu kapłańskim, co zdaje się nikogo by nie zdziwiło. Nas w tym wszystkim ciekawi szalona ostrożność w komentowaniu tych wybryków przez polskich polityków, ich ostrożność i niespotykana rozwaga. Nawet ludzie znani i lubiani z powodu swej bezkompromisowej zdolności do obrażania bliźnich, gdy tylko pojawia się pytanie o czyny i pomysły D. Trumpa, frasują się, zmieniają na twarzy, ocierają pianę, ważą słowa, apelują o roztropność, bardzo proszą o niepodnoszenie głosu, o nieprzerywanie, a przede wszystkim apelują o odpowiedzialność. Doprawdy uwielbiamy polską odpowiedzialność, zwłaszcza jeśli idzie o sojusze. Wiemy na ten temat to i owo. Nie takie sojusze już mieliśmy i jakoś je przeżyliśmy. No więc bolejemy, że tylko te dwie sprawy ostatnio tak nagłośniono, a inne nie, albo zgoła niewystarczająco.

Chcemy się dziś jednak skupić na zdarzeniu jedynym w swoim rodzaju, z niesamowitym potencjałem metafizycznym. Oto, jak przeczytaliśmy w jednym z niewielu ambitniejszych tekstów polskiego dziennikarstwa (bo nie był to utwór składający się z mnóstwa powtórzeń tego samego zdania), że przez wiele dni nad naszą ojczyzną nie było ani jednej chmury. Powtórzmy to szokujące zdanie: nad Polską nie było ANI JEDNEJ CHMURY.

Tekst był w sam raz uczony i w przystępny sposób wyjaśniał to zjawisko. Zostały przytoczone zasady fizyki i prawa meteorologiczne, zarówno te trudniejsze, jak i prostsze do pojęcia przez człowieka rozumnego (*homo sapiens*). Rzecz jasna, nie będziemy tu streszczać tego bardzo ciekawego artykułu, objaśniającego, dlaczego przez kilka dni nad całym obszarem kraju nie było ani chmur, ani chmurek. Powtórzmy to jeszcze raz: ANI JEDNEJ CHMURY. I tu, w tym miejscu, kończą się nasze ochy i achy na ten temat. Mamy na myśli jakościowo wybitne podejście do popularyzacji nauki na łamach prasy.

Bo jednak uderzyło nas, jak – nomen omen – grom z jasnego nieba, że bezchmurne niebo nad Polską zostało ujęte w sposób tak bezduszny, niemetafizyczny, zimny i niepatriotyczny. Aż się przecież prosiło, by niesłychaną BEZCHMURNOŚCIĄ poruszyć tzw. czułe struny polskiej duszy. Prawdziwa, nieudawana bezchmurność naszego kraju mogłaby zostać opowiedziana zgoła inaczej. Lepiej, mądrzej, bardziej po polsku, po prostu donioślej. Można by zaapelować do rzesz, do partii, organizacji i do fundacji o jakieś godniejsze uczczenie zjawiska nietypowego w skali globu. Bo czy jest kraj mogący się pochwalić totalną BEZCHMURNOŚCIĄ? Nie chwilową, nie przypadkową, a długotrwałą?

Czy BEZCHMURNOŚĆ może coś znaczyć? Oczywiście. Takie zjawiska nie są przypadkowe i mają swój ciężar symboliczny. Należy je wykorzystywać w polityce wewnętrznej i zewnętrznej. Niewątpliwie parlament polski powinien poświęcić swą uwagę BEZCHMURNOŚCI, może powinno się powołać specjalną komisję sejmową, która zajęłaby się kompletowaniem faktów i mitów. Media powinny zebrać opinię rodaków w kraju i za granicą. Można by urządzić koncert pod bezchmurnym niebem, marsz, bądź zrobić o polskiej bezchmurności film, zarówno fabularny, jak i – to kapitalne, bo byłoby realne – dokumentalny. Można było na BEZCHMURNOŚCI POLSKIEJ zarobić. Tymczasem owa nam umknęła, a niebo na powrót się zasnuło i zszarzało. Zmarnowano okazję. ©

Stanisław Mancewicz pracuje w Instytucie Literackim w Paryżu. Mieszka w Krakowie.

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

Zapraszamy do nowego newslettera **POPOŁUDNIE Z TYGODNIKIEM**



Jest coś wyjątkowego w popołudniach – kiedy rzeczy ważne i nagłe mieszają się z tymi zupełnie przyjemnymi, dającymi moment wytchnienia.

I właśnie w tym momencie dnia przychodzimy do Państwa z naszym nowym newsletterem: oto **POPOŁUDNIE Z TYGODNIKIEM**!

Chcemy, żeby było ono miejscem na chwilę oddechu, spojrzeniem na rzeczy, które są naprawdę ważne, poszukiwaniem wspólnie szerszej perspektywy.

zeskanuj i zapisz się!



NATALIA ZALEWSKA / CENTRUM NAUKI KOPERNIK

Zespół ReSat w składzie: Jan Bodys, Maciej Gała, Miron Kobylański, Michał Mrzyk, Michał Mueller i Marcin Wygaś (opiekun zespołu)

CENTRUM NAUKI KOPERNIK

WIELKIE WYZWANIE I KOSMICZNE LEKCJE

WOJCIECH BRZEZIŃSKI

Polscy uczniowie własnoręcznie budują kosmiczne misje. I nabywają umiejętności, które mogą okazać się bezcenne w najbliższych latach.

Ryk rakiety to wcale nie jest koniec nerwówki. Gdy smukły jak ołówek pocisk wzbił się w niebo, dla obserwujących go młodych inżynierów liczyło się tylko jedno: czy wszystko zadziała? Czy projekt, nad którym pracowali od miesięcy, okaże się sukcesem? Tym razem celem nie był kosmos, choć urządzenia znajdujące się na pokładzie rakiety miały symulować prawdziwą, kosmiczną misję. To CanSaty – sondy badawcze wielkości puszki od napoju, nafaszerowane elektroniką, nadajnikami, czujnikami i projektowanymi przez uczniów eksperymentami.

Start rakiety – do którego doszło w połowie kwietnia na Pustyni Błędowskiej – był zwieńczeniem konkursu, w ramach którego uczniowie i uczennice szkół średnich z całej Polski rywalizują o to, kto najlepiej przeprowadzi cały, złożony projekt. Ich pojazdy nie trafiają na orbitę – sondy są uwalniane z rakiety na wysokości około 2 km – ale osiągnięcie młodych inżynierów jest galaktyczne.

– To zadanie niezwykle skomplikowane, i przez to jest prawdziwym poligonem do sprawdzenia i rozwijania różnych kompetencji – mówi Aleksander Jasiak, koordynujący w Centrum Nauki Kopernik program ESERO-Polska. – To nie tylko kwestia zaprojektowania i stworzenia oprzyrządowania elektronicznego, ale też pozyskania środków, wypromowania projektu czy koordynacji pracy w zespole.

Konkurs CanSat, organizowany przy wsparciu firmy Boeing, jest częścią programu edukacji kosmicznej ESERO-Polska (European Space Education Resources Office), który Centrum Nauki Kopernik od 10 lat realizuje we współpracy z Europejską Agencją Kosmiczną (ESA). Program ten powstał, by inspirować młodych ludzi do odkrywania wszechświata i rozwijania pasji naukowych. Dzięki współpracy z ESA program ma charakter międzynarodowy i gwarantuje wysoki poziom merytoryczny. Tylko w Polsce każdego roku w konkurs angażuje się nawet kilkuset uczniów z całego kraju.

W przypadku zwycięzców tegorocznej edycji, zespołu ReSat, nie tylko z kraju. Zespół tworzyli uczniowie ze szkół z Warszawy, Bielska-Białej, Szczecina i... Anglii.

– To na pewno była dla nas bardzo ważna lekcja, bo mimo że pracowaliśmy zdalnie, musieliśmy cały czas ze sobą współpracować – mówi kierujący zespołem Michał Mueller, na co dzień uczący się w brytyjskiej Worth School. Ich codziennością stały się spotkania na Zoomie, dłubanie przy elektronice, modelowanie i drukowanie części w 3D oraz walka o dogranie wszystkich elementów pojazdu na odległość. – Trzeba było bardzo dobrze planować czas, pogodzić to wszystko ze szkołą, co wcale nie jest takie oczywiste, bo praca nad satelitą zajmowała często nawet kilkanaście godzin tygodniowo.

– To jedna z bardzo rzadkich okazji dla uczniów szkół średnich, żeby móc sprawdzić swoje umiejętności w niestandardowy sposób. Nie polega on na pisaniu testów, tylko na faktycznym, praktycznym przykładzie – mówi Kajetan Rachwał, lider zespołu CANpernicus, który tryumfował w konkursie w 2017 r., a dziś, już jako inżynier, zajmuje się robotyką i sztuczną inteligencją. – Projekt jest trudny, wielodyscyplinarny, zawiera mnóstwo powiązanych elementów i jest faktycznie za duży dla jednej osoby. Wymaga bardzo dużej kooperacji, wielu różnych perspektyw, żeby zakończył się sukcesem. A jednocześnie jest motywujący i satysfakcjonujący dla uczestników, którzy się przy nim uczą, bawią i mają okazję przeżyć naprawdę niesamowite doświadczenia.

I zdobyć doświadczenie w branży, która przeżywa w Polsce błyskawiczny rozwój. Według danych Polskiej Agencji Kosmicznej, rodzimy przemysł kosmiczny to już ponad 400 firm zatrudniających ponad 15 tysięcy osób. To może najdynamiczniej rozwijająca się w naszym kraju gałąź przemysłu wysokich technologii. Polskie urządzenia znajdują się na pokładach europejskich i amerykańskich sond kosmicznych, Międzynarodowej Stacji Kosmicznej, a w naszym kraju powstają już całe, kompleksowe linie produkcyjne satelitów. Uczestnicy konkursu podczas prac nad swoimi projektami mają bezpośredni kontakt z przedstawicielami tej branży. Dla wielu z nich to droga do wielkich kosmicznych projektów. Zwycięska drużyna weźmie udział w warsztatach inżynieryjnych organizowanych przez ESA w Centrum Technologicznym ESTEC w Holandii.

– Realizujemy program edukacji kosmicznej, bo wierzymy, że oprócz rozwijania wśród uczniów i uczennic różnych kompetencji, jest to też impuls, który za kilka czy kilkanaście lat może budować konkurencyjność naszej gospodarki. Uczniowie mają fajne doświadczenie, które może pokierować ich późniejszymi wyborami życiowymi. Oferujemy wachlarz możliwości i cieszymy się, że towarzyszą temu emocje, zaangażowanie i po prostu radość z działania – opowiada Aleksander Jasiak.

A emocje są do samego końca, bo, jak w każdej dużej misji kosmicznej, niespodzianki zdarzają się nawet tuż przed samym startem. Zespół Michała Muellera, który w swoim satelicie zabudował system odzyskujący energię podczas opadania urządzenia na spadochronie, na zaledwie 20 minut przed startem odkrył, że jedna z linek spadochronu zerwała się, co oznaczało, że cały lot skończyłby się małą katastrofą.

– Trzeba było wszystko na szybko wszywać w ostatniej chwili, żeby nasza praca nie poszła na marne. Innemu zespołowi przestał działać system GPS. Komuś innemu zepsuł się czujnik, inny zespół miał problem z kartą microSD. Prace trwały przez całą noc, do ostatniej chwili, ale jednocześnie wszyscy bardzo solidarnie pomagali sobie nawzajem – mówi Mueller. – Duch współpracy między drużynami był wspaniały



NATALIA ZALEWSKA / CENTRUM NAUKI KOPERNIK

Maciej Gała, Miron Kobylański, Michał Mrzyk i Michał Mueller z zespołu ReSat podczas kampanii startowej CanSat 2025



CENTRUM NAUKI KOPERNIK

Zespół CANpernicus w składzie Łukasz Komoszyński, Marcel Korpal, Maciej Procyk, Kajetan Rachwał, Stefan Rucki, Julia Sochacka, Filip Szykuła, podczas kampanii startowej CanSat 2017

– dodaje Rachwał. – Sam start był ekscytujący, ale do końca było sporo strachu: czy wszystko zadziała? Czy w ogóle uda nam się znaleźć naszego CanSata po lądowaniu?

Nie zawsze wszystko działało. Ale to też ważna lekcja z tego konkursu. Mechanizm odzyskiwania energii ReSat zablokował się, bo wplątała się w niego linka. W sondzie zespołu Rachwała przesunął się lut, który przerwał nadawanie sygnału. Ale nie chodzi o to, żeby wszystko zadziałało doskonale. Liczy się dokładność, metodyczność pracy – i pomysłowość. W końcu nawet wielkie kosmiczne laboratoria czasem szwankują, bo tysiące kilometrów od Ziemi zacięła się jakaś sprężynka.

– Jury konkursu ocenia innowacyjność projektu i drogę, jaką przez pół roku pokonał zespół – podkreśla Jasiak. – W sektorze kosmicznym jest tak, że czasem losowy przypadek sprawia, iż nawet miliardy pójdą z dymem, ale to nie znaczy, że nie dokonano żadnych postępów.

Przez cały czas trwania konkursu zespoły mogą liczyć na wsparcie. Cykle szkoleń, warsztaty, pomoc mentoringowa jurorów. Dostają też CanSat Kit – podstawowy zestaw elektroniczny do zbudowania satelity. Uczestnicy podkreślają, że ważne jest, by przynajmniej kilka osób z zespołu miało doświadczenie w majsterkowaniu czy projektowaniu. Ale nie oznacza to, że wszyscy już w punkcie wyjścia muszą być ekspertami od elektroniki czy programowania. Wymiana doświadczeń, punktów widzenia, uzupełnianie się mocnych stron w ramach zespołu są kluczowym elementem całego procesu. W przypadku zespołu Rachwała istotną rolę w projekcie odegrała osoba z klasy o profilu... prawniczym.

– Wiedzieliśmy, że komunikacja będzie bardzo ważnym elementem projektu, ale nie czuliśmy się na siłach, żeby rozmawiać z mediami czy instytucjami pokroju urzędów miasta – mówi lider CANpernicus. – A to okazało się kluczowe do pozyskania funduszy na budowę CanSata.

Konkurs CanSat jest flagowym projektem ESERO-Polska, ale cały program edukacji kosmicznej oferuje o wiele szerszy wachlarz możliwości. Wśród realizowanych pod szyldem ESERO konkursów są m.in. AstroPi, pozwalający uczniom programować komputer znajdujący się na pokładzie Międzynarodowej Stacji Kosmicznej i przy okazji nauczyć się podstaw programowania w języku Python i współpracy w zespole. Albo Climate Detectives w ramach którego uczniowie uczą się obserwować swoje najbliższe otoczenie i szukać rozwiązań, które poprawiają jakość życia wszystkich w ich lokalnej społeczności.

– Zachęcamy młode osoby do tego, by skupiły się na problemach ekologicznych w ich lokalnym otoczeniu. Zastanowiły, co się zmienia wokół nich i z czym może to być związane – tłumaczy Jasiak. – To przygoda badawcza, ale też szlifowanie naukowego sposobu myślenia, stawiania dobrych pytań. Inwestujemy wiele w pracę z nauczycielami, rozwijamy ich warsztat, by mogli tę tematykę kosmiczną wprowadzać do szkół.

Nauczyciele i edukatorzy zapraszani są na coroczną konferencję „Kosmos w szkole". Mogą też uczestniczyć w cyklicznych webinariach czy w ramach projektu „Lekcje nie z tej Ziemi" zaprosić na swoje lekcje ekspertów i ekspertki z sektora kosmicznego.

– Większość dzieci przeżywa etap fascynacji dinozaurami, archeologią czy kosmosem. Nauczyciel może wykorzystać to zainteresowanie, żeby łatwiej i skuteczniej przekazywać wiedzę. Bo prawa fizyczne, które i tak są na lekcjach, można wprowadzić, używając analogii do misji kosmicznej. Dlatego angażujemy się w pracę z nauczycielami, by mogli rozwijać swój warsztat i wprowadzać tematykę kosmiczną do szkół – mówi Jasiak. ESERO organizuje także konkurs Moon Camp, w ramach którego uczniowie projektują bazy księżycowe łącząc naukę ze sztuką, ale także Mission X, który skupia się na sprawności fizycznej i zachęca uczniów (w wieku 7-14 lat) by „trenowali jak astronauci".Zgłoszenie się do każdego z tych programów i konkursów wymaga zazwyczaj jedynie zgromadzenia zespołu – i opiekuna, najczęściej nauczyciela. Kolejna edycja konkursu CanSat rozpocznie się już we wrześniu.

– Trzeba znaleźć sobie ekipę do sześciu osób i znaleźć nauczyciela, nauczycielkę, którzy będą gotowi poprowadzić, opiekować się zespołem – mówi Jasiak. – Na stronach Centrum Nauki Kopernik znajdzie się we wrześniu informacja o rozpoczęciu nowej edycji konkursu. W tym roku zgłosiło się 110 zespołów z całej Polski, ale liczymy na pobicie rekordu.

A co to daje w dalszej perspektywie? – Jedną z najważniejszych rzeczy, z których nie zdawałem sobie sprawy przed konkursem, jest to, jak cenne zdobywa się doświadczenie w zakresie kompetencji miękkich. W zakresie pracy z zespole, w zakresie rozwiązywania konfliktów – mówi Rachwał. – Takie konkursy dają to młodym ludziom bardzo wcześnie, pozwalają rozwinąć umiejętności, na które nie ma przestrzeni na zwykłych lekcjach. Ten projekt jest długofalowy, przez cały czas jego trwania członkowie zespołu muszą ze sobą współpracować, co doskonale emuluje współczesne środowisko pracy.

W ciągu 10 lat z ESERO-Polska skorzystały tysiące uczniów i nauczycieli. A w najdalsze zakątki Polski program dociera dzięki Ambasadorom Kosmicznym, a także innym inicjatywom koordynowanym przez Kopernika, które łączą edukatorów w całym kraju. Mowa tu o Klubach Młodego Odkrywcy (KMO) oraz lokalnych centrach nauki SOWA – Strefy Odkrywania, Wyobraźni i Aktywności, które tworzą gęstą sieć współpracy i wymiany doświadczeń. ©

Więcej o ESERO: esero.kopernik.org.pl

MATERIAŁ PROMOCYJNY

KULTURA

PORUSZYĆ BIBLIOTEKĘ

Dawniej książka stała na półce, czekała, aż ktoś ją wypożyczy. Dzisiaj jest w centrum działań.

ANNA GOC

Betonowa, pokryta kurzem i pyłem podłoga. Na ścianach resztki zielonej emaliowej farby. Plątanina odsłoniętych kabli. Zardzewiałe maszyny. Pokrętła, pokrywy, metalowe łańcuchy. Biurka majstrów, instrukcje obsługi maszyn. Walające się liście, stojąca w niektórych pomieszczeniach woda.

Właśnie to zobaczy zespół Miejskiej Biblioteki Publicznej w Żorach im. Ottona Sterna, gdy weszli do budynku starego młyna w 2018 roku.

– Wyobraziłam sobie, że będzie pięknie – mówi Aleksandra Zawalska-Hawel, dyrektorka biblioteki.

Młyn

Budynek jest w centrum miasta, tuż przy starówce. – Bryła została zachowana, nawet okna są w tym samym miejscu – oprowadza mnie po żorskiej bibliotece Aleksandra Zawalska-Hawel. – Przed remontem przez szpary w podłodze widzieliśmy, co dzieje się na piętrach niżej. Zajrzeliśmy wszędzie, gdzie się dało.

Wspomina kolejne etapy prac. O tym, że zachowali i eksponują instrukcje obsługi niektórych maszyn, m.in. mlewnika do rozdrabniania ziarna. Że najbardziej zależało im na wyeksponowaniu przestrzeni dla czytelników. I że na koniec zabierze mnie gdzieś jeszcze.

Zanim opowie, jak wymyślała bibliotekę, która zmienia Żory i mapę kulturalną Polski, wraca jeszcze do patrona: Ottona Sterna – żorzanina, współpracownika Einsteina, laureata Nagrody Nobla z fizyki w 1943 roku.

Urodził się pod koniec XIX wieku w żydowskiej rodzinie. Jego dziadek Abraham zbudował młyn parowy, później przerobiony na elektryczny. – Jeśli chcemy, by biblioteka była nowoczesną instytucją edukacyjną, miejscem, które przyciąga ludzi, pozwala im poznawać świat, to czy mogliśmy sobie wymarzyć lepszego patrona?

Uwolnić książki

Aleksandra Zawalska-Hawel zaczęła kierować pierwszą biblioteką w Piekarach Śląskich.

– Miasto nie należało do bogatych, brakowało więc i na kulturę – opowiada. – Gdy chcieliśmy coś zrobić w bibliotece, najpierw musieliśmy zastanowić się, skąd na to wziąć pieniądze.

W 2008 roku Zawalska-Hawel napisała pierwszą strategię rozwoju biblioteki. – Nikt mnie o nią wtedy nie poprosił, ale ponieważ wcześniej pracowałam w biznesie, potraktowałam bibliotekę jak każdą inną instytucję, która potrzebuje planu – mówi.

Jedną z pierwszych rzeczy, którą zrobiła w Piekarach Śląskich, była mała przebudowa czytelni. – Niskobudżetowa i wymyślona przez zaprzyjaźnioną architektkę, która przygotowała projekt ↦



JACEK TARAN

Aleksandra Zawalska-Hawel, dyrektorka Miejskiej Biblioteki Publicznej w Żorach im. Ottona Sterna. 29 kwietnia 2025 r.


DECYZJA
NAGONKA
PODSZEP
CIAŁO I KREW
MROK
PRZYPADEK
PIONKI
PORWANIE

↦ nieodpłatnie. Wystarczyło kilka płyt, by wyeksponować księgozbiór – pokazać książki i ułatwić czytelnikom dostęp do nich – opowiada.

Wiedziała, że jeśli chce przyciągnąć ludzi, powinna zmienić nie tylko wystrój biblioteki, lecz także myślenie o tym, czym biblioteka powinna być.

– Pamiętałam czasy, gdy biblioteki były miejscem, w którym obowiązywała cisza. Na półkach ustawione były rzędy książek oprawionych w szary papier i podpisanych na grzbiecie okładki atramentem. Działały wedle schematu: czytelnik wchodził, mówił bibliotekarzowi szeptem tytuł, nazwisko autora i odbierał egzemplarz przy ladzie. Wszystko trwało kilka minut – wspomina. – Taka biblioteka była martwa.

Biblioteki publiczne często były lokalizowane przy szkołach. – Dlatego rzadko kto do nich zaglądał. Mimo że szkoły miały własne biblioteki, publiczne kojarzyły się z lekturami. Z etapem, do którego nie wraca się po zakończeniu edukacji – mówi.

To nie jest dom kultury

Pierwsze projekty, które Zawalska-Hawel realizowała w bibliotece w Piekarach Śląskich, powoli ożywiały to miejsce.

Zaglądały tu dzieci z okolicy. – Główna siedziba biblioteki była zlokalizowana w sąsiedztwie bloków, których mieszkańców nie zawsze było stać na kulturalne zorganizowanie czasu dzieciom, a zdarzało się, że brakowało i na śniadanie. Czasami któraś z pracownic biblioteki robiła podwójne kanapki i dzieliła się nimi z dziećmi – opowiada dyrektorka. – Dzieci trzymały się nas, dorastały w bibliotece – dodaje.

Z myślą o nich pracownicy biblioteki napisali wniosek o grant i zorganizowali Akademię Dobrego Wychowania. W zajęciach z *savoir vivre'u* brały udział i trzyletnie dzieci, najtrudniejsza pod względem utrzymania zainteresowania grupa, i nastolatkowie. – Na zakończenie poszliśmy do restauracji: grupa uczestników, darczyńca i pracownicy biblioteki. Wybraliśmy jedną z najlepszych w mieście i sprawdzaliśmy, jak poradzimy sobie przy stole. Dla wielu dzieci to było duże wydarzenie – pierwsze spotkanie ze światem, którego dotąd nie znały.

Na zapleczu biblioteki był piec gazowy. Wykorzystali go, gdy w ramach innego grantu, którego temat nawiązywał do śląskich tradycji, piekli z dziećmi śląski kołacz.

– „To nie jest dom kultury, coś się pani pomyliło" – słyszałam wtedy. Bo w bibliotece zrobiło się gwarno. Ale wiedziałam, że jeśli czytelnicy mają do nas wracać, powinni dostać, poza książkami, coś jeszcze – opowiada. – Czy miałam wątpliwości, że to dobry kierunek? Nie. Utwierdziła mnie w tym rozmowa z pracownicą brooklyńskiej biblioteki. Spotkanie było nagrodą w jednym z grantów. Połączyliśmy się online w konsulacie Stanów Zjednoczonych w Krakowie. Wymieniliśmy się tym, co robimy. Przyznała nam wtedy: biblioteka ma żyć.

Dom światła

W 2016 roku Aleksandra Zawalska-Hawel zaczęła kierować żorską biblioteką.

REKLAMA

MAGAZYN wyborcza

Tworzymy go my i Wy: dziennikarze, redaktorzy i Czytelnicy.

Opisujemy wydarzenia, poglądy i emocje. **Zawsze prawdziwe.**

Zachęcamy do refleksji i inspirujemy.



Czytasz. Myślisz. Rozmawiasz.

MAGAZYN wyborcza | **szukaj w punktach sprzedaży prasy przez cały tydzień!**



ARCHIWUM BIBLIOTEKI W ŻORACH

Urządzenia ze starego młynu, które pozostały w budynku, gdzie obecnie mieści się biblioteka. Listopad 2018 r.

Część środków z grantów, o które się starała, przeznaczała na wyjazdy i szukanie inspiracji w innych bibliotekach publicznych. Ze współpracownikami wciąż podglądają pracę tych najlepszych, głównie skandynawskich.

Gdy pytam o te, które zrobiły na nich największe wrażenie, wymienia trzy.

Bibliotekę Publiczną w Aarhus w Danii, która w 2016 roku została wyróżniona tytułem Public Library of the Year, czyli najlepszej biblioteki publicznej na świecie. Tytuł przyznaje Międzynarodowa Federacja Stowarzyszeń i Instytucji Bibliotekarskich (IFLA).

Położona nad zatoką na Półwyspie Jutlandzkim, ma powierzchnię ponad trzech i pół tysiąca metrów. – Zaskoczyło nas, że zatrudnia kilkanaście osób, które zajmowały się tylko jednym – innowacjami, czyli szukaniem pomysłów na to, jak przyciągnąć mieszkańców – opowiada Zawalska-Hawel.

I jeszcze coś: – Wewnątrz biblioteki jest dzwon, który rozbrzmiewa za każdym razem, gdy na świat przychodzi nowy mieszkaniec miasta, a w domyśle także nowy czytelnik. Dźwięk i lekkie drżenie dzwonu wywołują radość, którą przeżywa się właśnie tu – w bibliotece – mówi.

Drugą jest Malmö Central Library, nazywana też Ljusets Hus, czyli „Dom Światła". – Budynek składa się z dwóch części – zabytkowej i nowoczesnej, ze szklanymi ścianami, przez które wpada światło, zmieniając wnętrze biblioteki wraz z porą dnia – opowiada. – Wieczorem wykorzystywane jest sztuczne światło, a świetlne spektakle mogą być obserwowane z wewnątrz i z zewnątrz.

Oodi – trzecia biblioteka publiczna, tym razem w Helsinkach, która tytuł Public Library of the Year otrzymała w 2019 roku. – Dach biblioteki przypomina falę. Wewnątrz zorganizowano miejsca na warsztaty twórcze, a strefy czytelnicze wydzielone są jedynie regałami z książkami. Przed biblioteką jest duży ogród – mówi.

Wszystkie te biblioteki są w centrach miast, większość w nowych, przemyślnie zaprojektowanych gmachach. – Takie miejsca przyciągają rocznie nawet kilka milionów osób – podkreśla dyrektorka z Żor. – Niektóre mają ogrody na dachach, przeszklone wnętrza. Jeśli spojrzy się na nie z oddali, ma się wrażenie, jakby poruszały się naprawdę. Dzięki temu, że są pełne ludzi.

Zespół żorskiej biblioteki zaczyna też brać udział w międzynarodowych konferencjach dla bibliotekarzy. W czasie wyjazdów omawiają wspólnie projekty, zawiązują sojusze, dzięki którym mogą zdobywać kolejne granty. – Dawniej książka po prostu stała na półce, czekała, aż ktoś ją wypożyczy. Dzisiaj jest w centrum działań – opowiada Zawalska-Hawel.

Migruj do biblioteki

W 2017 roku, tuż po objęciu żorskiej biblioteki, Zawalska-Hawel z zespołem zaczęli realizować projekt „Migruj do biblioteki". – Nie mieliśmy w Żorach zbyt wielu migrantów. Skupiliśmy się na repatriantach. Odwiedziliśmy m.in. Podkowę Leśną i kilka innych miejsc w Europie, które są związane z migracjami. Chcieliśmy poznać potrzeby tej grupy i zorganizować bibliotekę w taki sposób, by była i dla niej przyjazna – opowiada. – Nie znajdziemy dla kogoś mieszkania, ale możemy służyć informacjami, gdzie i w jaki sposób go szukać.

W Światowy Dzień Migranta, który wypada tuż przed świętami Bożego Narodzenia, pracownicy żorskiej biblioteki wysłali zaproszenia mieszkającym w Żorach repatriantom. Dodali, że w planie jest też poczęstunek i że każdy może przynieść potrawy, które tradycyjnie przygotowywał przed powrotem do Polski.

– Zastanawialiśmy się, czy tym pomysłem kogokolwiek zainteresujemy. Repatrianci nie byli dotąd grupą, która odwiedzała bibliotekę. Przyszło ponad trzydzieści osób, m.in. z Azerbejdżanu, Kazachstanu, Ukrainy, Rosji. Większość nie mówiła biegle po polsku, z czego zdaliśmy sobie sprawę dopiero w czasie kolacji. Wtedy pojawił się kolejny pomysł na projekt. I na zajęcia, które pomogłyby zarówno repatriantom, jak i migrantom z Ukrainy, Portugalii, Wietnamu odnaleźć się w Polsce – opowiada Zawalska-Hawel.

Kilka dni po naszym spotkaniu wysyła maila ze zdjęciami kilkudziesięciu stron szkolnego zeszytu, zapisanego złotym atramentem. To zeszyt, w którym wpisali podziękowania. – Repatrianci i migranci zostali z nami na kolejne dwa lata. Powstała społeczność, która jest z nami do teraz – mówi.

Kreatywny wtorek

Przeglądam kalendarz zamieszczony na stronie internetowej żorskiej biblioteki. Na szaro podświetlają się dni z zaplanowanymi wydarzeniami, czyli prawie wszystkie.

Wybieram tydzień po majówce. I tak: 6 maja będą warsztaty dla kobiet, w programie m.in. naturalne sposoby radzenia sobie ze stresem i bezsennością.

Kolejnego dnia trzy wydarzenia: Klub Młodego Odkrywcy, dla dzieci do ósmego ↦

↦ roku życia, wśród atrakcji – eksperymenty i zapowiedź rozwijania „kompetencji przyszłości"; koordynatorem projektu jest Centrum Nauki Kopernik. Tego samego dnia bezpłatny kurs języka włoskiego dla dorosłych „Amo Italiano" i jeszcze „Art meet-up", czyli warsztaty dla młodych: „Rysujesz? Dziergasz? A może piszesz wiersze? Zapraszamy twórców na spotkanie Art Meet-up, gdzie będziemy rozmawiać, kreować, dzielić się radami. Poznaj innych, młodych artystów z okolicy!".

8 maja spotkanie „Kobieca perspektywa". Dzień później zajęcia nauki gry na gitarze dla początkujących. Prawie równolegle „Chatting with tea", czyli klub dyskusyjny w języku angielskim z native speakerem. Na koniec tygodnia Żory Ukulele Festiwal.

W kolejnym tygodniu podobnie: „Kreatywny wtorek", czyli spotkanie wokół rękodzieła, „Sztuka moja pasja" – warsztaty z rysunku i malarstwa dla dorosłych, wieczorem sesja Mindfulness. Tydzień kończy sobotni cykl dla całej rodziny: „Zaczytani – codziennie w bibliotece".

Kogo brakuje?

Żory mają 63 tys. mieszkańców. Do biblioteki zapisało się 12,5 tys. osób, a rocznie odwiedza ją 282 tys.

– Kto zagląda tu najrzadziej? – pytam.

– Mężczyźni, zwłaszcza ci czynni zawodowo – przyznaje Zawalska-Hawel. – Chłopcy w wieku szkolnym przychodzą, mamy też mocną grupę seniorów i oczywiście kobiet.

Dlatego jeden z ostatnich projektów realizowany przez bibliotekę był skierowany właśnie do ojców. – Nie chcieliśmy mówić uczestnikom, jak być lepszym tatą, bo na tym się nie znamy. Zależało nam, by spotkać ojców, pozwolić im wymienić się doświadczeniami – opowiada. – Przygotowaliśmy książki, w których można znaleźć przydatne informacje, zorganizowaliśmy warsztaty. Mieliśmy nadzieję, że powstanie Klub Ojców. Jednak projekt się skończył, a panowie się rozpierzchli – mówi. – Myślimy więc o kolejnych tematach, które mogłyby ich zainteresować.

Równolegle powstają w żorskiej bibliotece grupy, które regularnie korzystają z oferty instytucji. – Grupa seniorów, nauczycielek z jednej z żorskich szkół, grupa młodzieży – wylicza Zawalska-Hawel. – Część z nich przychodzi na wybrane zajęcia, inni tworzą stałą widownię dla spotkań literackich.



JACEK TARAN

Wewnątrz biblioteki jest dzwon, który rozbrzmiewa za każdym razem, gdy na świat przychodzi nowy mieszkaniec miasta, a w domyśle także nowy czytelnik.

Jedna z grup powstała po pandemii Covid-19, gdy zespół biblioteki przygotował projekt „Most sztuki" dla osób po 50. roku życia, który miał ułatwić im wyjście z izolacji.

– Po drugiej stronie pojawia się nie tylko ciekawość tego, co robimy, ale i przekonanie, że można do nas przyjść ze swoimi sprawami. Być może właśnie dlatego jedna z naszych czytelniczek poprosiła ostatnio bibliotekarkę o książkę na temat bulimii. Widziała, że biblioteka jest miejscem, w którym może znaleźć pomoc, wiedzę, i że może nam zaufać – dodaje.

Zawalska-Hawel podkreśla, że nigdy nie chciała mieć zbyt wiele wspólnego z polityką. – Jeśli jednak prowadzi się instytucję, która wywiera wpływ na to, co dzieje się w mieście, polityka zaczyna się interesować nami – mówi.

Tak było w ubiegłym roku, gdy z inicjatywy Strefy Młodych znajdującej się w bibliotece zorganizowano tam warsztaty i zajęcia pod hasłem Miesiąc Dumy. – Jak zawsze wskazaliśmy na książki, które warto przeczytać, zaprosiliśmy osoby, które poprowadziły zajęcia i warsztaty. W odpowiedzi mieliśmy protest przed biblioteką, głównie osób związanych z „Ordo Iuris" – mówi. – I wiele miesięcy wyjaśnień, czym były nasze zajęcia i dlaczego warto rozmawiać na tematy, które są ważne dla naszych czytelników.

Żar literatury

Równolegle, jak wiele innych bibliotek publicznych, żorska organizuje spotkania autorskie. – Zapraszamy znanych i najlepiej piszących w Polsce, ale też tych, których debiuty świetnie się zapowiadają. Dla młodego autora pierwsze spotkanie z publicznością to przede wszystkim szansa na usłyszenie tego, jak jego książka została odebrana. Dlatego organizujemy spotkania z debiutantami, nawet jeśli wiążą się one z ryzykiem, że przyjdzie kilka osób.

W 2020 roku w debacie otwierającej nową siedzibę żorskiej biblioteki wystąpili Tadeusz Sławek, Ryszard Koziołek i Przemysław Czapliński. W ciągu dwóch dni przez bramki biblioteki przeszło ponad 6,5 tys. osób.

– Zainteresowanie było tak duże, że pomyślałam: a może by tak zorganizować festiwal literacki w Żorach, który chodził mi po głowie od dawna – przyznaje Aleksandra Zawalska-Hawel.

Tak powstał Festiwal Żar Literatury, w którego trzech poprzednich edycjach wzięło udział łącznie 108 pisarzy i pisarek oraz blisko 2,3 tys. osób oraz ponad 5,6 tys. słuchaczy online.

Widok

Z gabinetu dyrekcji idziemy na ostatnie piętro budynku dawnego młyna. Zawalska-Hawel koniecznie chce mi coś pokazać. Ogromna sala z przeszklonymi ścianami, widok z jednej strony na park, z drugiej – Żory. Tu będzie kawiarnia.

– Mamy też widoki – mówi.

©℗ ANNA GOC

S-NET GRUPA TOYA

Data Center dla Twojego biznesu w centrum Krakowa

Najważniejsze cechy S-NET Data Center

Sprawdź, jak wygląda nasze Data Center w pigułce.

- Gwarancja SLA
- Obiekt klasy Tier 3
- Transmisja danych do krajowych operatorów
- Samodzielny dostęp do szaf w trybie 24/7
- Redundantne połączenie z siecią Internet
- Monitoring 24/7 oraz opieka specjalistów

Bezpieczeństwo danych

Nowe **S-NET Data Center** zostało wyposażone w najnowszej generacji systemy przeciwpożarowe, chłodzenia oraz niezależne systemy zasilania.

- Systemy przeciwpożarowe
- Systemy chłodzenia
- Niezależne zasilanie



REKLAMA

s-net.pl/data-center

Skontaktuj się z nami

+48 12 395 71 00

Przeszczep organów

JAN BŁASZCZAK

Miłosz Kędra nagrywał w szkolnej auli, ale jego muzyka wciąż nie mogła uwolnić się od skojarzeń z kościelną muzyką organową. Potem dostał wiadomość – ten instrument ma trafić na śmietnik. I wtedy odzyskał głos.

W OSTATNICH DNIACH MARCA ŁÓDZka wytwórnia Pointless Geometry obchodziła swoje dziesiąte urodziny. Specjalizujące się w muzyce elektronicznej wydawnictwo ma w swoim katalogu wiele ciekawych albumów, a prowadzący je Justyna Banaszczyk i Darek Pietraszewski pełnią rolę promotorów, kuratorów i akuszerów niezależnej sceny muzycznej. Łodzianie celują przede wszystkim w muzykę eksperymentalną, poszukującą, przekraczającą gatunkowe granice. Szukam wciąż synonimów, bo mam świadomość, że to nadużywane określenia, choć pasują idealnie do wydawnictwa, które postanowiło celebrować swój jubileusz premierą albumu z muzyką organową.



TOBIASZ BRAKONIECKI / MATERIAŁY PRASOWE

Niewidzialny instrument

Autorem płyty „their internal diapasons" jest Miłosz Kędra, student Akademii Muzycznej w Poznaniu. Jego twórczość nie ma jednak wiele wspólnego z tradycyjnie pojmowaną muzyką organową, której hołduje się wewnątrz uczelnianych murów. Studia licencjackie ukończył na specjalności elektroakustycznej i właśnie elektroniczne przetwarzanie dźwięku, jego samplowanie, doprowadziło Kędrę do organów. Wszystko za sprawą nagrywanej przez niego wokalistki, której ojciec miał dostęp do instrumentu znajdującego się w jednym z podpoznańskich kościołów.

– Nie były to organy piszczałkowe, ale raczej ich emulator – wspomina kompozytor. – Piszczałki nie zostały zdemontowane, ale za nimi umieszczono głośniki, z których tak naprawdę wydobywał się dźwięk. Było to więc sztuczne środowisko, ale atak dźwięku był i tak fascynujący.

Kędra przyznaje, że tak naprawdę nigdy wcześniej nie słyszał organów. A przecież słuchał ich wielokrotnie: – Wychowałem się w katolickiej rodzinie, więc najpierw chodziłem do kościoła z rodzicami, a potem jeszcze przez jakiś czas samemu. A jednak mam wrażenie, że nie słyszałem tego instrumentu. On wtapiał się całkowicie w otoczenie kościoła, w jego akustykę, w aurę, którą tworzy to miejsce.

Bardzo szybko uznał, że spróbuje wyrwać organy z tego kontekstu. Jako pianista borykał się z ograniczeniami narzucanymi przez instrument, którego każdy klawisz ma przypisaną określoną barwę. Organy, których piszczałki pozwalają, by otwierać je w różnym zakresie, roztoczyły przed nim zupełnie nowe perspektywy.

Paradoks polegał na tym, że świecką muzykę organową wciąż najłatwiej nagrać w kościele, bo przecież tam z reguły budowane są te instrumenty. Droga do tego, aby zagrać, zwykle okazywała się żmudna i wymagająca nie lada dyplomacji. Dlatego ostatecznie kompozytor nagrał swoje debiutanckie „For Aeons" w sali organowej jednej z poznańskich szkół muzycznych. Na łamach internetowego czasopisma Meakultura Wojciech Staniaszek pisał o niej: „Artysta inspiruje się średniowieczną stylistyką, dodając do niej elementy futurystyczne poprzez zespolenie organów piszczałkowych z elek-

troniką. Kędra w znacznym stopniu ingeruje w strukturę brzmieniową, co daje świeży efekt, kontrastujący z powszechnym kojarzeniem organów ze przestrzenią kościelną".

Mimo to kompozytor czuł niedosyt. Choć nagrywał w szkolnej auli i posiłkował się elektroniką, to jego muzyka nie mogła uwolnić się od skojarzeń z kościelną muzyką organową. Wtedy dostał wiadomość – instrument, na którym nagrywał, ma trafić na śmietnik.

Składak

Rzeczywiście organy, na których kompozytor nagrał „For Aeons", nie były w najlepszym stanie. Zaniedbany, rozstrojony instrument nie przeszkadzał jednak Kędrze w nagrywaniu – przeciwnie, jego brzmienie wydawało mu się intrygujące. Dyrekcja najwyraźniej nie podzielała tej opinii. Szkoła zmieniała lokalizację, ale organy miały być porzucone: – Kiedy tam przyszedłem, na sali stały piszczałki, z których mogłem wybierać.

Kędra zrozumiał wtedy, że w celu nagrania autorskiej muzyki organowej musi zbudować własny instrument. Te organy miały już nieoczywistą historię. Kiedy kompozytor zaczął konsultować się z organmistrzami, okazało się, że instrument był składakiem. Jego piszczałki pochodziły z różnych kościołów czy instytucji – na niektórych wciąż znajdowały się ślady wosku, z innych artysta wyciągał plany lekcji z lat 80. Każda piszczałka skrywała więc własną, nieopowiedzianą historię.

W rezultacie rozmów z organmistrzem Kędra ustalił, że jego instrument powinien pomieścić kilkanaście piszczałek, przy czym kluczowa była możliwość ich wymiany, ponieważ łącznie miał ich około pięćdziesięciu. Ważny był również sposób doprowadzania powietrza do instrumentu: – Chciałem bazować na średniowiecznych koncepcjach organów. Zwykle znajdował się przy nich mały dzwon. Kiedy się w niego uderzało, przychodził kalikant, który wpompowywał powietrze, żeby organista mógł grać. Zależało mi na tym, aby być jednocześnie organistą i kalikantem.

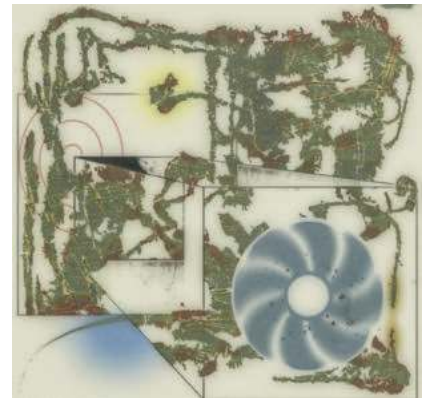
Dzięki temu artysta może na bieżąco decydować, do której piszczałki wtłacza powietrze, i ingerować w jego ilość. Jeśli będzie je wpompowywał delikatnie, usłyszymy jedynie świst, jeśli wprowadzi go więcej – dźwięk będzie ostrzejszy. Sam miech oferuje również pewne artefakty dźwiękowe. Kiedy pobiera powietrze, jego zastawki rytmicznie uderzają o ziemię. Brzmi to jak bicie serca.



MIŁOSZ KĘDRA // MATERIAŁY PRASOWE

Miłosz Kędra, „Their internal diapasons", Pointless Geometry

Na pozostałych zdjęciach: Miłosz Kędra



MATERIAŁY PRASOWE

Oswajanie wynalazku

Nie będzie nadużyciem stwierdzenie, że praca nad instrumentem była zarazem pierwszym etapem komponowania albumu „their internal diapasons". Właśnie wtedy ukształtowała się wizja zakładająca, że każdy utwór zostanie nagrany w innym stroju, na innym zestawie piszczałek.

– Choć miałem w głowie pewne figury rytmiczne, nie rozpisywałem tej muzyki w nutach – tłumaczy twórca. – Praca nad albumem to był długi proces, bo za każdym razem, kiedy stroiłem wybrany zestaw, potrzebowałem kilku dni, żeby się z nim oswoić. I dopiero po takim czasie podejmowałem decyzję, czy w ogóle chcę nad nim pracować. Wszystko odbywało się więc metodą prób i błędów.

Muzyka nagrywana na autorskich instrumentach często wymyka się łatwym skojarzeniom. Warto jednak wymienić jednego z bohaterów Kędry – amerykańskiego kompozytora i konstruktora Harry'ego Partcha, ale także polskich twórców: lidera Małych Instrumentów Pawła Romańczuka czy autora „spekulatywnej muzyki dawnej" Wojciecha Rusina. Choć „their internal diapasons" to album fascynujący swoją osobnością, to brzmienie organów momentami przypomina mi właśnie dźwięki fletów drukowanych przez Rusina. Kiedy słucham utworu „airborne", myślę natomiast, że w tę stronę mógłby skręcić Arca, producent, który połączył zespół flecistów z elektroniką na albumie „Utopia" Björk. Też dobre skojarzenie.

Ale przed Kędrą jeszcze jedno wyzwanie, koncerty: – Wiem, że nie będę w stanie zagrać tej płyty w całości na żywo. W tym kontekście myślę raczej o konkretnych strukturach, efektach, które uzyskiwałem na piszczałkach, i sposobach przetwarzania ich dźwięku. Trudno jednak powiedzieć, jak to się uda, bo moje organy mają swoje mankamenty. Ostatecznie to nie jest instrument za kilka milionów złotych. Miech chodzi za głośno, a piszczałki czasem się przesuwają i przestają grać. Nie chcę jednak poprawiać tego za wszelką cenę, bo przecież taka specyfika tworzy mój instrument. ©

Szekspir na spalonym



DARIUSZ KOSIŃSKI

Szał po „Hamlecie” w Teatrze Narodowym? Bądźcie uczciwi i powiedzcie – czy nie macie dość tych naciąganych i pełnych dziur opowieści o świecie mężczyzn tresujących kobiety, królów chorych na władzę i władzy chorej na królów? Szekspir jest gdzie indziej.

Od razu powiem, żeby mieć to już za sobą: z biegiem lat mam z Szekspirem coraz większy problem i coraz bardziej na pieńku. W młodości wielbiłem go miłością częściowo wmówioną nam wszystkim, a częściowo (w części zdecydowanie większej) szczerze. Przeczytałem wcześnie wszystkie jego dramaty, oczywiście najwcześniej te najbardziej znane z „Hamletem” na czele – w tłumaczeniach przede wszystkim Józefa Paszkowskiego. Ta anachroniczna fraza nasiąknięta retoryczną muzyką zawsze mocno działała.

Ten Szekspir był więc – jak dla większości rodaków – polsko uszlachetniony, bo wszak Paszkowski, tłumacząc, miał już świadomość, że ma przed sobą największego poetę teatralnego świata i podnosił go na wysokość właściwych romantycznej epoce wyobrażeń o literaturze naprawdę pięknej.

Szekspir w polskich przekładach

Potem czytałem i słyszałem ze sceny współczesne tłumaczenia – najpierw Macieja Słomczyńskiego, potem Stanisława Barańczaka, którzy – każdy na swój sposób – zdejmowali ten dziewiętnastowieczny świdermajer i zamieniali Szekspira w pisarza czasu swojego i naszego.

Wielką zabawę miałem czytając zwłaszcza Barańczakowe przekłady komedii. Ale to właśnie wtedy pojawił się problem: czy wielkość Szekspira, tak ściśle powiązana ze znaczeniem tego, co od XVIII w. zwykliśmy nazywać teatrem, nie jest aby wmówieniem? I czy wmówienie to nie stanowi raczej przeszkody na drodze wyjścia ze szkodliwych iluzji? Czy Szekspir to naprawdę – jak się to powtarza od ćwierć wieku – źródło głębokiej i uniwersalnej wiedzy o ludzkich sprawach?

Pytania te nie dotyczą angielskiego pisarza z przełomu XVI i XVII w., który – jak głosi jeden z moich ulubionych bon motów (nie pamiętam niestety czyjego autorstwa) – pisał z najlepszego z możliwych powodów, czyli dla pieniędzy. William Szekspir nie jest niczemu winien: zarabiał na lepsze życie, tworząc atrakcyjne dramaty dla największych przedsiębiorstw rozrywkowych swojego czasu. Dziś pisałby scenariusze dla serwisów streamingowych i może nawet udałoby mu się ocalić ostatni sezon „Gry o tron”.

Wszystko, co zadecydowało o jego światowej sławie, dokonało się niemal dwieście lat po jego śmierci. Oddzielony od życia, zamknięty w ścianach budynku, stały, repertuarowy teatr w Europie uczynił z Szekspira, który pisał na zupełnie inne instrumentarium, swojego najważniejszego autora. Został uosobieniem wciskanych w publiczność wyobrażeń o mądrości, sile, wiedzy, wartościach i zręcznościach.

Powinność wielce kulturalna

Powstaniu teatru europejskiego jako oznaki cywilizacji i kultury oraz podbijaniu przez nią innych kultur (często z likwidacją i ich odmienności, i ich samych) nieodmiennie towarzyszyły boje o Szekspira wieńczone jego tryumfalnym wkraczaniem na scenę.

Byłoby przesadą stwierdzenie, że uznanie angielszczyzny za panjęzyk światowy dokonało się dzięki wcześniejszej jego globalnej gloryfikacji, ale nie ulega wątpliwości, że te dwa procesy są ze sobą powiązane. Żyjemy więc w przekonaniu, że w dziele Szekspira zawarte są wszelkie prawdy, wiedza, cały świat.

Ejże, naprawdę? Na pewno? Bądźcie uczciwi i powiedzcie – czy nie macie dość tych naciąganych i pełnych dziur opowieści o świecie mężczyzn tresujących kobiety, królów chorych na władzę i władzy chorej na królów? Czy naprawdę odnajdujecie się we łzawych historiach o miłości od pierwszego wejrzenia, zazdrości zbudowanej na słabych poszlakach i starym cholerycznym głupcu, który całą noc gada na wiatr, choć nie ma niczego sensownego do powiedzenia? Czy nie czas, by w końcu wstał w teatrze jakiś nowy Gałkiewicz i zapytał: jak zachwyca, skoro nie zachwyca, skoro nikt nie czyta, czytać nie może, bo nikt nie rozumie i w ogóle nikogo to nie obchodzi?

Gałkiewicz nie wstaje, bo wszak nikt nie chce wyjść na buraka niekulturalnego, który uniwersalnego pisarza by nie cenił. A przede wszystkim: nikt nie wstaje w teatrze, bo wstanie takie oznaczałoby zamach na tę instytucję w kształcie, jaki trwa

RADIO KRAKÓW
Co środę o godz. 14.30 na antenie Radia Kraków goszczą dziennikarze „Tygodnika Powszechnego”.
Słuchaj nas w Małopolsce: Kraków – 101,6 FM
Nowy Sącz – 90,0 FM | Tarnów – 101,0 FM
Zakopane – 100,0 FM | Andrychów – 98,8 FM
Gorlice – 97,4 FM | Krynica-Zdrój – 102,1 FM
Rabka-Zdrój – 87,6 FM www.radiokrakow.pl



HAWA / MATERIAŁY PRASOWE

„Opowieść zimowa" na podstawie dramatu Williama Szekspira, reż. Pamela Leończyk, Teatr Powszechny w Warszawie

w najlepsze od XIX w., skutecznie ustanawiając własną konieczność istnienia.

Wystawianie Szekspira, jako konieczność kulturalna, wytworzyło klasykę wraz z jej „nieprzemijającymi wartościami", którym teatr służył i służy. Gdyby grał tylko sztuki współczesne, specjalnie dla niego pisane lub tworzone w nim tu i teraz – nie przetrwałby w formie, jaką ma dziś w Polsce i w wielu innych krajach rodzimej Europy. Klasyka, przede wszystkim Szekspir, tworzą mitologię teatru nowożytnego – świecki odpowiednik religijnych przypowieści, do których teatr odwoływać się musi. Nawet jeśli nie bardzo już rozumie ich sens. I mimo że opowieści te są coraz bardziej anachroniczne i szkodliwe.

Kość wyłamana w stawie

Nie powiem, że te wszystkie myśli przyszły mi do głowy po obejrzeniu najgłośniejszej premiery tego sezonu, „Hamleta" w Teatrze Narodowym, w reżyserii Jana Englerta. Pojawiały się już wcześniej, oczywiście razem z wieloma kontrargumentami, na czele z tym, który w swojej wspaniałej książce o „Hamlecie" (będącej największą apologią nie Szekspira, ale teatru, którego Szekspir jest bogiem) zapisał Stanisław Wyspiański.

Jego „studium" to pean na cześć inteligencji dramatycznej, myślenia, które i ja uznaję za wielką potencjalną siłę teatru, wciąż mającą ogromne, a nawet ogromniejące znaczenie w świecie masowo rozprowadzanych gotowców i baniek komunikacyjnych upraszczających nam świat.

Teatr jako wielka szkoła zmuszającej do samodzielnego i niestandardowego myślenia złożoności jest nam dziś do życia zbiorowego i indywidualnego niezbędny. Pytanie jednak: czy na pewno współdziała z tą niezbędnością Szekspir traktowany jako „wielki artysta", którego „wiecznotrwałe dzieła" wystawiać należy z szacunkiem, że zęby bolą?

Premierowy wieczór w Teatrze Narodowym w Warszawie stanowił dla mnie poważny argument na „nie". Wielkie wydarzenie pełne znanych twarzy, toalet, bukietów i uśmiechów od początku mnie zraziło. Cała ta oprawa i atmosfera nie dziwi, bo wiadomo było przecież od dawna i oficjalnie, że to pożegnalna premiera Englerta, wybitnego aktora, zasłużonego reżysera i dyrektora, prawdziwej osobistości i osobowości. Pożegnanie dyrektora to święto instytucji i nie czas wtedy zadawać nieprzyjemne pytania, kwestionować zasługi, kręcić nosem. Bije się brawo, wznosi okrzyki, rzuca kwiaty, składa życzenia. Ale jakoś nie mogłem już wytrzymać tego stężenia kultury Panteonu.

Przepraszam też, że nie opiszę, nie zinterpretuję i nie ocenię przedstawienia Jana Englerta. Na pewno wylewnie zrobią to inni, a ja nie czuję potrzeby, by publicznie ogłaszać, co sądzę o Hamlecie jako pożytecznym idiocie oszukanym przez agentów Putina. Tu potrzebne byłoby pióro Antoniego Słonimskiego, do którego mi daleko.

Przyjmuję wręcz, że ten „Hamlet" jest udany w takim sensie, że dyrektor Teatru Narodowego w chwili szczególnej wystawił go w sposób zgodny z tym, co uważa za kształt i misję teatru, któremu poświęcił życie. Przyjmuję, że oklaski premierowej publiczności oraz zachwyty nad grą aktorów są szczere i dowodziły, że takiego właśnie teatru państwo chcą.

Jeśli tak, to znaczy, że teatr Szekspira stał się przestrzenią celebracji i zachwytów, których centrum stanowi coś, co jest naszym przekleństwem.

To bezsiła i znudzenie sobą, niedostatki świadomości, nerwowe rzucanie się bez ładu i składu, całkowita utrata wiary w sens, pasja w podważaniu wszelkich wartości, wzajemne niszczenie siebie w dążeniu do celów, które sami negujemy. Tragikomedia zbiorowych iluzji, którą powtarza się i powtórnie ogląda się, bo... No właśnie – bo co? Na czym polega ta przyjemność, jeśli założyć, że to wszystko to nie tylko obłudna ceremonia pustego kulturalnego obowiązku? Chyba tylko na tym, że w ten sposób podnosimy nasze zagubienie, naszą marność, nasze ograniczenia i idiosynkrazje do rangi uniwersalnej prawdy, dając sobie w ten sposób usprawiedliwienie przez sztukę i nurzając się w masochistycznej przyjemności wypowiadania naszego miałkiego i marnego zapętlenia jako podniosłego monologu chłopca z gitarą.

Powtarzamy z przejęciem „Być albo nie być", choć przecież wiadomo, że byliśmy, jesteśmy i będziemy. Marni jak zawsze, ale hamletycznie uwznioślenі, czujemy się przez chwilę lepiej. ↦



JACEK DOMIŃSKI / REPORTER

Próba spektaklu „Hamlet" Williama Szekspira w reżyserii Jana Englerta w Teatrze Narodowym. Warszawa, 8 kwietnia 2025 r.

Jak spękany dzwonek

↦ To był naprawdę przypadek. Nie planowałem tego i nie wymyśliłem. Nawet gdy już potwierdziłem zaproszenie na premierę „Hamleta" w Narodowym, nie zorientowałem się, że tego dnia, i to o bardzo dla mnie dogodnej porze, Teatr Powszechny pokazuje „Opowieść zimową". Wpadłem na to niemal przypadkiem, niedługo przed wyjazdem i natychmiast postanowiłem skorzystać z tej wyjątkowej okazji, że jednego dnia da się obejrzeć dwa przedstawienia. Ułożyły się w opozycję tak klarowną, że gdybym ją zaplanował i wymyślił, byłoby mi wstyd z niej skorzystać – tak jest przymilnie znacząca.

Daria Sobik (dramaturgia) i Pamela Leończyk (reżyseria) zbudowały swoje przedstawienie na podstawie jednego z ostatnich dramatów Szekspira. Właśnie one są najwspanialsze, bo autor mówi tu, jak człowiek jest grzeszny i sam pełen winy. Jakby zdał sobie na starość sprawę, co ponawyprawiał w tych wszystkich „Hamletach", „Otellach" i „Makbetach". „Opowieść zimowa" to baśń o przebaczeniu, ono jest najcenniejsze i zarazem – niemal niemożliwe.

Twórczynie przedstawienia w Powszechnym łamią zasady, którymi kierował się całe życie dyrektor Narodowego: komponują z motywów Szekspira własny tekst, przenoszą jego historię w nasze czasy. Każą Hermionie i Leontesowi przyjść na sesję terapii małżeńskiej do gabinetu współczesnej wziętej psychoterapeutki. Ta jawna inscenizacja zastępcza okazuje się skuteczna i prowadzi do czegoś, co tylko z niewielką przesadą można by nazwać *katharsis*.

Ale – tak jak wcześniejsze sceny otwierają się na przeżycie zablokowanych emocji – to finałowe oczyszczenie jest podważone ujawnieniem ramy dobrze płatnej sesji i teatru. Nikt tu bowiem nie udaje, że tych ram nie ma lub że są niewinne i tylko służą jako zwierciadło. I terapia, i teatr to narzędzia używane dla komponowania i przedstawiania doświadczenia, a więc nieuchronnie – narzędzia przemocy i tworzenia fikcji.

Nowoczesność aktorstwa, które rozwinął zespół Powszechnego, polega na tym, że ta opozycja: „szczerość – technika" nie ma sensu i nie warto o nią pytać. Przede wszystkim dlatego, że to nie o prawdę aktorskiego przeżycia idzie, lecz o to, by przeprowadzić realny proces w tych, którzy przychodzą, nas. A że rzecz dotyczy spraw najbardziej podstawowych i nieuchronnie znanych wszystkim: relacji z najbliższymi, przede wszystkim poplątanych straszliwie i pełnych ran relacji rodziców i dzieci, to nic dziwnego, że przedstawienie jest dotkliwe.

Pewnie można przejść obok niego obojętnie, ale wydaje mi się, że wymaga to pewnego wysiłku – trzeba się natrudzić, by się zamknąć na to doświadczenie. Dowodziłoby to jednak, że teatralne klapki doprowadziły już do zaćmy nadającej się do pilnego leczenia operacyjnego.

W „Opowieści zimowej" nie ma zadęcia na arcydzieło, a już na pewno nie było go czuć wczesnym popołudniem w sobotę, prawie cztery miesiące po premierze, gdy jednak na sali zebrała się zaskakująco liczna grupa widzów. Marka, jaką jest Szekspir, została pewnie świadomie użyta także dla zdobycia pieniędzy (spektakl powstał i został nagrodzony w ramach programu „Nowy Yorick" stanowiącego część Festiwalu Szekspirowskiego).

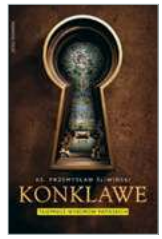
Gra się tak, jak przeciwnik pozwala, a skoro siła kultury anglosaskiej sprawiła, że jedynym w Polsce teatrem poświęconym twórczości jednego autora jest właśnie Teatr Szekspirowski, to – choć mnie ten dowód kolonialnej niższości polskiej kultury smuci od lat – nie sposób czynić jakiegoś poważnego zarzutu z wykorzystywania tej sytuacji.

Inna rzecz, że w efekcie powstało przedstawienie, w którym poezja Szekspira (bo to jednak wielki poeta był!) brzmi wspaniale, a to, co uznaje się za jeden z jego głównych tytułów do sławy – wrażliwość na złożoność świata, tryumfuje w pełni. I nie ma tam żadnego celebrowania naszej nerwowej i bezsensownej szarpaniny. Wprost przeciwnie.

Dramaty, które sobie wystawiamy, i wszystko, co służy im za scenę, ukazane jest w taki sposób, że już nie da się tym chlubić, a powtarzanie „Być albo nie być" wydaje się nawet nie żałosne, ale absurdalne.

Dwa przedstawienia, dwa teatry, dwa brzegi jednej rzeki. Nie ma znaczenia, że to przypadek.

© DARIUSZ KOSIŃSKI



■ *Ks. Przemysław Śliwiński,* **KONKLAWE. TAJEMNICE WYBORÓW PAPIESKICH**, *Stacja 7*

Statystycznie będzie ich w naszym życiu sześć. Dla większości to, które właśnie się rozpoczyna, jest trzecim (mediana wieku Polek i Polaków wynosi 43 lata).

Niewiele obserwujemy zdarzeń, które od wieków nie uległy zmianom – nie tylko w swej istocie, ale i formie. Oraz takich, których przebieg jest znany i w każdym szczególe dopracowany, ale rezultat – zawsze nieprzewidywalny. Konklawe. Niewiele jest też książek (w Polsce chyba nie ma ich w ogóle), które tak kompetentnie i precyzyjnie opisywałyby przebieg, formułę prawną i liturgiczną oraz historię papieskich wyborów. Książek, które były- by pełne anegdot (czy wiedzieliście, że pierwszym Polakiem, który wybierał papieża, nie był wcale kardynał?), a jednocześnie analizowały strukturę kolegium elektorów i jej zmiany na przestrzeni wieków, a nawet strategie medialne, towarzyszące. W dodatku w przystępny i barwny sposób, także dzięki licznym infografikom (szkoda, że nie podano ich autora!), które pozwalają łatwiej przyswoić statystyki i rankingi, zrozumieć kościelne procedury i zobaczyć miejsca, w których dokonują się ich kolejne etapy.

Fachowe kompendium wiedzy w formie niemalże szkolnego podręcznika to propozycja nie tylko na najbliższe dni. W końcu jeszcze niejedno konklawe przed nami. ©℗ EDWARD AUGUSTYN



■ *Tom Holland,* **BOŻE WŁADZTWO. JAK CHRZEŚCIJAŃSKI PRZEWRÓT ZMIENIŁ OBLICZE ŚWIATA**, *PIW*

Chcecie uciec od chrześcijaństwa? No to powodzenia... Tak można by streścić 500-stronicowe, wydane w tzw. serii ceramowskiej „Boże władztwo" Toma Hollanda. Czas, osoba, miłosierdzie, współczucie, równość, prawo, prawda, moralność – wszystkie te kategorie w cywilizacji zachodniej są nierozłącznie związane z chrześcijaństwem. I tak nasycone jego sokami, że nawet jeśli jako ateiści krytykowalibyśmy zbrodnie Kościoła – uczynimy to z pozycji etycznych ukształtowanych przez chrześcijaństwo.

Tom Holland, współtwórca podkastu „The Rest is History", autor książek poświęconych głównie starożytności (ale i beletrystycznego cyklu o wampirach), by udowodnić swoją tezę, prowadzi nas za rękę od starożytności po współczesność, od Augustyna, przez Lutra, po Lennona. Dla czytelnika to podróż odbywana chwilami wbrew sobie, zwłaszcza gdy jesteśmy zmuszeni patrzeć na tortury, których szczegółów autor nie szczędzi, albo przedzierać się przez zawiłości barokowej składni.

„Nawet gdyby kościoły na obszarze świata zachodniego w dalszym ciągu miały się wyludniać, nie wydaje się, aby standardy te szybko mogły ulec zmianie" – uważa Holland, prywatnie niewierzący. Czy cywilizacja chrześcijańska będzie zatem istnieć bez wiary chrześcijańskiej? Z takim pytaniem pozostawia nas przewrotna apologetyka Hollanda.

©℗ MACIEJ MÜLLER



MATERIAŁY PRASOWE

■ **UTRATA RÓWNOWAGI**, *reż. Korek Bojanowski, dystr. Mówi Serwis*

Nieczęsto się zdarza, by kilkadziesiąt sekund czołówki świadczyło o jakości całego filmu, ale w przypadku „Utraty równowagi" właśnie tak jest. Migająca stroboskopowym światłem sekwencja z dudniącą muzyką i ciałami młodych aktorek i aktorów w dzikim tańcu momentalnie przykuwa uwagę i podsumowuje to, co zaraz wydarzy się na ekranie. A będzie to jeden z najbardziej obiecujących polskich debiutów roku. I to debiut podwójny – Korka Bojanowskiego jako reżysera w pełnym metrażu oraz Nel Kaczmarek jako aktorki w roli głównej. Wyzwanie było dla obojga o tyle znaczące, że „Utrata..." opowiada o problemie, który łatwo sprowadzić do dydaktycznej opowiastki: o przemocy w szkołach aktorskich. Studenci akademii teatralnej przygotowują spektakl dyplomowy. Na ostatniej prostej dostają nowego opiekuna, budzącego szacunek, charyzmatycznego Jacka (Tomasz Schuchardt). Angażując do roli Lady Makbet zrezygnowaną Maję, przywraca jej wiarę w siebie, ale równocześnie wchodzi z nią i resztą studentów w relację na nieczystych zasadach. Bojanowski daje wgląd w samo źródło dyskusji o przemocy w dydaktyce artystycznej, ale równie dużo osiąga w czysto formalnych kategoriach – udowadnia, że w rodzimym kinie można liczyć na energetyczne i angażujące wizualnie obrazy młodości.

© IGOR KIERKOSZ

W świecie, który dzieli, my szukamy tego, co łączy.

Najnowsze, specjalne wydanie „Tygodnika Powszechnego" powstało dla tych, którzy mają dość prostych podziałów na swoich i obcych. To zaproszenie do rozmowy ponad liniami frontu, ponad uprzedzeniami i schematami. Dyskutujmy, zamiast się okopywać. Bo Polska jest jedna – choć niejednorodna.

W numerze m.in.

■ Bogdan **de Barbaro** ■ Natalia **de Barbaro** ■ Justyna **Bargielska** ■ ks. Adam **Boniecki** ■ Wojciech **Bonowicz** ■ Olga **Drenda** ■ Urszula **Honek** ■ Dorota **Masłowska** ■ Zbigniew **Mikołejko** ■ Magdalena **Nowicka-Franczak** ■ Michał **Okoński** ■ Michał **Oleszczyk** ■ Marek **Rabij** ■ Tomasz **Stawiszyński** ■ ks. Józef **Tischner** ■ Ewa **Woydyłło**

Weź, czytaj i rozmawiaj z nami!



TYGODNIK POWSZECHNY WYDANIE SPECJALNE TERAPIA DLA POLSKI

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

W pułapce lojalności



ANITA PIOTROWSKA

Nowy film Stevena Soderbergha jest przede wszystkim elegancką stylówką, wyrafinowaną zabawą w dwuznaczności i podejrzenia.

Czym uwodzą nas dziś szpiegowskie fikcje? Kiedy nowe technologie coraz skuteczniej zmętniają obraz rzeczywistości, a teorie spiskowe rozprzestrzeniają się niczym wirusy, tego rodzaju opowieści przynoszą doraźną satysfakcję. Że udało nam się wniknąć za zasłonę tajemnych posunięć, rozkręcić na śrubki mechanizmy manipulacji, zapanować przez chwilę nad niewidzialnymi siłami dużo większymi od nas.

Powiedzmy wprost: najnowszy film Stevena Soderbergha nie idzie w konkury z wielkimi tytułami kina szpiegowskiego. Ani z widowiskami w rodzaju Bondów czy Bourne'ów, ani z majstersztykami gatunku, jak „Szpieg" (2011) Tomasa Alfredsona czy „Operacja Argo" (2012) Bena Afflecka, o klasyce nie wspominając. Napisał tę historię David Koepp, hollywoodzki wyjadacz, niegdyś współscenarzysta „Mission: Impossible" (1996), i najwyraźniej chciał pójść pod prąd popularnych narracji. Spróbował je trochę „uziemić" i ocieplić, odsłaniając miękkie podbrzusze pracy w wywiadzie.

Ale czego można się spodziewać po filmie, w którym szpiegowskie małżeństwo odgrywają Cate Blanchett i Michael Fassbender? Ich bohaterowie często mają w sobie jakąś robotyczną doskonałość, a w ich filmografiach nietrudno trafić na szpiegowskie wcielenia – u niej choćby w „Charlotte Gray", u niego w nowym serialu „Agencja". Teraz mogli zaprezentować tę seksowną i luksusową (w rzeczywistości dużo bardziej zszarzałą i wymiętą) podszewkę „czarnej torby" – tak właśnie, „Black Bag", brzmi oryginalny tytuł filmu „Szpiedzy". Oznacza działanie w pełnej konspiracji, kiedy to nawet kochający się mąż i żona zatrudnieni w tym samym resorcie tajnych służb muszą ukrywać prawdę przed sobą. A tajemniczym rekwizytem napędzającym akcję okazuje się wyhodowany przez brytyjską agencję i pilnie strzeżony robak komputerowy o nazwie Severus, którym można włamać się do obcego systemu nuklearnego i przejąć nad nim kontrolę. Tymczasem na liście potencjalnych „kretów" znalazła się Kathryn, żona George'a, i to on dostał zadanie, by w ciągu tygodnia zidentyfikować źródło wycieku. Chodzi więc o psychologiczną grę, uczuciowe dylematy i nieśmiertelne pytanie: czy w świecie, w którym zdrada jest grzechem niewybaczalnym, a zarazem rządzi kłamstwo, można jeszcze komukolwiek zaufać?

Podążając za misterną intrygą, trzeba zapomnieć o życiowym prawdopodobieństwie. Koepp podczas pisania scenariusza konsultował się co prawda z emerytowanymi agentami, choć raczej nie mógł usłyszeć od nich całej prawdy. Mimo obecności fachowego żargonu, szpiegowskich skrótowców czy inteligentnych gadżetów, trudno brać na serio ów obyczajowy magiel, jaki kręci się pod wywiadowczą rutyną. Gdzie synowie dekonspirują własnych rodziców, a intymne związki pomiędzy współpracownikami toleruje się jedynie po to, żeby mieć na nich haka i rozgrywać ich przeciwko sobie. Zwłaszcza gdy jest się parą tak doskonałą, i w konspiracji, i w życiu, jak Kathryn i George. Dlatego Soderbergh delektuje się budowaniem atmosfery nieprzejrzystości w ich wzajemnych relacjach, a brązowa peruka Blanchett i okulary *à la* Michael Caine na nosie Fassbendera przydają smaczków.

Bo „Szpiedzy" to film do powolnego smakowania i nie przypadkiem dwie kluczowe sceny z udziałem wszystkich podejrzanych rozgrywają się przy domowym stole. Inspiracją dla tej historii były ponoć nie tyle powieści w stylu Johna le Carré, co sztuka „Kto się boi Virginii Woolf" Edwarda Albeego. Stąd wiele tutaj błyskotliwych dialogów i brutalne, czasem wręcz groteskowe demaskacje. Na dodatek szefa agencji, w której zatrud-



CLAUDETTE BARIUS / MATERIAŁY PRASOWE FOCUS FEATURES

SZPIEDZY *(Black Bag) – reż. Steven Soderbergh. Prod. USA 2025. Dystryb. UIP. W kinach od 9 maja.*

Steven Soderbergh to amerykański reżyser, scenarzysta, operator, montażysta i producent. Zadebiutował w wieku 26 lat filmem „Seks, kłamstwa i kasety wideo" (1989), zdobywając Złotą Palmę w Cannes i nominację do Oscara za scenariusz. Nakręcił m.in. „Traffic", trylogię „Ocean's Eleven: Ryzykowna gra", „Solaris", „Contagion – Epidemę strachu" czy „Wielkiego Liberace".

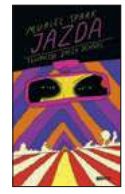
Na zdjęciu: Michael Fassbender w filmie „Szpiedzy"

nieni są główni bohaterowie, gra sam Pierce Brosnan, czterokrotny agent 007, w roli psychiatry pracującej dla brytyjskich służb wystąpiła zaś Naomie Harris, czyli Panna Moneypenny, sekretarka z trzech ostatnich „Bondów". Tych aluzji zaszyto w „Szpiegach" jeszcze więcej (na przykład w powracającym wątku wędkarskim), jakby twórcy za wszelką cenę odżegnywali się od jednoznaczności i powagi.

Soderbergh, który od lat zarzeka się, że kończy z filmem na dobre, raz jeszcze osobiście stanął za kamerą pod operatorskim pseudonimem „Peter Andrews" i porusza się po tym gorącym szpiegowskim dachu z gracją kota. Na podobnej tematyce zdążył zjeść zęby (jako reżyser filmów z serii „Ocean's", producent dokumentu „Citizenfour" o Edwardzie Snowdenie czy twórca „Dobrego Niemca" z Blanchett), chociaż zdarzało się, że sromotnie je połamał (patrz: „Ścigana" z Fassbenderem). W tym zestawieniu „Szpiedzy" przypominają wyrafinowane ćwiczenie warsztatowe. Choć było obliczone na dużą widownię, nie przyniosło kasowego sukcesu. Fabuła filmu, tocząca się w Londynie i częściowo w Szwajcarii, z maleńkim wątkiem polskim, wydaje się zbyt zajęta rzeźbieniem w gatunkowych konwencjach, osadzonych w dość kameralnej scenerii. I zarazem nazbyt ogólnikowa, jeśli chodzi o współczesne lęki, związane z Rosją, powracającym widmem atomowej zagłady i globalnego konfliktu, z cyberbezpieczeństwem i powszechną inwigilacją.

Soderbergh nakręcił film zdecydowanie bardziej „brytyjski" niż hollywoodzki. W tym sensie, że skierowany do widza dorosłego, którego trzyma na muszce nie sama akcja czy inne atrakcje, lecz to, co dzieje się pomiędzy głównymi bohaterami. Uwięzionymi w pułapce podwójnej lojalności – wobec rządowej instytucji (czy, szumnie mówiąc, swojej ojczyzny) i wobec tej drugiej, najbliższej osoby. Najważniejsze, że sztuczną i nieco sztywną konstrukcję udało się wypełnić staroświeckim wdziękiem, mrugając okiem do innych tytułów czy do kina jako takiego, i aktorzy również zdają się dobrze bawić swoimi wizerunkami czy charyzmą. O takich filmach, jak „Szpiedzy", łatwo powiedzieć, że są mimo swojego potencjału „niewystarczające", bo zbytnio kokieteryjne, płoche, ulotne. Stąd wrażenie, iż elegancka czarna torba pozostaje przez cały czas do połowy pusta, choć przecież tyle dałoby się w niej pomieścić. Na szczęście, niczego więcej nam się tutaj nie obiecuje. ©

Lektor: *Dziwna podróż*



▪ *Muriel Spark*
JAZDA
tłum. Jacek Dehnel, Znak Literanova, Kraków 2025, ss. 188.

Bardzo to jest przyjemne, że w ostatnich latach nie tylko pojawiają się nowe polskie przekłady XX-wiecznych klasyków (Proust, Joyce, Virginia Woolf, Faulkner, Hemingway, wkrótce Thomas Mann), ale też powracają pisarze tłumaczeni jeszcze za Peerelu i jakby zapomniani. To właśnie przypadek ekscentrycznej Szkotki Muriel Spark (1918-2006), mistrzyni ironii i czarnego humoru, konwertytki na katolicyzm (z żydowskimi przodkami po mieczu). Dokładnie 55 lat temu PIW wydał jej powieść „Memento mori", niedługo potem „Balladę o Peckham Rye" i „Pełnię życia panny Brodie" (zekranizowana z wielką Maggie Smith w roli tytułowej!). Były jeszcze kolejne tytuły, z których warto przypomnieć „Bramę Mandelbauma" (oryginał 1961, przekład 1997), z akcją rozgrywającą się w Jerozolimie podzielonej jeszcze pomiędzy Izrael i Jordanię. I ćwierć wieku nieobecności.

Powrót Muriel Spark zawdzięczamy Jackowi Dehnelowi. Zachwycony krótką powieścią „The Driver's Seat" (skąd polski tytuł – wyjaśnia w posłowiu), namówił oficynę Znak Literanova na wydanie tego osobliwego thrillera, który jest precyzyjnie skonstruowaną maszynką do dezorientacji czytelnika. „Nie tylko sceny – pisze Dehnel – ale i poszczególne zdania stają dęba, dialogi się rozmijają (...). Główna bohaterka Lise zbudowana jest na ciągłej opozycji pomiędzy powściągliwym opanowaniem a emocjonalną nadmiarowością czy nawet histerią, przy czym właściwie do końca nie sposób ocenić, które z tych oblicz jest prawdziwe". Dodajmy od razu, że najbardziej absurdalne z pozoru czyny Lise okazują się niezbędnymi elementami wspomnianej maszynki. Towarzysząc bohaterce, czujemy niemal jej wyobcowanie, ale i zdecydowanie. Od początku przeczuwamy, a potem już wiemy, że ta podróż źle się skończy, nie spodziewamy się jednak, jak bardzo ów koniec okaże się zaskakujący.

Wspomniałem już, że pierwsze spotkanie polskiego czytelnika (również moje) z Muriel Spark odbyło się 55 lat temu. Rok 1970 to także rok wydania oryginału „Jazdy" oraz rok Oscara dla Maggie Smith za rolę panny Brodie. „Jazda" też została sfilmowana (1974, reż. Giuseppe Patroni Griffi), z Elizabeth Taylor w roli Lise i z udziałem Andy'ego Warhola. Ech, obejrzałbym! Obwoluta i okładka książki przyciągają oko psychodelicznym szaleństwem kolorów – widać, że projektantka, plastyczka i poetka Kira Pietrek, „Jazdę" uważnie przeczytała... ©℗

PAWEŁ

Bravo:
Dubajska bajka

Dłużej nie mogę już czekać. Rozwój wypadków zaskakuje swoim tempem i wektorem absurdu. Zdrowy rozsądek coraz częściej wydaje się objawem raczej chorobliwej niezgody na rzeczywistość. W sumie zresztą nieważne, czy to ja wariuję, czy też świat – grunt, że coraz mniej do siebie pasujemy. Od bodaj pół roku dochodzą do mnie z terenu całej łakomej Polski pytania, kiedy nasza rubryczka, nastrojona nieustannie na odgłosy wydarzeń dziejących się za oknem kuchni, pochyli się nad fenomenem dubajskiej czekolady. Odpowiadałem zwykle: napiszę o niej, kiedy moda się tak rozleje, że pojawi się majonez o jej smaku. Dla mnie to znaczyło: nigdy – bo chciałem się od tego wymigać. Widzę jednak, że doszliśmy z tym szaleństwem już do poziomu dubajskiego jogurtu, zaliczajac po drodze wszystkie bardziej zwarte i dające się ugryźć formy pożywienia. Należy się zatem bać, że ktoś weźmie na serio tamten głupi żart. Może kiedy spełnię swoją obietnicę, rzeczywistość zahamuje przed ostatnim zakrętem.

Zacznijmy od podstaw. „Prawdziwa" dubajska czekolada ma ledwie trzy lata, wcale się tak nie nazywa i prawie nikomu z tu obecnych nie będzie dane jej skosztować. Powstała, owszem, w Dubaju, w małej butikowej firemce cukierniczej Fix Dessert Chocolatier. Szumna paryska nazwa skrywa *de facto* chałupniczą działalność pani Sarah Hamoudy i jej męża. Swemu wynalazkowi dali nieprzetłumaczalną nazwę będącą grą angielskich brzmień zawierającą m.in. słowo *knafeh*. Jeśli wasza znajomość Lewantu wykracza poza kebab kurczakowy na cienkim, to na pewno je słyszeliście, tylko raczej w brzmieniu *kunafa*. To pyszny ciepły deser, ma różne warianty, ale jego podstawą jest ciasto kadaif (czyli daleki kuzyn filo) zapiekane w pojedynczych porcjach z jakimś rodzajem sera i mocno nasączone syropem, przybrane na ogół odrobiną siekanych pistacji. Trudno to dostać u nas w przeciwieństwie do np. baklawy, która jest nawet w marketach. Zapewne dlatego, że baklawę da się przechowywać wiele dni, podczas gdy uczciwą kunafę przyrządza się na poczekaniu, a w każdym razie z krótkim wyprzedzeniem, i podgrzewa dopiero dla klienta. Dlatego bywa raczej w restauracjach z obrusem i kelnerem, a nie w prostych bistrach „u Turka", choć znam i doceniam wyjątki takie jak np. krakowski barek Laila przy Czarnowiejskiej.



GRAŻYNA MAKARA



EFESENKO / ALAMY / BE&W

Pani Sarah stworzyła pod koniec 2022 r. rodzaj batonika z tym chrupkim ciastem i masą pistacjową, oblanego czekoladą częściowo barwioną w zielone ciapki, obok paru innych, moim zdaniem nawet zabawniejszych, np. z karmelizowanymi pekanami. Możecie sprawdzić ofertę na ich koncie instagramowym. Najłatwiej kupić te specjały z dostawą do domu przez aplikację, oczywiście jeśli mieszkacie w Emiratach. Albo wydać prawie 200 zł za 200 gramów deseru na polskim Allegro, wierząc w zapewnienia sprzedawcy o autentyczności.

Przez cały następny rok kiepsko się ten wynalazek sprzedawał, aż wreszcie ściągnięto do pomocy pewną znaną tiktokerkę. Powiedzieć, że – *nomen omen* – zażarło, to nic nie powiedzieć. Jako pierwsza ze świata zachodniego pod nowy szał podczepiła się firma Lindt – wypuszczając jesienią zeszłego roku krótkie serie ręcznie robionych deserów w paru wybranych salonach w Europe. Osiągały takie przebicia na aukcjach, że szybko zdecydowano o masowej produkcji (z pominięciem typowych dla koncernów wieloletnich testów i wdrożeń). A teraz – to już sami wiecie, jakaś forma „dubajskiej" czeka na wasz moment słabości w dyskoncie, sklepiku, cukierni (w tłusty czwartek widziałem np. pączki). Z oryginału zostaje czasem tylko jakieś umownie pistacjowe nadzienie i jakaś chrupkość.



Nic z tego by się nie wydarzyło, gdyby po drodze ktoś nie wymyślił obecnej nazwy. Sam TikTok, Instagram i wszystkie ich wiralowe głupoty by nie wystarczyły, żeby obudzić potwora, który wessał praktycznie całą światową podaż pistacji. Wasza lodziarnia jeszcze ma lody pistacjowe? Najedzcie się na zapas, tego lata może być z nimi problem. Trzeba było jeszcze zatrąbić na właściwej nucie mitu. Mamy więc Dubaj jako emblemat dalekiego luksusu, z lekka egzotycznego przepychu – pożeniony z czymś, co nasz europejski ośrodek nagrody zna od stuleci, czyli z czekoladą. To jest ta wygrywająca kombinacja, szóstka w marketingowego totka. Więcej w tym socjologii niż gastronomii, marzeń o lepszym życiu niż planów na dzisiejszy deser.

Dla takich jak ja, nosicieli dwudziestowiecznej wyobraźni, dla których „teatralny" w nazwie wafelka budzi wielką (apolityczną!) sympatię, Dubaj pozostaje jakąś anonimową dziurą pośrodku łysej pustyni z nowobogackimi wieżowcami. Ale przecież to obecny odpowiednik miasta z bajki, jakim dla mnie było kiedyś Monte Carlo. Miejsca, gdzie w danej epoce należy pokazać swoje pieniądze i nowe bugatti. Pozostanę wierny cieniom księżnej Grace. Ale to wcale nie znaczy, że nie chciałbym spróbować tej nowej czekolady. Gdyby ktoś myślał o prezencie, to święto patrona apostoła mam za dwa miesiące. Przy narodzinach, bez pytania i możliwości wyboru, rodzice posłali mnie w drogę do Damaszku. Tam podobno kunafę można dostać na każdym rogu.

Ciasto z earl grey

W bliskowschodnich sklepach można kupić mrożone ciasto kadaif, co jest pierwszym warunkiem, żeby pokusić się o domową dubajską czekoladę. Sprawdzałem z tuzin przepisów, najsensowniejszy, ale wciąż zbyt pracochłonny, znalazłem na stronach „New York Timesa". Jednak zamieszczoną tam recepturę pasty pistacjowej (prażone pistacje + oliwa + cukier + sól + wanilia + tahina, miksować 5 minut) zachowam czule w kajecie. Ale przy okazji na tychże stronach znalazłem wspaniałe, nieco egzotyczne ucierane ciasto, które okazało się u mnie królem deserów w Wielkanoc.

Po lewej: Marketingowy sukces czekolady dubajskiej wessał praktycznie całą światową podaż pistacji. Tego lata może być z nimi problem. Na zdjęciu: stoisko z orzechami na Wielkim Bazarze w Teheranie.
Poniżej: ciasto z earl grey

PAWEŁ BRAVO



SKŁADNIKI:

180 ml śmietanki 120 g masła 200 g cukru + 50 g cukru pudru 200 g mąki 3 łyżeczki herbaty earl grey 1 łyżeczka proszku do pieczenia 2 jajka 125 ml mleka 50 g drobno posiekanej gorzkiej czekolady 100 g serka mascarpone
- **skórka otarta z 1 pomarańczy**

Doprowadzamy śmietankę prawie do wrzenia, dosypujemy 2 łyżeczki herbaty, zdejmujemy z ognia, zostawiamy na godzinę, potem odsączamy listki na sitku, mocno schładzamy. W dużej misce ucieramy masło z cukrem, aż będzie białe, dodajemy skórkę, następnie wkręcamy jajka (po jednym). Dosypujemy mąkę, proszek, sól i 1 łyżeczkę pokruszonej w palcach herbaty. Wlewamy mleko, krótko mieszamy, dodajemy czekoladę, mieszamy z grubsza, ciasto nie musi być gładkie. Przekładamy do wyłożonej papierem tortownicy o średnicy 24 cm, pieczemy w 180 st. C około pół godziny, aż patyczek wbity do ciasta wyjdzie prawie suchy. Studzimy. Do schłodzonej śmietanki dodajemy cukier puder, ubijamy mikserem, aż będzie prawie sztywna, na niskich obrotach dodajemy stopniowo mascarpone. Smarujemy tym kremem ciasto. ©℗

Zapisz się na newsletter – co piątek przepisy na Tygodnikowy lunch, obiad i deser w Twojej skrzynce: powszech.net/tygodnik-smakow

Paweł Bravo jest barmanem, tłumaczem i redaktorem. Współautor „Kuchni Dantego", autor „Czekolady i kapuśniaku" (Nagroda Literacka im. Leopolda Staffa 2023).

OSAD GROCHOWA, FINISZ POWIŚLA

Czytanie i spacerowanie mają ze sobą wiele wspólnego. Właśnie dostaliśmy pokaźny zestaw pisarskich przewodników po Warszawie. I przegląd sposobów jej przeżywania.

MONIKA OCHĘDOWSKA



Wto, że przez łyk wina można się dostać do pejzażu, jesteśmy w stanie uwierzyć. Ale żeby się dostać przez literaturę do krajobrazu – no jak? Okazuje się, że są na to świetne sposoby.

Spaceruje się zawsze samotnie

„Plan miasta to opowieść z mnóstwem bohaterów" – napisał w książeczce o warszawskim Kamionku Marcin Wicha, mając na myśli to, że każda z rozrysowanych na mapie ulic ma cel, do którego dąży. Czasem ten cel jest widoczny tylko w kształcie ulicy albo jej nazwie. Co prawda, Hipoteczna prowadzi wciąż do gmachu Hipoteki, ale po wytwórni krochmalu przy Krochmalnej nie ma już śladu.



DRONE IN WARSAW / STOCK.ADOBE

Rondo Wiatraczna

Tak czy owak, czytanie i spacerowanie mają ze sobą wiele wspólnego. Wiadomo: po tekście można wędrować tak, jak spacerujemy sobie wiosną po coraz intensywniej zielonym mieście (wokół Domu pod Królami przy Hipotecznej zrobiło się naprawdę pięknie). Można chodzić wzdłuż i wszerz mapy, z przedmieść do centrum, od jakiegoś początku do wybranego końca. Ale można też spacerować i czytać zupełnie inaczej, wracając wciąż w to samo ulubione miejsce (na pączki do cukierni przy Krochmalnej).

Z klasyczną powieścią bywa nieco trudniej niż na przykład ze zbiorem opowiadań. Za to w książkach eseistycznych czy poetyckich łatwo wybrać własne kierunki lektury. Możemy za każdym razem tworzyć nowe połączenia między pojedynczymi tekstami, drogi na skróty, ścieżki w poprzek trawnika. Poza tym, co tu kryć: każdemu zdarza się przeskakiwać strony z opisami przyrody i charakterystykami postaci, by czym prędzej podążyć za akcją. Bo w opowiadaniu (jak w mieście) zawsze istnieje czytelnik (przechodzień) i ten czytelnik (przechodzień) jest kimś, kto stwarza swoje własne trasy lektury (mapę spacerów). Na tym cała ta zabawa w gruncie rzeczy polega.

Można sobie wśród literek dowolnie błądzić, można się gubić w rozwidlających się ścieżkach przypisów. Wreszcie: zapomnieć, skąd przyszliśmy, kiedy na moment zaśniemy, a książka wypadnie nam z rąk, zatrzaskując się na dywanie. Można wiele razy przechodzić przez ten sam akapit, zanim dotrzemy do właściwego miejsca, w którym zrozumiemy, co autor miał na myśli. Tak samo miasto – ono też może być, jak śpiewała Maria Peszek, „na rogatkach niejasne", bałaganiarskie, a „w centrum wyjaśnione".

Są pisarze, którzy specjalnie budują swoje powieści tak, jakby rysowali mapy. Są tacy, którzy wklejają mapy i zdjęcia prawdziwych albo zmyślonych miejsc do swoich książek. Inni dzielą tekst na fragmenty i każą nam skakać między rozdziałami, jakbyśmy podróżowali w czasie albo żyli przez chwilę w świecie równoległym.

Co ciekawe, spaceruje się właściwie samotnie, nawet jeśli ktoś nam podczas spaceru towarzyszy. Nie trzeba za dużo podczas spaceru mówić. A jak się już mówi, to zawsze jakoś tak intymniej niż w innych okolicznościach. Samotnie się też w gruncie rzeczy spędza czas nad książką. Na czym więc polega ten fenomen bezinteresownych, bezcelowych czynności – przechadzki i lektury?

„W tamtym czasie dużo chodziłem – zdradza na pierwszej stronie książki o warszawskim Grochowie Marek Bieńczyk – nie miałem do łażenia powodów, lecz znałem jego przyczyny". Czy rzeczywiście? Chodźcie, sprawdzimy.

Życie jest podróżą, ale jak złapać kierunek?

Być może pierwszy był Jan Jakub Rousseau, który w „Przechadzkach samotnego marzyciela" opisywał czytanie jako doświadczenie bliskie spacerowi – wolne, kontemplacyjne, prowadzące do poznania siebie. Potem byli romantyczni Anglicy, poważni Niemcy i naćpani Amerykanie ze swoimi powieściami drogi. Taki Leopold Bloom u Jamesa Joyce'a spaceruje sobie po Dublinie, a jego wędrówka odtwarza strukturę „Odysei" Homera. Czy można jeszcze bardziej skleić literaturę z przestrzenią? ↦

↦ To doprawdy dziwne, że geopoetyka jako poważna literaturoznawcza kategoria narodziła się ledwie trzy dekady temu. Termin zaproponował szkocki poeta Kenneth White. Wtedy dopiero specjaliści od literatury zaczęli na dobre badać, jak książki (w szczególności te z opisem wędrówek) pomagają nam w wywoływaniu obrazów przeszłości.

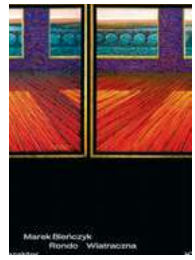
Czytając teksty specjalistów od geopoetyki można się natknąć na porównanie narratora do kartografa, który pisząc – na przykład esej o dzieciństwie – nadaje swojemu życiu kształt mapy. W ten sposób opowieść może być formą praktykowania przestrzeni. Biografia-mapa jest efektem pojmowania życia jako podróży i wyznacza kierunek wspomnień. To rodzaj matrycy pomocnej w przemieszczaniu się między zapamiętanymi miejscami. Trudne? Spróbuję trochę jaśniej.

Jeśli oglądaliście na przykład piąty odcinek nowego sezonu „Czarnego lustra" na Netfliksie, będzie mogli to sobie łatwiej wyobrazić. Otóż bohater tej opowieści, starszy samotny mężczyzna imieniem Phillip, podróżuje po swoim życiu poprzez obrazy młodzieńczych wspomnień. Stare zdjęcia stają się portalem do przeszłości, którą Phillip zwiedza na nowo – z całym bagażem aktualnych życiowych doświadczeń. Odświeżone w ten sposób, ale też poszerzone o nowe refleksje i odkrycia, a następnie nagrane na specjalne urządzenie wspomnienia stają się opowieścią, którą Phillip może podzielić się z innymi – zupełnie, jakby napisał książkę.

Po poznaniu historii pana Phillipa łatwiej zrozumieć ideę geopoetyki pana White'a, który swoje literackie wędrówki definiował jako możliwość poznania miejsca nie tylko w jego geograficzno-przyrodniczym wymiarze, ale też w powiązaniu z wrażeniami estetycznymi, emocjami oraz intelektualną, racjonalną refleksją.

Dlaczego Grochów jest rozrzutny

Na ścieżce moich lektur pan White pojawił się razem z Markiem Bieńczykiem. Ściślej: Bieńczyk mnie do tego szkockiego poety zaprowadził przez warszawski Grochów, a dokładnie – przez „Rondo Wiatraczna". Wcale zresztą o Szkocie w swojej książce nie wspominając, bo u Bieńczyka cała ta geopoetyka pojawia się bez



▪ **RONDO WIATRACZNA,** Marek Bieńczyk, Karakter 2025



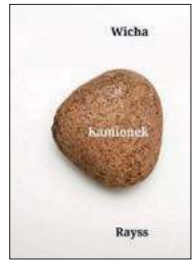
▪ **DŹWIĘKI PTAKÓW,** Arek Kowalik, ArtRage 2025



▪ **DRUGIE ŻYCIE CZARNEGO KOTA,** Stanisław Łubieński, Agora 2025



▪ **ŚMIEJĄCY SIĘ PIES,** Krzysztof Varga, Czarne 2025



▪ **KAMIONEK,** Marcin Wicha, Agnieszka Rayss, Muzeum Warszawy 2025

żadnej pompy i historycznoliterackich przypisów.

Ot, narrator z przyjacielem słuchają sobie utworu „Géopoétique" francuskiego rapera MC Solaara. Sporo świata można zobaczyć w tekstach, rapuje Solaar, a Bieńczyk wtedy objaśnia kumplowi, że według tegoż artysty słowo jest połączone z widokiem, więc przez literaturę można się dostać do pejzażu. No nie, myślę sobie, że przez wino można się dostać do pejzażu, jestem w stanie Bieńczykowi uwierzyć – w końcu udowodnił kiedyś na tych łamach, jak się „pije wstecz". Ale że przez literaturę do krajobrazu? Jak?

Należałoby więc uznać, że czytać tak, by widzieć krajobraz, znaczy wiedzieć, że to, co czytamy, jest kolejnym (to ważne!) tekstem wyrosłym z konkretnego miejsca. To jego przeszłości tekst zawdzięcza swój styl i charakter. Trzeba więc dobrze poznać tego miejsca specyfikę, jego *terroir*, choć raz je zobaczyć. Zapamiętać, jak pada światło, poczuć wilgotność, pogrzebać w ziemi. Nie ma dwóch winnic, które miałyby ten sam *terroir*. Jak jest z dzielnicami miasta? Bieńczyk pisze: „Wolałem czytać książki jako pośredni efekt pejzażu, jako spełnienie w innej sferze geograficznego środowiska. Geopoetyka, definiowałem na własny użytek, czyli tak napisany tekst, że widać w nim, przełożone na inny język, ślady naturalnego i ludzkiego ukształtowania terenu".

Tekst, po którym widać ukształtowanie terenu. Czy dałoby się zatem rozpoznać po stylu Bieńczyka, że opisywany przez niego Grochów to naprawdę Grochów? Jaki aromat musi mieć ta historia i jaki finisz? Słowem: jak pokazać na przykład majowy spacer ulicą Kaleńską na późne niedzielne śniadanie do Pobudki? Marcin Wicha odpowiedziałby, że to trudne, według niego Grochów lubi takie słowa jak „nieprzenikniony". Na Grochowie „wszystko może się przydać, każda rzecz jest interesująca, a wszystkie są powiązane i tworzą wielką grzybnię". Tak, Grochów jest rozrzutny, wydaje na głupoty.

O czym trąbi rondo Wiatraczna

Kiedy pierwszy raz przejeżdżałam autem przez rondo Wiatraczna, porządnie mnie strąbiono – począwszy od alei Stanów Zjednoczonych, którą na rondo wjeżdżałam, aż do skrętu w prawo w aleję Jerzego Waszyngtona, którą z ronda wyjeżdżałam. Nie to, że narzekam na warszawskich kierowców, sama byłam sobie winna. Chcąc przyjrzeć się dokładnie reklamom rozwieszonym na galerii Grochów, ruszałam na światłach z opóźnieniem niestosownym zupełnie dla nerwowego, poniedziałkowego popołudnia. Przypomniało mi się wtedy, że na po-



LESZEK SZYMAŃSKI / PAP

Akcja dogaszania pożaru kamienicy przy ul. Wileńskiej, październik 2024 r.

czątku lat 50. zastanawiano się, czy nie zbudować tutaj Pałacu Kultury – wspomina o tym Wicha.

Dwupłatowy samolot krążył wtedy nad Grochowem, a „specjalna komisja mrużyła oczy próbując sobie wyobrazić dom takiej wysokości". No więc ja też mrużyłam oczy i patrzyłam przez szybę nie samolotu co prawda, tylko auta, ale niedługo, bo ulica krzyczała, żebym się tak więcej nie gapiła. „Halo, my tutaj załatwiamy sprawy i lecimy dalej" – wołało rondo. I słusznie wołało, bo świat naprawdę pokazuje nam się tylko wtedy, kiedy jesteśmy zajęci własnymi sprawami. To zresztą nie moja myśl, a lekcja warszawskich poetów. Na prawobrzeżną Warszawę należy zerkać kątem oka, w przelocie. Nic dziwnego, że Bieńczyk charakter tego miejsca streszcza cudownie barokowym mianem „rozpierduchy". Otóż ta właśnie specyficznie grochowska rozpierducha wytworzyła na rondzie Wiatraczna „formy niejasne i sprzeczne, odwodzące od stabilizacji, rozjuszające powierzchnię i siejące niepokój".

Bieńczyk wielokrotnie wiedzie na manowce, wyprowadza w maliny i robi nas w konia. Narrator zmyśla i nawet tego specjalnie nie kryje. Ale jego opowieść, zgodnie z prawami ronda, zdaje się wciąż zakręcać, powracać do tego samego miejsca, robić pętle i zawrotki, trąbiąc przy tym na czytelniczkę, by nie zasiedziała się w jednym miejscu. No to jazda, na Powiśle.

Róg Kruczej i Nowogrodzkiej

Arek Kowalik zaczyna w „Dźwiękach ptaków" swoją opowieść od kamienicy przy Nowogrodzkiej 12. Nie ma tu Warszawy przed- ani tużpowojennej, ruderalnej, jak w książce „Drugie życie czarnego kota" Stanisława Łubieńskiego. Nie ma starożytnych czasów Uniwersamu Grochów, jak u Bieńczyka. Jest nowe Powiśle, są wegańskie knajpy ze skrzydełkami z boczniaka, kawiarnie z lawendową latte, wieczory na schodkach i pikniki w parku Szczęśliwickim.

Jeśli Wergiliuszem Grochowa był MC Solaar, Arek Kowalik w pierwszym opowiadaniu proponuje innego śpiewającego specjalistę od geopoetyki – Taco Hemingwaya. Zresztą zacznijmy od tego, że debiutancki zbiór opowiadań młodego fotoedytora i redaktora magazynu „Mint" jest podzielony na stronę A i stronę B, a na Spotify ma swoją playlistę. *C'est de la géopoétique!*

Bohater jednego z opowiadań jest dość popularnym w mieście raperem. Rap w końcu bardzo dobrze nadaje się do opowiadania miasta, urodził się przecież w blokach na Ursynowie. Oddaje energię, tempo, język i jego krajobraz. Kowalik jednak – inaczej niż Dorota Masłowska – nie próbuje opowiadać Warszawy poprzez rymy. Jeśli już, robi to poprzez dźwięki. Jest obserwatorem, miejskim ornitologiem, który chwilowo obserwuje i podsłuchuje różne gatunki ludzi-ptaków zamieszkujących Warszawę albo szukających tu dopiero swojego gniazda, punktu zaczepienia.

Czytajcie ich w parze: Kowalik i Łubieński są jak dr Jekyll i pan Hyde. Pierwszy wchodzi w sobotni tłum Tamki, drugi opuszcza mieszkanie tuż nad ranem, gdy ulice są zupełnie puste. Jekyll jest ciekawy ludzi, Hyde od ludzi stroni, woli iść na cmentarz, poczytać imiona, policzyć lata. Kowalik patrzy do góry, w okna, Łubieński grzebie w ziemi, zbiera robale, brodzi na bagnach. Ucieka z wesela kolegi w trzcinowiska, by posłuchać świerszczaka i derkacza. W niektórych dzielnicach obywa się „bez budynków i ulic, bez rond, bez przystanków", spacerując wyłącznie szlakiem ulubionych drzew. Kowalik to dla niego rdzawy ptaszek z szaroniebieską główką.

Nasz Kowalik opowiada co prawda Warszawę młodych ludzi związanych z tzw. sektorem kreatywnym, ale też lubi dorzucać w swoich tekstach różne gatunki skrzydlatych. Nie ma tu typowej dla wielkomiejskich historii satyry, przeciwnie – jest prawdziwy ból, są zawody miłosne, samotność i trochę fantazji, gdy jeden z bohaterów spotyka na stacji metra kobietę, która zgubiła nogi (może to nordycka bogini Hel albo japońska Yuki-onna?).

Trudno się z Kowalikiem rozstać, po tych wszystkich wspólnych tygodniach czuję, jakby był moim kumplem. Dzięki ↦



DRONE IN WARSAW / STOCK.ADOBE

Plac Wilsona, po lewej park Żeromskiego

↦ temu, że go poznałam, inaczej spaceruję po Warszawie, częściej przyglądając się tym, którzy samotnie siadają w kawiarniach – ptasio wpatrzeni w zielone okruchy sernika z matchą.

Człowiek, któremu nic się nie podoba

No to jazda, teraz piętnastką na plac Wilsona. Jeśli naprawdę szukacie ironisty, umówcie się z Krzysztofem Vargą, na przykład na spacer z psem w parku Żeromskiego. Nie zapomnijcie przy tym mocno go uściskać, wszak solidnie oberwało mu się za ostatnią książkę. Za co? Ponoć ten „podstarzały pisarz i felietonista" reprezentuje sobą wszystko to, co kojarzy się z dziaderstwem i boomerstwem: nie tylko brak czułości, ale też mizantropię, seksizm i defetyzm. Słowem: nic mu się nie podoba.

„Niełatwo powiedzieć wprost, o czym jest ta książka" – pisze jedna z recenzentek „Śmiejącego się psa", a ja myślę sobie, że to dlatego, że zbyt wiele rzeczy, w tym literaturę, zaczęliśmy brać tak bardzo serio, że zgubiliśmy umiejętność odczytywania ironii.

Tymczasem nowa warszawska książka Vargi to ironiczna przypowiastka o starości beznadziejnie uganiającej się za młodością. Czy potrzeba więcej, by napisać powieść, której akcja rozgrywa się w stolicy? Autor kpi sobie z bardzo długiej tradycji tego typu pościgów, sięgającej przecież romantycznej postaci Don Juana. Romantyków (a byli to – jak Byron, Keats, Shelley – przede wszystkim ludzie dwudziestoletni) w ogóle prześladował demon głodu, wciąż było im mało, wciąż dążyli ku temu, by mieć więcej (wiedzy, doświadczeń, namiętności). Ta potrzeba wykraczała przecież daleko poza kalkulacje związane z racjonalnością i celowością, dlatego z czasem romantyzm zaczęto kojarzyć z tym, co szokujące, zakazane, nieodpowiednie dla dobrze ułożonych mieszczan. Może dlatego niełatwo powiedzieć wprost, o co chodzi Krzysztofowi Vardze. Poza tym, że do romantycznych pragnień wraca i się nimi ironicznie bawi.

A Stary Żoliborz, po którym spacerujemy sobie z psem Ziutkiem, to rzeczywiście całkiem niezłe miejsce na tego typu przygody. Kto chce się nimi zajmować, kto chce ruszyć za instynktem trwania, musi się przenieść z miasteczka Wilanów na Stary Żoliborz. Tylko tam można się dziś oddawać pogoni starego za nowym. I tylko tak można zobaczyć, że plan miasta to naprawdę opowieść z dużą liczbą bohaterów.

To co? Na zdrowie!

©℗ MONIKA OCHĘDOWSKA

WSPÓLNA POLITYKA ROLNA DLA BEZPIECZEŃSTWA ŻYWNOŚCIOWEGO

Ministerstwo Rolnictwa i Rozwoju Wsi

POLAND25.EU

W ramach polskiej prezydencji w Radzie Unii Europejskiej na Stadionie Narodowym w Warszawie została zorganizowana konferencja pt. „Wspólna Polityka Rolna dla bezpieczeństwa żywnościowego". Temat ten jest szczególnie istotny w kontekście rosnących zagrożeń geopolitycznych, klimatycznych i energetycznych.

Spotkanie odbyło się w bardzo szerokim gronie ekspertów – przedstawicieli instytucji i organów unijnych oraz międzynarodowych organizacji pozarządowych, m.in. Organizacji Narodów Zjednoczonych do spraw Wyżywienia i Rolnictwa FAO, Organizacji Współpracy Gospodarczej i Rozwoju OECD oraz Banku Światowego.

Jak podkreślił minister rolnictwa i rozwoju wsi Czesław Siekierski, kluczowy był dobór zespołów problemowych, dzięki czemu udało się merytorycznie przedyskutować najważniejsze kwestie w obszarze bezpieczeństwa żywnościowego, które należy do priorytetów polskiej prezydencji. Dyskusja dotyczyła również roli Wspólnej Polityki Rolnej i skuteczności działań niezbędnych do funkcjonowania wspólnego rynku oraz rozwoju sektora rolnego. Konferencja obejmowała sesje plenarne w ramach trzech paneli tematycznych.



Czesław Siekierski
Minister Rolnictwa i Rozwoju Wsi



Wanda Chmielewska-Gill

PANEL 1: ŚRODOWISKO, KLIMAT, ROLNICTWO

W trakcie panelu przeprowadzono dyskusję o możliwościach ewoluowania WPR w kierunku, który pozwoli sprostać złożonym wyzwaniom środowiskowym i klimatycznym, zapewniając jednocześnie, że rolnictwo pozostanie filarem europejskiej gospodarki i społeczeństwa.

Szerokie spektrum zagadnień związanych z ochroną środowiska, zazielenienia gospodarki i emisji gazów cieplarnianych przedstawił profesor Marek Wigier z Instytutu Ekonomiki Rolnictwa i Gospodarki Żywnościowej – Państwowego Instytutu Badawczego.

PANEL 2: DOSTĘP DO ŻYWNOŚCI DZIĘKI SPRAWIEDLIWYM I ZRÓWNOWAŻONYM ŁAŃCUCHOM RYNKOWYM

Podczas dyskusji paneliści potwierdzili kluczową rolę WPR w kształtowaniu przyszłości produkcji, dystrybucji i konsumpcji żywności, a także w zwalczaniu nieuczciwych praktyk handlowych. Zauważono, że silne i odporne łańcuchy dostaw żywności powinny skutecznie wspierać bardziej zrównoważoną produkcję i konsumpcję żywności przy jednoczesnej ochronie rolnictwa.

– Wspólna Polityka Rolna pozostaje najważniejszym narzędziem zapewnienia bezpieczeństwa żywnościowego – stwierdziła profesor Agata Malak-Rawlikowska ze Szkoły Głównej Gospodarstwa Wiejskiego, moderator dyskusji.

PANEL 3: INWESTYCJE DROGĄ DO BUDOWANIA KONKURENCYJNOŚCI I ODPORNOŚCI W ROLNICTWIE

Podczas panelu, którego moderatorem był profesor Wawrzyniec Czubak z Uniwersytetu Przyrodniczego w Poznaniu, podkreślano rolę i znaczenie długoterminowych inwestycji, które z jednej strony umożliwiają uzyskanie przewag konkurencyjnych i dostosowanie produkcji do rosnących wymagań konsumentów, z drugiej strony zaś pozwalają reagować na wyzwania wynikające ze zmian klimatu, ochrony środowiska czy niestabilności rynków rolnych.

W trakcie panelu przedyskutowano strategie wzmacniania konkurencyjności i odporności rolnictwa konieczne dla zapewniania bezpieczeństwa żywnościowego i utrzymania jakości żywności oraz podjęto próbę odpowiedzi na pytanie, w jaki sposób WPR może dostosować się do wyzwań, takich jak zmiana klimatu, zmienność rynku i napięcia geopolityczne. Dyskusją objęto takie tematy, jak promowanie innowacji, strategie zarządzania ryzykiem i wspieranie inwestycji w zrównoważone praktyki rolnicze.

Należy podkreślić, że obecnie bezpieczeństwo żywnościowe w Polsce i Unii Europejskiej nie jest zagrożone. Jednak trzeba mieć świadomość, że zależy ono nie tylko od produkcji rolnej, stabilnego rynku i odporności na zmiany, lecz także od innych elementów polityki państwa: gospodarczej, handlowej, środowiskowej oraz wsparcia osób potrzebujących.

Konferencja była okazją do dyskusji nad opublikowanym w lutym komunikatem KE „Wizja dla rolnictwa i żywności", który pokazuje kluczowe wyzwania stojące przed sektorem rolnym i wyznacza kierunki jego rozwoju.

Najważniejsze przesłanie konferencji brzmi: nie ma bezpieczeństwa żywnościowego bez „zdrowego" rolnictwa. Rolnictwo to nie tylko produkcja żywności. To także zrównoważony rozwój obszarów wiejskich i bezpieczeństwo konsumentów. Gwarancją osiągnięcia tego stanu jest opłacalność produkcji rolniczej.

Mechanizmy regulacyjne rynku są potrzebne i powinny zostać wzmocnione, aby zwalczać nieuczciwe praktyki handlowe, oraz dla zapewnienia, że rolnicy otrzymują uczciwe ceny, i dla wzmacniania pozycji rolników w łańcuchu dostaw. Ważnym zadaniem jest także ograniczenie marnowania żywności.

Wydarzenie było wspaniałą okazją do merytorycznej wymiany zdań i stanowiło istotny wkład w toczącą się we Wspólnocie dyskusję na temat przyszłości Wspólnej Polityki Rolnej oraz roli europejskiego bezpieczeństwa żywnościowego.



MATERIAŁ INFORMACYJNY

TOMASZ

Stawiszyński: *Nieustępliwość bota*



Kiedy Kyle Reese próbuje uświadomić Sarze Connor, że ścigający ją mężczyzna, wbrew pozorom, wcale nie przypomina człowieka, mówi mniej więcej coś takiego: „Nie da się z nim pertraktować, nie czuje litości, żalu ani strachu i nic, absolutnie nic go nie zatrzyma". Wprawdzie matkę przyszłego wyzwoliciela ludzkości przekonują ostatecznie inne, znacznie bardziej praktyczne argumenty – nie lekceważy ona jednak tej charakterystyki. I my również nie powinniśmy jej lekceważyć.

Owszem, rację mają ci, którzy narzekają, że „Terminator" (1984) w reżyserii Jamesa Camerona – z którego pochodzi przywołana scena – stał się domyślnym punktem odniesienia dla znacznej części spekulacji i fantazji dotyczących sztucznej inteligencji. I że w związku z tym, być może, marnujemy tylko czas i energię na jakieś deliberacje o buncie maszyn oraz cyborgach przejmujących władzę nad światem, a tracimy z oczu sprawy realne i istotne. Na przykład zanikanie kompetencji poznawczych w tych obszarach, w których już wyręczają nas chatboty, czy zamazywanie granic pomiędzy wirtualnym a niewirtualnym.

Wszystko to prawda, wiadomo, że hollywoodzkie scenariusze działają na wyobraźnię lepiej niż jakaś tam rzeczywistość. Niemniej literatura i kino *science fiction* to przepastny magazyn naszych pragnień i obaw, a jednocześnie coś na kształt suchej zaprawy przed tym, co nadchodzi. Nawet jeśli nikomu jeszcze nie udało się przewidzieć przyszłości, to z pewnością niejednemu udało się wychwycić niewidoczne na pierwszy rzut oka trendy, specyficzności, kierunki rozwoju. I dlatego lektura książek Philipa K. Dicka czy Ursuli Le Guin może być dzisiaj zajęciem jak najbardziej poznawczo wydajnym, odsłaniającym istotne prawdy o świecie tu i teraz, bez względu na mnóstwo nietrafionych profecji, których w tej prozie oczywiście również nie brakuje.

Tak właśnie sprawy się mają z „Terminatorem". Z jednej strony bunt maszyn ewidentnie jest mało prawdopodobny (chociaż kto wie, kto wie...). Z drugiej strony – tych kilka przytoczonych na początku zdań opisujących postać odgrywaną brawurowo przez Arnolda Schwarzeneggera dotyka czegoś zasadniczego. I nie chodzi wcale o urządzenia, które niestrudzenie na nas polują, choć można przypuszczać, że rozwój technologii militarnej opartej na AI doprowadzi i do tego. Skądinąd już lata temu Stephen Hawking przestrzegał, że niebawem zimne rachowanie i maszynowa kalkulacja będą zastępować sumienie, także na polu walki, także w kontekście wojny.

Kiedy wybitny fizyk wypowiadał te słowa, była to dla wielu abstrakcja rodem, no właśnie, z fantastyki, dziś są to rzeczy coraz wyraźniej dookoła widoczne.

Nie chodzi jednak, powtórzę, o kwestie militarne. Ta specyficzna uporczywość, niestrudzoność, nieustępliwość, niespożyta determinacja, radykalna zawziętość, o której mówił Kyle Reese – to przecież cechy znanej nam sztucznej inteligencji, tyle że wprzęgnięte, przynajmniej na razie, w inne zadania i cele, w inną architekturę. Obcujemy z nią niemal na każdym kroku. Na przykład – usiłując złożyć reklamację w aplikacji. Albo prowadząc konwersację z chatbotem występującym w dowolnej roli: nauczyciela, powiernika, psychoterapeuty, doradcy czy kogokolwiek (a może raczej czegokolwiek) innego.

Ten chatbot nigdy się nie męczy, nigdy nie ma dość, zagadnięty o dowolnej porze gotów jest kontynuować konwersację rozpoczętą nawet dawno temu. Wróci do niej momentalnie, wszystko pamięta, zawsze zada jeszcze kilka dodatkowych pytań. A przy okazji tych nieszczęsnych reklamacji nigdy się nie zirytuje, nie odezwie impetycznie i po chamsku, wytłumaczy tysiąc razy te same kwestie. Tyle że nie drgnie nawet o włos, nigdy nie zmieni zdania, nie ustąpi, nie okaże współczucia. Podobnie nigdy nie drgną inne autonomiczne systemy. Te, które już funkcjonują – przyznają kredyty, rozpatrują wnioski, szacują prawdopodobieństwa w procesie ustalania stawki ubezpieczenia zdrowotnego – i te, które zafunkcjonują w przyszłości.

I właśnie to mi się wydaje jednym z najważniejszych, a zarazem najbardziej niepokojących aspektów upowszechniania się technologii opartej na sztucznej inteligencji. Pojawienie się w kulturze, w sieci naszych formalnych i nieformalnych interakcji – tam, gdzie kształtuje się porządek społeczny i rozstrzygają, w sensie przenośnym i dosłownym, nasze losy – aktywnego uczestnika gry, którego charakteryzuje taka uporczywość, niespożytość, nieustępliwość, zawziętość, całkowity brak emocji i współczucia.

Nie to, żeby ludzie mieli go aż tak wiele. Nie to, żeby ludzie nie zachowywali się zbyt często dokładnie w taki sam sposób. Ludzie jednak mają to do siebie, że się prędzej czy później męczą, niecierpliwią, tracą zainteresowanie, zużywają, wypalają, starzeją, umierają. A poza tym – niekiedy zmieniają zdanie, niekiedy sami się głęboko zmieniają. Czasami pod wpływem impulsu, czasami pod wpływem poruszeń serca albo sumienia. A nawet jeśli nie chcą lub nie mogą się zmienić, w końcu przychodzą po nich inni, lepsi lub mądrzejsi. Nie ma na to, oczywiście, reguły, ale zawsze jest taka możliwość.

No więc niewykluczone, że już wkrótce ta możliwość zniknie albo wyraźnie się skurczy. I tego rzeczywiście należy się bać. Znacznie bardziej niż buntu maszyn czy jakichś ścigających nas cyborgów z karabinami. ©

Tomasz Stawiszyński jest filozofem i autorem podkastu „Skądinąd". Autor książek, m.in. „Potyczek z Freudem", „Ucieczki od bezradności", „Reguł na czas chaosu" i „Powrotu fatum".

PONTYFIKAT NADZIEI I WYZWAŃ

WYDANIE SPECJALNE TP HISTORIA O FRANCISZKU

- Jakim Franciszek był człowiekiem, nauczycielem i papieżem?
- Co zostawił Kościołowi – i światu – po przeszło dekadzie pontyfikatu?
- Czy był rewolucjonistą, który zmienił oblicze papiestwa, a może jedynie zmienił ton, którym przemawiał Kościół?
- Czy jego wizja chrześcijaństwa była nowym, świeżym spojrzeniem na Ewangelię – czy raczej źródłem podziałów i kontrowersji?



Kup w naszym sklepie internetowym:
sklep.TygodnikPowszechny.pl

Weź, czytaj!

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

SUBARU **FORESTER**
NOWY WYMIAR WYTRZYMAŁOŚCI



Nowy Forester definiuje wytrzymałość. Jego zdolność do jazdy w każdych warunkach pogodowych i po każdej drodze oraz zaawansowane funkcje bezpieczeństwa pozwalają Ci na nieprzerwany kontakt ze światem wokół Ciebie, Twoimi przyjaciółmi i rodziną. Nowy Forester został stworzony, by żyć w harmonii z naturą.

SAMOCHODY SUBARU SĄ OBJĘTE 8-LETNIĄ GWARANCJĄ **SUBARU SAFE8**

WIĘCEJ NA **SAFE8.SUBARU.PL**

8 LAT GWARANCJI
SUBARU SAFE8

SUBARU

SUBARU ZALECA PRODUKTY

SJS SZKOŁA JAZDY SUBARU
KERATRONIK Kompleksowe systemy GPS
warta.
Santander Leasing
ENEOS MOTOR OIL
YOKOHAMA

REKLAMA

WŁÓCZYKIJ KULTURALNY

TYGODNIK POWSZECHNY

DODATEK SPECJALNY

„TP” 19/2025



REKLAMA



Kopalnia Soli Bochnia

Podziemny Skarb Małopolski

Kopalnia Soli Bochnia, najstarsza kopalnia soli kamiennej w Polsce, jest wyjątkowym zabytkiem kultury i techniki, położonym zaledwie 40 km od Krakowa. Założona w 1248 roku, stanowiła przez wieki jedno z głównych źródeł bogactwa Królestwa Polskiego. Dziś, wpisana na Listę Światowego Dziedzictwa UNESCO, zachwyca nie tylko historycznym znaczeniem, ale także unikatowym pięknem podziemnych korytarzy i komór.



BOCHNIA 1248 KOPALNIA SOLI 1248

www.kopalnia-bochnia.pl

Macie już plany na wakacje? Wybieracie się na koncert w Gdyni? A może kameralny festiwal literacki w górach?

Wybór wcale nie jest łatwy, bo co roku dostajemy zaproszenia na kilka tysięcy wydarzeń kulturalnych. Każdego lata w naszym kraju organizowanych jest także kilkaset festiwali: muzycznych, filmowych, teatralnych. Według danych Głównego Urzędu Statystycznego w samym tylko 2023 r. centra i domy kultury, kluby oraz lokalne świetlice zorganizowały łącznie ponad 258,8 tys. imprez, w których wzięło udział aż 33,5 mln osób. W porównaniu z rokiem 2021 podwoiła się liczba osób uczestniczących w tego rodzaju wydarzeniach. Lubimy odwiedzać galerie, chodzić na koncerty, oglądać filmy – jeśli możemy połączyć te przyjemności, szczególnie podczas wakacji, korzystamy z takiej szansy.

Nic dziwnego, że – jak czytamy w raporcie „Poland Events Impact 2023" – ekonomiczny wpływ targów, konferencji i festiwali na gospodarkę naszego kraju przekroczył 54,6 mld złotych. Stanowi to odpowiednik ok. 1 proc. PKB. Sporo, prawda?

Zgromadzone tu liczby i tak nie oddadzą faktycznej wagi wszystkich kulturalnych wydarzeń. Nie odzwierciedlają one bowiem wartości takich jak networking czy transfer wiedzy. Nie mówiąc już o przyjemności wynikającej z czasu spędzanego w gronie bliskich nam ludzi.

Festiwale muzyczne, filmowe i teatralne, o których opowiadamy w tym wydaniu wakacyjnego „Włóczykija Kulturalnego", przyciągają każdego roku uczestników z różnych stron Polski. I dobrze, bo to sprawia, że odwiedzają oni przy okazji lokalne restauracje, oglądają miejscowe zabytki, zwiedzają muzea albo po prostu – płyną kajakiem w dół rzeki. Inwestycje w infrastrukturę, towarzyszące organizacji dużych imprez, zwiększają z kolei prestiż samych miast i miasteczek.

Podam przykład z Krakowa. Otóż – wedle badań przeprowadzonych przez Krakowskie Biuro Festiwalowe – ok. 25 proc. uczestników wielkanocnego Festiwalu Misteria Paschalia przyjeżdża do naszego miasta specjalnie po to, by posłuchać muzyki renesansu i baroku. Ponad połowa z tych osób wpada przy okazji do miejscowych kawiarni i robi przedświąteczne zakupy. Jeszcze więcej osób odwiedza Kraków, by wziąć udział w Festiwalu Muzyki Filmowej, nie mówiąc o czerwcowych Wiankach.

Gdziekolwiek przyjdzie nam się spotkać tego lata, czy będzie to poznańska Malta, czy też gdańska Feta, życzymy wszystkim udanej zabawy. Mając przy tym nadzieję, że skorzystacie z lokalnych atrakcji oraz naszego przewodnika.

©℗ MONIKA OCHĘDOWSKA

4. **Gdzie gra lato**
Jan Błaszczak
Elektryzujące nazwiska, wielkie nadzieje, nestorzy gatunków i niestrudzeni wizjonerzy – oni wszyscy zmierzają już powoli do Polski. Rynek wydarzeń muzycznych za nic ma wszelkie kryzysy i triumfalnie prężу muskuły.

8. **Kino w drodze**
Remigiusz Różański
Podczas letnich podróży warto zaplanować sobie przystanek na jednym z rodzimych festiwali filmowych. Spróbujcie się przekonać, jak to jest być częścią wspólnoty przeróżnych gustów i pasji.

12. **Pejzaże sztuki**
Piotr Kosiewski
Lato w galeriach i muzeach zapowiada się inspirująco: od retrospektyw mistrzyń i mistrzów po ekspozycje młodych twórczyń i twórców. Sprawdź, które wystawy warto wpisać do wakacyjnego kalendarza.

20. **Wawel inaczej**
Rozmowa z Andrzejem Betlejem
Nasza publiczność nie musi oglądać wciąż tego samego. Znajdujemy sposoby na dotarcie do osób, które do tej pory tylko raz czy dwa razy w życiu były na Zamku.

26. **Z Orłowa do Awinionu**
Dariusz Kosiński
Ostatnie głośne premiery, a także duże festiwale polskie i zagraniczne. Mimo że letnie miesiące to dla teatru okres przerwy, jego wielbicielki i wielbiciele nie mogą narzekać na brak atrakcji.

TYGODNIK POWSZECHNY

DODATEK DO „TYGODNIKA POWSZECHNEGO" 19/2025

REDAKCJA: Monika Ochędowska | PROJ. GRAF.: Marek Zalejski | FOTOEDYCJA: Katarzyna Bułtowicz
SKŁAD: Agnieszka Cynarska-Taran | OPIEKA WYDAWNICZA: Marek Bednarz, Mateusz Gawron, Anna Pietrzykowska
Grafika na okładce: Blanka Biernat



MAARTEN MOOIJMAN / MATERIAŁY PRASOWE

Grupa The Ex wystąpi na festiwalu Inne Brzmienia

Gdzie gra lato

JAN BŁASZCZAK

Elektryzujące nazwiska, wielkie nadzieje, nestorzy gatunków i niestrudzeni wizjonerzy – oni wszyscy zmierzają już powoli do Polski. Rynek wydarzeń muzycznych za nic ma wszelkie kryzysy i triumfalnie pręży muskuły.

To był maj 2013 roku. Ciepły wieczór na placu przed Teatrem Andersena w Lublinie. Trwał festiwal Kody, a na scenie Glenn Branca hałasował właśnie ze swoim gitarowym zespołem. Potężna fala dźwięku sprawiała, że trudno było oderwać wzrok od występu nowojorskiego kompozytora i jego świty.

A jednak w pewnym momencie głowy lubelskich widzów obróciły się w bok i w górę w starannie zsynchronizowanym ruchu. Zaskoczony podążyłem ich śladem. Nisko na niebie leciał samolot. Zwyczajny, pasażerski. Zaraz po koncercie zapytałem znajomego lublinianina o tę zbiorową reakcję. „Od kilku miesięcy mamy lotnisko. Nie możemy się jeszcze przyzwyczaić" – usłyszałem.

Piszę o tym dlatego, że w swoim najlepszym wydaniu festiwale potrafią zapewnić więcej niż gęsty splot muzycznych doświadczeń. Pozwalają nie tylko zwiedzić miasto, ale czasem także pożyć przez chwilę życiem jego mieszkańców. A samoloty? Kiedy tak patrzę na rozpiskę nadchodzących koncertów i festiwali, mam wrażenie, że w każdym z nich zmierza do nas jakiś muzyk.

Hałas w Lublinie

Zostańmy jeszcze na chwilę w Lublinie, gdzie w dniach 3-6 lipca już po raz osiemnasty odbędzie się festiwal Inne Brzmienia. To wydarzenie wyjątkowe z co najmniej dwóch powodów: po pierwsze konsekwentnie nie ogląda się na trendy, zapraszając artystów wywodzących się zwykle spoza głównego nurtu. Nie ma znaczenia, czy reprezentują oni muzykę tradycyjną, czy dub, elektronikę czy punk rock, czy zaczęli cztery, czy czterdzieści cztery lata temu. Druga cecha, która wyróżnia Inne Brzemienia na tle wielu festiwali, to ich bezpłatny charakter. Co ważne, nie wpływa to na artystyczny poziom imprezy.

Potwierdzają to pierwsi goście tegorocznej odsłony, wśród których znajdziemy Voivod – kanadyjską ikonę thrashu i progresywnego metalu; The Ex, czyli jedną z najważniejszych europejskich punk-rockowych załóg; czy nowojorskie trio

A Place to Bury Strangers, które sięgając do noise rocka i shoegaze'u, generuje hałas, jakiego lublinianie nie słyszeli od czasu wspomnianego koncertu Branki. Osobiście najbardziej cieszę się jednak na występ The Messthetics z saksofonistą Jamesem Brandonem Lewisem. To grupa poruszająca się na styku jazzu, punk rocka i wolnej improwizacji, której sekcję rytmiczną stanowią Joe Lally i Brendan Canty – członkowie nieodżałowanego Fugazi. A to dopiero początek ogłoszeń.

Niespodzianki w Gdyni

Tegoroczna podróż do Lublina może być o tyle trudniejsza, że pierwszy weekend lipca rozpieszcza melomanów. Wspomniani The Messthetics wystąpią dzień później w ramach Warsaw Summer Jazz Days. Festiwal ukazuje tytułowy gatunek w bardzo szerokiej perspektywie. Stąd w dniach 3-6 lipca w stołecznym Klubie Stodoła wystąpią m.in. słynny amerykański gitarzysta John Scofield ze swoim Long Days Quartet, Kurt Elling i grupa Yellowjackets z repertuarem Weather Report, a także gwiazda neo soulu Meshell Ndegeocello.

W tym samym czasie na lotnisku Gdynia-Kosakowo odbędzie się też Open'er Festival. Jeśli bywały lata, kiedy odnosiłem wrażenie, że oferta imprezy skierowana jest wyłącznie do młodego pokolenia zasłuchanego w nowej szkole rapu, to ostatnio jej program wydaje się bardziej zdywersyfikowany. Obok świetnej młodej raperki Doechii, RAYE czerpiącej z jazzu i soulu oraz Tyli czerpiącej z południowoafrykańskiego amapiano, w Gdyni pojawią się gwiazdy o znacznie dłuższym stażu. I tak na Open'erze zagrają m.in. weterani trip hopu z Massive Attack, cieszący się niesłabnącą popularnością Linkin Park czy grający industrialnego rocka Nine Inch Nails.

Co prawda lider tej ostatniej grupy, Trent Reznor, w ostatnich latach daje się poznać przede wszystkim jako kompozytor muzyki filmowej, to mam cichą nadzieję, że szokujący brak nominacji do Oscara dla ścieżki dźwiękowej do „Challengers" rozbudził w nim gniew, który cechował jego najlepsze nagrania z lat 90.

Tym, których główna scena Open'era przytłoczy swoim ogromem, polecałbym natomiast występy bardzo zdolnego indiepopowego duetu Magdalena Bay (trudno wypędzić z głowy melodie z ubiegłorocznej płyty „Imaginal Disk") oraz brytyjskiej wokalistki, producentki i tancerki FKA Twigs, która po latach eksperymentowania z awangardowym, a jednocześnie zmysłowym r&b na albumie „Eusexua" sięga śmielej do muzyki klubowej (momentami brzmi jak „Ray of Light" Madonny).



WANIA.FOTO / MATERIAŁY PRASOWE

Scena Orange Warsaw Festival, 2024 r.



MATERIAŁY PRASOWE

Róisín Murphy wystąpi na festiwalu Malta

Klubowo w Katowicach

Spośród gwiazd popu, które odwiedzą w tym roku Polskę, ta aktualnie najgłośniejsza wystąpi w Warszawie. 31 maja na Orange Warsaw Festival zagra Charlie XCX, której ubiegłoroczny album „Brat" zawojował lato do tego stopnia, że nawet Kamala Harris próbowała budować swój wizerunek wśród młodych wyborców na poparciu brytyjskiej wokalistki. Jeśli jej popularność rosła z płyty na płytę, by eksplodować po wydaniu hyperpopowego „Brat" (oraz świetnego albumu z remiksami tych piosenek), to na Chappell Roan po fiasku jej debiutu wytwórnia postawiła krzyżyk. Jak widać, przedwcześnie, bo jej drugi album „The Rise and Fall of a Midwest Princess" nie tylko pokrył się platyną w Wielkiej Brytanii, USA i Kanadzie, ale sama wykonawczyni została otoczona kultem, zwłaszcza wśród młodej queerowej publiczności. Teraz obie wokalistki spotkają się na Orange Warsaw Festival.

Prawdziwa ikona (elektro)popu wystąpi także na poznańskiej Malcie, która po latach przerwy wraca na radary miłośników muzyki. Oczywiście Róisín Murphy otacza dziś czcią raczej pokolenie czterdziestolatków, co nie zmienia faktu, że artystka znana przed laty z duetu ↦



ANNA WEBBER / MATERIAŁY PRASOWE

Yellowjackets pojawią się na Warsaw Summer Jazz Days

↦ Moloko wyjątkowo dobrze radzi sobie na ciągle ewoluującej i celebrującej młodość scenie muzyki tanecznej. W Poznaniu Irlandka wystąpi 24 czerwca, czyli niemal dokładnie dwadzieścia lat po premierze swojego debiutu – wyprodukowanego przez Matthew Herberta przebojowego, a przy tym niezwykle ambitnego „Ruby Blue". Obok Murphy na Malcie wystąpią także operująca pomiędzy jazzem a hip hopem grupa BadBadNotGood i australijski soulowy zespół The Teskey Brothers.

Jeśli obecność Róisín Murphy na festiwalu Malta może być komuś nie w smak, to chyba tylko organizatorom festiwalu Tauron Nowa Muzyka, który odbywa się w dniach 19-22 czerwca. Katowicka impreza nie tylko nachodzi na nią terminowo, ale także wydaje się skierowana do podobnej grupy wiekowej. Wbrew nazwie festiwalu wśród jego gwiazd znajdziemy dobrze znanych polskiej publiczności nestorów muzyki klubowej: Underworld, Jeffa Millsa czy Richiego Hawtina. Ponadto silną reprezentację będzie miała muzyka drone'owa (Ellen Arkbro, Kali Malone), a spośród polskich twórców na pewno warto zajrzeć na występy Julii Rover, Oxford Drama czy set Etnobotaniki.

W pojedynku górnośląskich festiwali w tym roku zdecydowanie wygrywa jednak OFF Festival (1-3 sierpnia), którego program przywołuje najmocniejsze odsłony tej imprezy z czasów dobrze przedpandemicznych. Co prawda mam wątpliwości co do występu Kraftwerk bez Floriana Schneidera, ale z drugiej strony trudno pewnie o zespół, w którym osobowość, charyzma czy indywidualność lidera odgrywałaby mniejsze znaczenie.

Żadne rozterki nie towarzyszą mi natomiast w przypadku pozostałych gwiazd festiwalu: łączącego subtelne r&b ze współczesną elektroniką Jamesa Blake'a czy Fontaines D.C., być może najbardziej elektryzującego dziś rockowego zespołu, który za rok czy dwa może być już poza zasięgiem OFF-a. Tu warto dodać, że irlandzka grupa grała na festiwalu w 2018 roku – była jeszcze wówczas przed debiutem, kiedy nie dało się przewidzieć jej oszałamiającej (i w pełni zasłużonej) kariery. Piszę o tym dlatego, że na OFF-ie szczególnie warto zaglądać na mniejsze sceny, gdzie w tym roku zagrają m.in. porównywana z Alice Coltrane harfistka Nala Sinephro, nieznający umiaru Geordie Greep, który łączy prog rocka z jazzem i przewrotnymi tekstami, czy MJ Lenderman idący coraz śmielej ścieżką wytyczoną wcześniej przez Neila Younga i Kurta Vile'a.

Luz w Ostródzie

W kolorowym korowodzie artystów ciągnących na OFF Festival nie zabraknie tych odzianych na czarno. W Katowicach zagra Envy, gwiazda japońskiego screamo, a także Have A Nice Life, którym wystarczą trzy nutki, by uświadomić słuchaczom skalę ironii zawartą w ich nazwie. Reprezentanci szeroko pojętego metalu stawią się jednak najliczniej na Mystic Festivalu, który swoim rozmachem ściga się już raczej z Open'erem niż OFF-em. Odbywająca się również w Trójmieście impreza (Gdańsk, 4-7 czerwca) ściąga dziesiątki artystów, jakby próbowała wcielić w życie maksymę: dla każdego coś (nie)miłego. Będzie więc mrocznie (Opeth) i melodyjnie (In Flames), nastrojowo (Apocalyptica) i ekstremalnie (I Am Morbid), klasycznie thrashowo (Exodus) i wyjątkowo eksperymentalnie (Oranssi Pazuzu), falsetem (King Diamond) i... bulgotem (Beherit). To chyba jedyny taki festiwal, którego każdy uczestnik może ułożyć sobie harmonogram, który uwielbia, i taki, którego szczerze nie znosi.

Jeśli mimo wszystko to wciąż za głośno i za mało kolorów, to polecam zajrzeć na Mazury. W dniach 24-27 lipca odbywa się tu Ostróda Reggae Festival. Spośród gwiazd imprezy, na której należną jej bogatą reprezentację ma scena jamajska, chciałbym wyróżnić Brytyjczyków, a w zasadzie – Brytyjkę. W Ostródzie wystąpi bowiem The Selecter ze swoją legendarną wokalistką Pauline Black i wyrywającym do tańca stylem 2 Tone. Trudna sztuka: puścić sobie „Missing Words" czy „Too Much Pressure" i jednocześnie powstrzymać się od sprawdzania biletów kolejowych na Mazury.

A jeśli już jesteśmy w warmińsko-mazurskim, warto zainteresować się również kameralnym wydarzeniem o uroczej nazwie Biedowo Music Fest. Program tegorocznej imprezy nie jest jeszcze znany, natomiast jej organizatorzy – związani na co dzień z trójmiejską wytwórnią Alpaka – jak dotąd zapraszali do gminy Barczewo interesujących reprezentantów muzyki improwizowanej, elektronicznej czy tradycyjnej. Biedowo (8-9 sierpnia) wpisuje się w szerszy trend małych, oddolnych festiwali organizowanych na głębokiej prowincji, zwykle z polskim programem i mniejszym obłożeniem. Innym przykładem takiego wydarzenia jest kaszubski Spokój, którego nazwa streszcza ideę stojącą za podobnymi inicjatywami.

Gwiazdy w Warszawie

Latem wiele klubów muzycznych się zamyka, bo miasta się wyludniają, a festiwale stanowią poważną konkurencję. Ale działają przecież sale widowiskowe, odbywają się imprezy plenerowe, są gigantyczne produkcje na stadionach. Na warszawskim COS Torwar 4 czerwca wystąpi cieszący się w Polsce olbrzymią popularnością Steven Wilson. Lider Porcupine Tree zaprezentuje materiał z tegorocznej spacerockowej płyty „The Overview" sygnowanej własnym nazwiskiem. W tej samej sali 19 czerwca wystąpi Alanis Morisette. Być może kanadyjska piosenkarka najlepsze artystycznie lata ma już za sobą, kiedy poprockowe „Jagged Little Pill" święciło triumfy także w Polsce (złota płyta), ale dopiero w tym roku odwiedzi nas po raz pierwszy, „isn't it ironic?". Natomiast 30 lipca na Torwarze zagrają Queens of the Stone Age – niekwestionowane gwiazdy stoner rocka, autorzy niezliczonych przebojów i naładowanych energią płyt takich jak „Rated R" czy „Songs for the Deaf", które bałbym się włączyć w samochodzie.

> Festiwale potrafią zapewnić znacznie więcej niż gęsty splot kulturalnych doświadczeń. Pozwalają nie tylko zwiedzić miasto, ale i pożyć przez chwilę życiem jego mieszkańców.

Fani brytyjskiej muzyki gitarowej powinni odnotować też w swoich kalendarzach koncerty Primal Scream – gwiazdy psychodelicznego, narkotycznego, podkręconego elektroniką rocka wystąpią 13 czerwca w warszawskiej Stodole; Morisseya – lider kultowego The Smiths pojawi się 3 lipca w Tauron Arena Kraków; a także Mogwai – szkoccy weterani post rocka zaprezentują swoje potężne, operujące kontrastami utwory 11 września podczas koncertu w warszawskiej Progresji.

Ale dość o gitarach, bo tego lata w Progresji wystąpi także The Streets (25 czerwca), czyli projekt Mike'a Skinnera, który na początku wieku skierował uwagę słuchaczy w stronę brytyjskiego rapu, czerpiąc przy okazji z UK garage, trip hopu czy 2-stepu. Na tej samej scenie wystąpi także Autechre (10 sierpnia) – duet, który od ponad trzydziestu lat tworzy muzykę elektroniczną z przyszłości i wciąż zdarza mu się być kilka kroków przed konkurencją.

Wśród wydarzeń planowanych tego lata na Stadionie Narodowym nie sposób nie wspomnieć o wspólnym koncercie SZA i Kendricka Lamara. Po sukcesie utworu „Not Like Us", rozbiciu Drake'a w rapowym pojedynku i porywającym występie w przerwie Super Bowl, utalentowany raper z Compton pozostaje numerem jeden na hiphopowej scenie. Dlatego przewrotnie – bo przecież nie z braku sympatii – umieszczam go na samym końcu tej listy.

© JAN BŁASZCZAK

REKLAMA





KAROL STAŃCZAK / MATERIAŁY PRASOWE

Octopus Film Festival w Gdańsku, 2024 r.

Kino w drodze

REMIGIUSZ RÓŻAŃSKI

Podczas letnich podróży warto zaplanować sobie przystanek na jednym z rodzimych festiwali filmowych. Spróbujcie się przekonać, jak to jest być częścią wspólnoty przeróżnych gustów i pasji.

W swoim pierwszym festiwalu filmowym uczestniczyłem leżąc na łóżku w kwaterze pracowniczej gdzieś w Meklemburgii-Pomorzu Przednim. Lekko zabrudzony ekran laptopa nie równał się z kinowym, lecz w tamtym czasie byłem na niego skazany. W podobnej sytuacji znalazła się rzesza kinomanów zamkniętych w domach i niepewnych jutra.

Choć pandemiczny chaos wydaje się dziś na tyle odległy, że zaczyna przypominać zły sen, jego wpływ wciąż widoczny jest w branży filmowej. Wraz z zażegnaniem niebezpieczeństwa ludzie popędzili do kin, lecz nie tak licznie jak przedtem. Wpływy z box office'u, wbrew pozorom, wciąż nie wróciły do stanu z rekordowych lat 2016-2019.

Powody do ostrożnego optymizmu dają jednak festiwale filmowe, które na przekór panującym trendom rosną w siłę (najlepszym tego przykładem są zeszłoroczne edycje Nowych Horyzontów i Młodych Horyzontów). Trudno się dziwić, skoro wydarzenia te oferują jedyną w swoim rodzaju możliwość celebracji kina.

KOSZALIN ▪ O tym, że nie od razu Rzym zbudowano, przypomina Koszaliński Festiwal Debiutów Filmowych „Młodzi i Film" (9-14 czerwca). Zanim Agnieszka Holland stała się regularną bywalczynią festiwali w Cannes czy Wenecji, pierwsze kroki stawiała właśnie w Koszalinie – na najstarszym w Polsce przeglądzie debiutów. Dla nieopierzonych filmowców to doskonałe miejsce do zawierania branżowych znajomości i zbierania wskazówek od doświadczonych twórców, którzy chętnie Zachodniopomorskie odwiedzają. Dla widzów zaś to przede wszystkim okazja do przyjrzenia się twórczości osób, które w przyszłości mogą zamieszać w rodzimym przemyśle filmowym. W zeszłym roku na liście nagrodzonych w Koszalinie filmów znalazły się między innymi znakomite „Tyle co nic" Grzegorza Dębowskiego oraz „Skąd dokąd" Macieja Hameli. Obie produkcje udowadniają, że debiuty mogą dostarczyć nie mniej wrażeń niż dzieła starych mistrzów.

Nieprzekonanym przypomnę, że Koszalin leży rzut beretem od plaży w Mielnie.



MACIEJ WASILEWSKI / MATERIAŁY PRASOWE

TORUŃ ▪ Większości Polaków Toruń zapewne kojarzy się z Kopernikiem i piernikami, ale z punktu widzenia kinomanów jest to przede wszystkim festiwalowa kolebka województwa kujawsko-pomorskiego. To tutaj jesienią zjeżdżają się tuzy światowego kina, aby uczestniczyć w święcie sztuki operatorskiej. Nadęcie Camerimage nie każdemu jednak przypadnie do gustu. Poszukującym bezpretensjonalnej alternatywy z pomocą przychodzi wakacyjny Międzynarodowy Festiwal Filmowy Tofifest (28 czerwca – 4 lipca).

Bez blichtru i glamouru, za to z dopracowanym programem, w którym znajdzie się miejsce zarówno dla rodzimych produkcji, jak i światowego arthouse'u.

Festiwal Tofifest w Toruniu, 2024 r.

Nie lada gratką są retrospektywy klasyków oraz nietuzinkowe sekcje tematyczne – podczas poprzedniej edycji widzowie mogli zobaczyć między innymi selekcję horrorów wampirycznych oraz filmy, które zainspirowały Gretę Gerwig do nakręcenia „Barbie".



MACIEJ ZAKRZEWSKI / MATERIAŁY PRASOWE

Międzynarodowy Festiwal Filmów Animowanych Animator w Poznaniu, 2023 r.

ŁAGÓW ■ Kiedy w Łagowie zorganizowano pierwsze Lubuskie Lato Filmowe (29 czerwca – 6 lipca), Barbie-pionierka obchodziła dziesiąte urodziny. Łagowska impreza jest najstarszym festiwalem filmów fabularnych w Polsce. To tutaj będąca solą w oku komunistycznych władz Agnieszka Holland odbierała nagrodę za „Aktorów prowincjonalnych", a Bogusław Linda nieomal doprowadził do zamieszek.

Lubuskie Lato Filmowe to wydarzenie o długiej historii, ale bynajmniej nie relikt minionej epoki. Perła Ziemi Lubuskiej pozostaje miejscem bliskim osobom zainteresowanym kinematografią środkowo- i wschodnioeuropejską. To także idealny punkt wakacyjnych wycieczek: położony z dala od miejskiego zgiełku, będący idealną scenerią dla długich wieczornych rozmów i niespiesznego przyswajania kina. Lubuskie Lato Filmowe jest festiwalem stworzonym dla apologetów slow life'u, czyli idei zwalniania tempa życia.

POZNAŃ ■ Tempo życia z pewnością nie jest wolne w stolicy Wielkopolski, gdzie od niemal dwudziestu lat organizowany jest Międzynarodowy Festiwal Filmów Animowanych Animator (5-13 lipca). Festiwal nie byle jaki, bo kwalifikujący do Oscara. Polskie Annecy rokrocznie przyciąga rzeszę adeptów sztuki animacji z różnych zakątków kraju – to tutaj zobaczycie najlepsze etiudy studentów z Poznania, Łodzi i Warszawy, ale również przeboje ze światowych festiwali: wspomnianego już Annecy, Locarno, Liberecu i innych.

Program Animatora stanowi przegląd wszystkich oblicz animacji: od poklatkowych miniatur, przez rysunkowe fabuły i dokumenty, po eksperymenty z dziedziny kinomalarstwa. Od kilku lat ważną częścią imprezy są pokazy animacji dla dorosłych spod szyldu Adult Swim oraz coraz popularniejszego w Polsce ↦

REKLAMA

KONCERT
JUBILEUSZOWY
DEDYKOWANY
ANNIE JANTAR
I JAROSŁAWOWI
KUKULSKIEMU

Życia mała garść

ZAPRASZA NATALIA KUKULSKA

ORKIESTRA
ADAMA
SZTABY

ANIA KARWAN
KASIA KOWALSKA
KAYAH
KASIA LINS
NATALIA PRZYBYSZ
KUBA BADACH
PIOTR CUGOWSKI
RALPH KAMINSKI



12/10/2025
ATLAS ARENA
ŁÓDŹ
Bilety: BILETSERWIS.pl

Prestige MJM
BILET SERWIS
RMF CLASSIC
onet
TYGODNIK POWSZECHNY
VIXON MEDIA



WOJCIECH CHRUBASIK / MATERIAŁY PRASOWE

Międzynarodowy Festiwal Filmowy Nowe Horyzonty we Wrocławiu, 2024 r.

↦ i na świecie anime. Pod batutą dyrektorki artystycznej Adriany Prodeus festiwal zyskał pazur i charakter. Warto się przekonać, że animacja to nie tylko hollywoodzkie konfekcje.

WROCŁAW ■ Z dala od Fabryki Snów trzyma się także Międzynarodowy Festiwal Filmowy Nowe Horyzonty (17-27 lipca), który zgodnie z tegorocznym hasłem wykracza poza granice konwencjonalnego kina. Nadchodząca wielkimi krokami edycja jest wyjątkowa z kilku powodów: po pierwsze, przypadają na nią obchody dwudziestopięciolecia festiwalu, po drugie, wyznacza ona początek współpracy z nowym partnerem tytularnym, bankiem BNP Paribas.

Wrocławska impreza pracowała na swój status ćwierć wieku, lecz dziś nikt nie zaprzeczy, że jest ona jednym z najważniejszych wydarzeń filmowych w Polsce. Na jedenaście dni w roku Wrocław zamienia się w stolicę kina artystycznego, a jego najważniejszymi ośrodkami stają się Kino Nowe Horyzonty oraz zaprzyjaźnione Dolnośląskie Centrum Filmowe (międzyseansowy trucht z jednego do drugiego jest ulubionym sportem uczestników).

Jubileuszowa edycja obfitować będzie w filmowe doświadczenia. Oprócz nieodzownych sekcji, takich jak „Nocne szaleństwo", przygotowano także wyjątkowy przegląd bezkompromisowego kina brytyjskiego (w programie między innymi „Jubileusz" Dereka Jarmana) oraz selekcję najlepszych filmów ubiegłych lat – przygotowaną przez założyciela festiwalu Romana Gutka oraz Jakuba Duszyńskiego. Nowe Horyzonty to nie tylko kino, lecz także rozbudowana scena artystyczna: koncerty, wystawy, pokazy specjalne. Najważniejsza jest jednak rozkochana w kinie społeczność festiwalowa, która z otwartymi rękami przyjmuje arthouse'owych neofitów.

KAZIMIERZ DOLNY, JANOWIEC NAD WISŁĄ, KRAKÓW ■ BNP Paribas wspiera kino artystyczne od ponad stulecia. Pod jego egidą organizowane są m.in. Festival Lumière w Lyonie czy Quinzaine des cinéastes festiwalu w Cannes. Nad Wisłą działa on równie prężnie, współpracując nie tylko z Nowymi Horyzontami, ale również z Warsaw Serialcon, Dwoma Brzegami – Festiwalem Filmu i Sztuki (26 lipca – 3 sierpnia) oraz Green Film Festival (11-17 sierpnia).

Dwa Brzegi zainteresują przede wszystkim tych, którzy nigdy nie potrafią wybrać między kinem a galerią. W Kazimierzu Dolnym i Janowcu nad Wisłą różne dziedziny sztuki nieustannie się przecinają. Pokazy filmowej klasyki i premier odbywają się równolegle z wystawami, koncertami i spektaklami teatralnymi. Dwa Brzegi są wydarzeniem interdyscyplinarnym, dużo węziej zakrojony jest program Green Film Festival.

Krakowski festiwal skupia się na filmach o tematyce ekologicznej. Seansom towarzyszą spotkania z twórcami, ekspertami oraz lokalnymi aktywistami klimatycznymi. Każdy, komu nieobojętny jest los planety, na GFF-ie poczuje się jak u siebie.

GDAŃSK ■ W Gdańsku tymczasem jak u siebie poczują się miłośnicy kina gatunkowego, bo miasto już po raz ósmy wpadnie w macki ośmiornicy. Octopus Film Festival (5-10 sierpnia) jest wydarzeniem wyjątkowym, otwartym na filmy zazwyczaj przez programerów przeoczane czy też celowo pomijane. Na Octopusie niepodzielnie rządzi kino gatunkowe. Co ważne: gatunkowe nie znaczy gorsze. Produkcje będące w stawce Konkursu Głównego rok w rok udowadniają, że thriller, horror czy też science fiction nie są bękartami dziesiątej muzy, a korzystanie z konwencji gatunkowych nie musi wiązać się z porzuceniem artystycznych ambicji.

Działania organizatorów ukierunkowane są na popularyzację kina gatunkowego we wszystkich jego odmianach. Stąd na Octopusie znajduje się miejsce na międzynarodowe premiery, retrospektywy legendarnych twórców, filmy z lektorem na żywo, filmy dla dzieci, autorskie sekcje tematyczne oraz pokazy w niekonwencjonalnych miejscach (bunkier? opuszczona galeria handlowa? w to nam graj!).



ROBERT SŁUSZNIAK / MATERIAŁY PRASOWE

Green Film Festival w Krakowie, 2022 r.

ZWIERZYNIEC ■ Dla wielu kinomanów synonimem filmowych wakacji stała się Letnia Akademia Filmowa (10-17 sierpnia). To wydarzenie podobne do Lubuskiego Lata Filmowego: raczej skromne, oddalone od wielkich ośrodków miejskich, pełne luzu i bez nadęcia. Goszczący imprezę Zwierzyniec leży nieopodal Roztoczańskiego Parku Narodowego, co powinno zachęcić wszystkich przyrodników.

Spacery wokół stawów Echo najlepiej przeplatać dobrym kinem, którego na LAF-ie jest w bród. Jeżeli o sile festiwalu przesądza różnorodność jego programu, to Zwierzyniec jest kuzynem Eddiego Halla. W zeszłym roku widzowie mogli wybierać między sekcjami takimi jak „Zrozumieć Strefę Gazy", „American Dream", „Archeologia kina" czy „Super filmy 3/10". Na początku roku dyrektorem programowym LAF-u został Artur Zaborski. Jeżeli program tegorocznej edycji będzie choć w połowie tak nietuzinkowy, jak w przypadku współorganizowanej przez niego Script Fiesty, to powinniście poważnie przemyśleć swoje plany urlopowe.



MATERIAŁY PRASOWE

BiG Festivalowski w Płocku, 2023 r.

PŁOCK ■ Nie każdy ma jednak ochotę na spędzenie tygodnia na festiwalu filmowym. Z myślą o osobach, które poszukują weekendowej odskoczni, powstał BiG Festivalowski (15-17 sierpnia), nazywany przez organizatorów najzabawniejszym weekendem w roku. Festiwal Sztuki Pozytywnej i Miękkich Treści wyróżnia się na tle konkurencji (choć trudno tu mówić o zawodach) chociażby dress codem – jeżeli nie chcecie wyglądać jak outsiderzy, zaopatrzcie się w szlafrok i wygodne kapcie.

BiG Festivalowski skłania do wrzucenia na luz (nie bez powodu patronem festiwalu jest Dude Lebowski) i dania sobie przyzwolenia na śmiech. Na płockim festiwalu króluje komedia, a wśród atrakcji znajdują się na przykład pokazy z dubbingiem na żywo, stand-upy i koncerty. BiG Festivalowski to mekka eskapistów (nie oszukujmy się, każdy z nas tego czasem potrzebuje).

GDYNIA ■ Istnieje wiele sposobów na spędzenie ostatniego dnia lata, lecz dla miłośników polskiego kina jedynym słusznym jest wzięcie udziału w Festiwalu Polskich Filmów Fabularnych (22-27 września). Mimo że krytycy i dziennikarze zwykli mówić o nim z przekąsem (głównie przez dyskusyjny poziom filmów konkursowych), trudno o drugie wydarzenie, które udzielałoby tak kompleksowych odpowiedzi na pytania o kształt rodzimej kinematografii i obowiązujące w nim trendy. W tym roku gdyński festiwal obchodzi swoje pięćdziesięciolecie, co stanowi doskonałą okazję do wyruszenia w podróż szlakiem polskiego kina.

A lato jest bezdyskusyjnie najprzyjemniejszą porą roku – właśnie dzięki festiwalom filmowym. © REMIGIUSZ RÓŻAŃSKI

REKLAMA





MATERIAŁY PRASOWE

Piotr Uklański (ur. 1968), „Bez tytułu (Solidarność)", część pierwsza dyptyku, 2007 r., dzięki uprzejmości artysty i Fundacji Galerii Foksal. Wystawa „Transformacje. Nowoczesność w III RP", Muzeum Narodowe w Krakowie

Pejzaże sztuki

PIOTR KOSIEWSKI

Lato w galeriach i muzeach zapowiada się inspirująco: od retrospektyw mistrzyń i mistrzów po ekspozycje młodych twórczyń i twórców. Sprawdź, które wystawy warto wpisać do wakacyjnego kalendarza.

Otwarcie jesienią ubiegłego roku siedziby warszawskiego **Muzeum Sztuki Nowoczesnej** było jednym z najgłośniejszych wydarzeń w polskim życiu kulturalnym ostatnich lat. Zaprojektowany przez Thomasa Phifera gmach nie tylko wywołał jedną z największych dyskusji o architekturze w tym stuleciu, ale też przyciągnął tłumy – w ciągu zaledwie kilku miesięcy od jego otwarcia odwiedziło go ponad 300 tys. osób. Jednak dopiero w tym roku muzeum zaczęło prowadzić regularną działalność ekspozycyjną, która może znacząco wpłynąć na życie artystyczne w najbliższych latach.

Spektakularnym początkiem okazała się „Wystawa niestała. 4 × kolekcja" (potrwa do 5 października br.). Muzeum w ciągu dwóch dekad udało się zgromadzić imponujący zbiór, liczący obecnie ponad 2 tys. obiektów. Są tu prace zarówno klasyków polskiej współczesności, poczynając od Marii Pinińskiej-Bereś, Aliny Szapocznikow i Andrzeja Wróblewskiego, po najważniejsze postacie dla polskiej sztuki po 1989 r. Jednak, co najważniejsze, są w tej kolekcji dzieła wielu kluczowych artystek i artystów z innych krajów. Zbiory MSN już teraz dają unikatową w naszym kraju możliwość zestawienia twórczości powstającej w Polsce z pracami Kadera Attii, Isy Genzken, Nikity Kadana, Lynette Yiadom-Boakye i wielu innych, bez których nie sposób odpowiedzialnie opowiedzieć o sztuce ostatnich 30 lat.

Na „Wystawie niestałej" znalazło się ponad 150 dzieł pochodzących z różnych kontynentów, kręgów kulturowych i odwołujących się do rozmaitych tradycji, z których ułożono cztery opowieści. Pierwsza dotyczy zaangażowania politycznego sztuki i marzeń artystów i artystek o zbudowaniu lepszego świata. Druga jest poświęcona zderzeniu sztuki z kulturą popularną, reklamą i projektowaniem. W kolejnej skupiono się na twórczości odwołującej się do świata wyobraźni. Wreszcie ostatnia część wystawy stawia pytanie o granice sztuki.

Nadal też jest możliwe zobaczenie innej wizji sztuki ostatnich 35 lat. Do 18 maja w **krakowskim Muzeum Narodowym** trwa wystawa „Transfor-

macje. Nowoczesność w III RP". To ostatnia część monumentalnego, realizowanego od 2021 r. cyklu „4 x nowoczesność" poświęconego polskiej modernizacji od końca XIX wieku po współczesność. Jej twórcy ograniczyli się do sztuki tworzonej w naszym kraju. Natomiast wiele miejsca poświęcili architekturze i designowi. Starali się też, co podkreślają, ukazać „wielość postaw twórczych i reinterpretacji nowoczesności, które nie tworzyły jednolitego i spójnego obrazu" tego czasu, ale też dokonali znaczących pominięć. Powstała wystawa kontrowersyjna, ale prowokująca do stawiania pytań. I na pewno konieczna do obejrzenia.

Sztuka nowoczesna i współczesna przykuwa coraz większą uwagę. Jest też coraz wyraźniej obecna w muzeach, które poświęcone są znacznie odleglejszym czasom. Jeszcze niedawno na **Zamku Królewskim na Wawelu** można było oglądać obrazy Marcina Maciejowskiego. Teraz muzeum opublikowało jego „Szkicownik wawelski", obszerną książkę, w której artysta poprzez rysunki opowiada o rezydencji w sposób bardzo osobisty, wręcz intymny.

Natomiast w królewskich komnatach można oglądać wystawę innego współczesnego malarza, Łukasza Stokłosy („Elegie", do 29 czerwca). Na Wawelu znajdą się jego obrazy opowiadające o dawnych władczyniach i władcach. Niezwyczajnie, bo poprzez przedmioty do nich niegdyś należące, jak insygnia i płaszcze koronacyjne czy karety. Stokłosa przedstawia wnętrza królewskich rezydencji i widoki otaczających je ogrodów. A to dopiero początek. Od 25 kwietnia z kolei w ogrodach zamkowych będzie trwał pokaz rzeźb Magdaleny Abakanowicz (jesienią otworzy się wystawa jej abakanów).

Jednocześnie, paradoksalnie, najważniejsze instytucje poświęcone sztuce współczesnej w kraju nadal muszą się mierzyć z kryzysem wywołanym nominacjami dyrektorskimi z czasów Piotra Glińskiego. Przykład Muzeum Sztuki w Łodzi, Zamku Ujazdowskiego w Warszawie czy stołecznej Zachęty pokazuje, jak łatwo można nie tylko roztrwonić budowany mozolnie przez lata dorobek i międzynarodowy prestiż, ale przede wszystkim tworzony przez kolejne ekipy zespół profesjonalnych pracowników.

W grudniu ubiegłego roku funkcję dyrektora **Zachęty** objęła Agnieszka Pindera. Na pełny tegoroczny program wystawienniczy musimy jeszcze poczekać. Jednak zorganizowane w ostatnich miesiącach ekspozycje, jak świetny „Paradżanow. Chcę minąć swój cień", poświęcony jednemu z najoryginalniejszych reżyserów 2. połowy XX wieku, czy rewelacyjne „Historie potencjalne", pokazują ogromny potencjał tej instytucji.



GALERIA WYMIANY / MATERIAŁY PRASOWE

Zbigniew Rybczyński, kadr z filmu „Tango". Wystawa „Poza scenariuszem. Warsztat Formy Filmowej", Zachęta – Narodowa Galeria Sztuki



MATERIAŁY PRASOWE

Mendel John Diness (1827-1900). Widok z dachu Mediterranean Hotel na ulicę Chrześcijańską i bazylikę Grobu Świętego, grudzień 1856 r., papier solny, odbitka z negatywu szklanego kolodionowego. Wystawa „Drogi do Jerozolimy", Muzeum Narodowe w Warszawie

Ostatnio otwarto w niej ważną monograficzną ekspozycję „Poza scenariuszem. Warsztat Formy Filmowej" (czynna do 22 czerwca) o jednej z najważniejszych grup artystycznych w sztuce polskiej 2. połowy XX wieku. Trwa też wystawa poświęcona Amerykance Andrei Fraser („Sztuka musi wisieć", czynna do 8 czerwca), jednej z kluczowych postaci życia artystycznego ostatnich dekad, która zasłynęła krytycznymi pracami poświęconymi funkcjonowaniu świata sztuki i jego instytucji, a także coraz bardziej spolaryzowanych społeczeństw.

Z kolei **Muzeum Sztuki w Łodzi** przygotowuje na jesień nową wersję stałej ekspozycji – jej poprzedniczka, jedna z najciekawszych ekspozycji powstałych w Polsce w XXI wieku, została bezmyślnie zniszczona przez Andrzeja Biernackiego, który kierował muzeum z nadania Piotra Glińskiego. Już teraz można oglądać „St Ives i gdzie indziej" (czynna do 7 czerwca).

Znalazły się na niej prace brytyjskich artystów związanych z tą niewielką portową miejscowością w Kornwalii, położoną w najdalej wysuniętej na zachód części Półwyspu Kornwalijskiego w Wielkiej Brytanii. Wystawa opowiada o środowisku dziś już trochę zapomnianym, ale będącym ważnym zjawiskiem w brytyjskiej ↦



MATERIAŁY PRASOWE / MUZEUM SZTUKI W ŁODZI



JANUSZ BOCHAJCZUK, © WŁASNOŚĆ PRYWATNA / MUZEUM NARODOWE W LUBLINIE

Powyżej: Bob Law (1934-2004), „Żółty-żółty, ultramaryna, szkarłat", 1967, akryl, płótno. Wystawa „St Ives i gdzie indziej", Muzeum Sztuki w Łodzi

Po lewej: Jadwiga Przeradzka-Jędrzejewska (1902-1983), „Autoportret", lata 40. XX w., olej, sklejka, własność prywatna. Wystawa „Co babie do pędzla?!", Muzeum Narodowe w Lublinie

↳ sztuce od lat 30. do 60. minionego stulecia. Najistotniejsze chyba jest zestawienie tej twórczości z pracami polskich artystów i artystek, przede wszystkim z obrazami Piotra Potworowskiego, który po latach pobytu w Wielkiej Brytanii w 1958 r. wrócił do Polski, przenosząc do naszego kraju tamtejsze doświadczenia.

Od początku kwietnia dyrektorką **Centrum Sztuki Współczesnej Zamek Ujazdowski** została wybrana w konkursie Anna Łazar. Dopiero za jakiś czas przekonamy się, w jakim kierunku będzie zmierzała instytucja, która długo była jedną z najważniejszych w naszej części Europy. Na razie Zamek z jednej strony będzie kontynuował prezentację twórczości najmłodszych pokoleń, z drugiej zaś wracał do swej przeszłości.

Trwa właśnie wystawa „Oczy moje zwodzą pszczoły" (czynna do 31 sierpnia). Jest to próba powrotu do tradycji działającej w Zamku Małej Galerii, w której odbyły się wystawy kluczowe dla fotografii w naszym kraju, ale też do organizowanych tu ważnych obszernych przeglądów współczesnej fotografii. „Oczy moje zwodzą..." to pierwsza od lat tak obszerna ekspozycja poświęcona temu medium. Pokazano na niej prace bardzo znanych artystek i artystów, jak Bownik, Aneta Grzeszykowska, Rafał Milach czy Joanna Piotrowska, ale też – i to najbardziej intrygująca część tej wystawy – reprezentantów i reprezentantek najmłodszego pokolenia.

Jednak przede wszystkim rok 2025 będzie stał pod znakiem twórczości kobiet. Jesienią Muzeum Sztuki Nowoczesnej otworzy wielką, przekrojową ekspozycję, na której sztuka współczesna będzie sąsiadowała z pracami artystek tworzących od czasów renesansu po wiek XIX. Jednak już wcześniej będzie można oglądać dwie duże, ważne wystawy. 26 kwietnia **Muzeum Narodowe w Lublinie** otworzy ekspozycję o dość przewrotnym tytule „Co babie do pędzla?!". Znajdą się na niej dzieła polskich artystek tworzących od połowy XIX do połowy kolejnego stulecia, znanych, ale też często zapomnianych, działających zarówno w kraju, jak i za granicą. Anny Bilińskiej, Olgi Boznańskiej, Katarzyny Kobro czy Zofii Stryjeńskiej, ale też Wandy Chełmońskiej czy Anieli Pająkówny. Będzie to wyjątkowa okazja, by zobaczyć obiekty pochodzące ze zbiorów prywatnych, a także wydobyte z muzealnych magazynów.

Od maja zaś w warszawskiej **Królikarni** będzie można oglądać wystawę „Kierunek Paryż. Polskie artystki z pracowni Bourdelle'a" (9 maja-26 października). Zostaną na niej pokazane prace rzeźbiarek, które kształciły się w pracowni twórcy paryskiego pomnika Mickiewicza. Antoine Bourdelle był nie tylko jednym z najwybitniejszych twórców przełomu XIX i XX wieku, ale też cenionym pedagogiem, nauczycielem wielu artystek i artystów kluczowych dla sztuki ubiegłego wieku, jak Alberto Giacometti i Aristide Maillol, w tym – o czym się nie zawsze pamięta – Polek: Janiny Broniewskiej i Luny Drexlerówny. Ten pokaz to kolejna wystawa wypełniająca lukę w wiedzy o twórczości kobiet w Polsce.

W najbliższych miesiącach można będzie zobaczyć nie tylko twórczość dziś już historyczną, ale przede wszystkim obecnie powstającą. Od kwietnia w **sopockiej Państwowej Galerii Sztuki** trwa pokaz twórczość Anny Orbaczewskiej. Na wystawie „Głośna cisza" (4 kwietnia-25 maja) znalazły się jej obrazy, rysunki i obiekty ceramiczne powstałe w ostatnich latach, w których można znaleźć odniesienia zarówno do rokoka, jak i ekspresjonizmu. Opowiada w nich z dystansem, ale też humorem o współczesnym związku. O seksie, kłótniach, sporach, odpoczynku czy opiece nad dziećmi. I gra z tradycją, nie tylko dawnego malarstwa, ale przede wszystkim ceramiki – malowane przez nią talerze to jedno z najciekawszych zjawisk w polskiej sztuce w obecnym stuleciu.

Z kolei w **Zamku Ujazdowskim** otworzono wystawę Agaty Bogackiej „Equality Lack” (czynna do 1 czerwca): malarki, która na początku tego stulecia zasłynęła z obrazów niejednokrotnie bardzo odważnie pokazujących codzienność młodych kobiet. Porzuciła jednak malarstwo figuratywne i od 2016 r. bardzo konsekwentnie w swej twórczości odwołuje się do tradycji abstrakcji. Jej subtelnie wykonane płótna w pierwszej chwili wydają się jedynie formalną grą. Jednak zapisane są w nich napięcia, emocje, a nawet spory polityczne i społeczne, których świadkami byliśmy w ostatnich latach, co dodatkowo podkreślają tytuły obrazów: „Niezgoda”, „Nierówność” czy „Marzenie o równości”.

Wreszcie 26 czerwca we wrocławskiej galerii **66P** otworzy się wystawa Liliany Zeic (czynna do 6 września), artystki, która od kilku lat bardzo konsekwentnie zaczęła sięgać po techniki związane z rzemiosłem, jak wyplatanie, a zwłaszcza intarsja, technika bardzo trudna, pracochłonna, wymagająca ogromnej precyzji i cierpliwości. Tworzy drewniane panele opowiadające o kobiecości, erotyzmie, czasami o pożądaniu. Tym razem zajmie się ważnym w literaturze motywem kobiet zmieniających się bądź zamienianych w rośliny.

Annę Orbaczewską i Lilianę Zeic łączy to, że podjęły się rehabilitacji technik i praktyk artystycznych długo uważanych za poślednie czy mało istotne. I które często uważano za zajęcia typowe dla kobiet. Radykalnie podważyły



DOMINIKA JARUGA / MATERIAŁY PRASOWE

Wystawa „Oczy moje zwodzą pszczoły”, Centrum Sztuki Współczesnej Zamek Ujazdowski

tym samym dotychczasowe hierarchie w sztuce. Jednak nie tylko ich twórczość będzie obecna na wystawach. Lista artystek, których prace będzie można zobaczyć, jest znacznie dłuższa. Jest na niej chociażby jedna z najciekawszych rzeźbiarek młodego pokolenia Agata Ingarden (**Gdańska Galeria Miejska**, „Uniesienia”, czynna do 1 czerwca).

Dominacja współczesności nie oznacza, że nie będzie ważnych wystaw historycznych. Jednym z najważniejszych wydarzeń wystawienniczych, cieszących się też ogromnym zainteresowaniem publiczności – łącznie obejrzało ją ponad 200 tys. osób – była pierwsza od lat wielka prezentacja prac Józefa Chełmońskiego w warszawskim Muzeum Narodowym. Znalazły się na niej zarówno kanoniczne dzieła malarza z „Babim latem” na czele, jak też nieznane lub od lat publicznie niewystawiane. W tym roku będzie można obejrzeć jej kolejne odsłony: w **poznańskim** (do 29 czerwca), a następnie **krakowskim Muzeum Narodowym** (8 sierpnia-30 listopada).

Jednak nie tylko Chełmońskim będziemy żyli. W **stołecznym Muzeum Narodowym** otwarto właśnie „Drogi do Jerozolimy” (czynna do 20 lipca). To duże wydarzenie kulturalne. Ekspozycja opowiada o fenomenie miasta, w którym przez wieki współistniały trzy wielkie kultury: żydowska, chrześcijańska i muzułmańska. O jego micie dawniej i dziś, o jego obecności, także we współczesnej sztuce.

Dwa miesiące później **Muzeum Warszawy** udostępni zwiedzającym wystawę „Lato, które zmieniło wszystko” (19 czerwca-21 grudnia) poświęconą zorganizowanemu w stolicy w 1955 r. V Światowemu Festiwalowi Młodzieży i Studentów, który – wbrew zamiarom jego organizatorów – przyczynił się do liberalizacji w kraju po śmierci Stalina i był jednym z wydarzeń poprzedzających październik ’56 i czas Odwilży w kraju. Rozbudził on bowiem w młodym pokoleniu nadzieję na zmianę, a przyjazd tak wielu cudzoziemców był w tych czasach czymś niespotykanym. „Odczuliśmy to wtedy – wspominał Sławomir Mrożek – jako zapowiedź daleko idących, prawie rewolucyjnych zmian”. © PIOTR KOSIEWSKI

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY



Wiele snów Józefa K.

Jakub Szydłowski, reżyser:

Interesuje mnie uparta, samotna walka Józefa K. To, że nie przestaje zmagać się z przygniatającą go rzeczywistością do samego końca. Ten upór jest jego największą winą.



JEREMI ASTASZOW / MATERIAŁY PRASOWE

Scena z przedstawienia „Proces. Spektakl muzyczny”.

Magdalena Musialik: „Proces” jest na tyle pojemnym tekstem, by pokusić się o zrealizowanie go w formie spektaklu muzycznego? To odważny pomysł.

Jakub Szydłowski: Bardzo często słyszałem, że „Proces” jest „mroczny”, „zagmatwany”, „ponury”. A to nie do końca prawda. Sam autor, jak i jego znajomi, którym czytał tę powieść, zaśmiewali się w wielu momentach, bowiem irracjonalność sytuacji, w jakiej znalazł się Józef K., ma w sobie sporo komizmu.

Po lekturze wspomnień dotyczących Franza Kafki sięgnąłem po „Proces” w tłumaczeniu Jakuba Ekiera, sugerując się tym, by przeczytać ponownie książkę przez pryzmat zawartego w niej dowcipu. Wówczas odkryłem na nowo tę fascynującą powieść. Kafkowski surrealizm, grozę i mroczność odebrałem jako montyphytonowską rzeczywistość. Kiedy zrzuciłem jarzmo ciężkości interpretacyjnej, zacząłem patrzeć na lekturę jak na kapitalny materiał wyjściowy wart przeniesienia na scenę właśnie w formie spektaklu muzycznego.

Nie uciekamy od przedstawienia tragicznej historii Józefa K., bo nie jest to ani możliwe, ani potrzebne, ale dominujący w opowieści surrealizm działa obosiecznie: podkreśla komizm i jednocześnie uwypukla dramat. I w tym upatrywałem walor: ta ilość abstrakcji świetnie przełożyła się na muzykę. Zaryzykowałem i napisałem libretto, choć muszę przyznać, że pomysł, by zrobić z „Procesu” spektakl muzyczny, był dla wielu ogromnym zaskoczeniem.

Historia, którą proponujesz widzom, jest historią snu Józefa K.

Sam Kafka, jak i masa jego interpretatorów, odczytywali „Proces” jako dziwny sen bohatera, to po pierwsze. A po drugie, będąc ogromnym fanem Davida Lyncha, który z kolei był miłośnikiem twórczości i osoby Kafki, uważałem, że poetyka snu jest właściwą formą dla tego przedstawienia. Przecież „Miasteczko Twin Peaks” całe utkane jest z niby-snu, a właściwie snu we śnie. Na próbach zwracałem uwagę, by tak traktować rzeczywistość, którą budowaliśmy na scenie. Józef K. – u nas Miłosz Markiewicz – budzi się, by znów zapaść na jawie w kolejny sen i ponownie obudzić się w nowej rzeczywistości. W naszym Kafkowym muzycznym widowisku jest wiele snów.

Z czym chcesz pozostawić widza?

Najbardziej interesuje mnie uparta, samotna walka Józefa K. To, że nie przestaje zmagać się z przygniatającą go rzeczywistością/snem do samego końca. Ten upór jest przecież jego największą winą. Nieprzychylnie odbierana przez otoczenie nieprzejednana determinacja, aby wykazać swoją niewinność, jest największym walorem postaci. To Józefa K. czyni bardzo ludzkim i stąd bierze się nasza sympatia dla tego młodego człowieka. Podziwiamy jego walkę, choć wszystko – od samego początku – mówi, że ta walka jest skazana na porażkę.

Spektakl jest kompletny. Muzyka, choreografia, scenografia, kostiumy: wszystko działa.

Bez choreografii przygotowanej przez Katarzynę Zielonkę i Jarosława Stańka, intensywnych, rygorystycznych wręcz prób tanecznych, nie byłoby widowiska. A prywatną miłość do czarno-białych filmów Kurosawy i japońskiego pisarza Harukiego Murakamiego, skądinąd inspirującego się twórczością Kafki, przemyciłem w sugestii, by kostiumy (Dorota Sabak) nawiązywały do japońskich tradycyjnych ubiorów. Skoro bohaterowie śnią, mogą równie dobrze śnić trochę po japońsku. Ponadto Japonia kojarzy mi się z jakąś nieuchwytnie dojmującą atmosferą samotności. Z nieprzeniknioną kastowością i niemożnością porozumienia. A trudno znaleźć bardziej samotnego i niemogącego się z nikim dogadać bohatera niż Józef K.



„Proces. Spektakl muzyczny”, między innymi dzięki środkom plastycznym, został wyrzucony poza jakikolwiek kontekst historyczno-geograficzny.

Owszem. Myślę, że „Proces” może się toczyć wszędzie i zawsze. Bo człowiek pod każdą szerokością geograficzną jest samotny. Ze smutkiem, niespełnionym pożądaniem i melancholią kojarzy mi się także portugalska muzyka tradycyjna, stąd śpiewana w naszym spektaklu pieśń fado.

MATERIAŁ PROMOCYJNY

27. MAŁOPOLSKIE DNI DZIEDZICTWA KULTUROWEGO

WIĘCEJ ŚWIATŁA
NA KRAKÓW I MAŁOPOLSKĘ!

Małopolskie Dni Dziedzictwa Kulturowego to jedno z największych cyklicznych wydarzeń ukazujących i promujących bogactwo kulturowe Małopolski. Podczas 27. edycji w dwa majowe weekendy: 17 i 18 maja oraz 24 i 25 maja, w Krakowie, ale także w Limanowej i w Zakrzowie, czeka na nas szereg wydarzeń i atrakcji – spacerów, oprowadzań, wystaw, opowieści, spotkań, gier terenowych.

Każdego roku motyw przewodni MDDK jest okazją do nieoczywistego spojrzenia na wiele miejsc i historii związanych z Małopolską. Tegoroczna edycja będzie okazją do opowiedzenia o fenomenie światła i pierwszoplanowej roli, jaką odgrywa ono w naszym życiu. Przyjrzymy się znaczeniu światła w malarstwie, fotografii i architekturze, a także temu, jak ludzkość radziła sobie z ciemnością, rozświetlając ją nowymi wynalazkami.

▪ ROZŚWIETLONA LIMANOWA

Już **17** i **18 maja** rozświetli się Limanowa, zapraszając do **Dworu Marsów** oraz do rafinerii ropy naftowej. Zwiedzanie Dworu będzie okazją do posłuchania niezwykłych historii o tym miejscu, ale także do obejrzenia wystawy fotograficznej, wzięcia udziału w grze terenowej oraz piknikowego odpoczynku. W parku czekać będą leżaki, kawiarenka i czytelnia plenerowa. W programie również rodzinne warsztaty, pokaz latarni magicznych oraz prezentacja mody retro.



Dwór Marsów

Nie lada gratką będzie też wizyta w rafinerii ropy naftowej w Limanowej. Przed nami spacery historyczne, wystawa fotograficzna, a wieczorem... rozświetlimy Sowliny! Podczas pikniku przeniesiemy się do pierwszej i drugiej dekady XX w. za sprawą pokazu latarni magicznych i spektaklu pantomimy.

▪ KRAKÓW ZNANY–NIEZNANY

Nie mniej emocji w pierwszy weekend będzie można zaznać w Krakowie. Tu otworzą się dla nas dwa miejsca, które być może już widzieliście – ale nigdy w takiej odsłonie. W willi przy ul. Józefitów 16 działa dziś oddział **Muzeum Fotografii w Krakowie**. O „Prafilmówce krakowskiej", jej zapleczu i przestrzeniach willi posłuchamy podczas licznych oprowadzań, a także zajrzymy do pracowni konserwatorskiej, magazynów studyjnych czy ciemni fotograficznej.



Muzeum oo. Dominikanów

Istniejący od XIII w. klasztor dominikanów znają wszyscy. Czyżby? Podczas pierwszego weekendu Dni opowiemy wiele nieoczywistych historii z życia zakonników, skupiając się na symbolice światła, która jest niezwykle ważna dla *Domini canes*. **17** i **18 maja** zwiedzimy **klasztor, kościół i muzeum oo. Dominikanów**.

▪ ŚWIET(L)NI LUDZIE Z MAŁOPOLSKI

W kolejny weekend będziemy kontynuować tradycję pokazywania znanych miejsc z nieoczywistej strony, w tym najstarszej biblioteki uniwersyteckiej w Polsce – **Biblioteki Jagiellońskiej**. Z pewnością kojarzycie ją z uporządkowanymi zbiorami, przestronną czytelnią (albo czytelniami). Ale czy wiedzieliście, że działa tu także m.in. introligatornia, klinika papieru i sekcja konserwacji? Oprowadzania po nich, jak i po magazynach czy całym gmachu Biblioteki, będą odbywały się przez cały drugi weekend Dni Dziedzictwa.

MDDK to nie tylko opowieść o miejscach, ale także o ludziach. Człowiek, który oświetlił Amerykę, polski Nobel, wreszcie – samotnik z Prokocimia. Najlepszym świadkiem życia Erazma Jerzmanowskiego i jego żony Anny są zakupione z końcem XIX w. **pałac i park im. Anny i Erazma Jerzmanowskich** w niegdysiejszej podkrakowskiej wsi Prokocim.

Kolejną fascynującą osobowością Dni będzie Józef Sperling, kreatywny przedsiębiorca z Rzeszowa, zajmujący się wyrobem mebli i urządzaniem wnętrz. W 1912 r. kupił trzypiętrową kamienicę przy Sławkowskiej 12, zwaną **Kamienicą Sperlinga**. Dzisiaj znajduje się tu galeria obrazów należąca do wnuka pierwotnego nabywcy, architekta i fotografa, Christiana Leprette'a.

Kamienica Sperlinga



Nie byłoby **Zagrody Apolonii w Zakrzowie** koło Niepołomic, gdyby nie Elżbieta Graboś – uśmiechnięta, kipiąca energią konserwatorka zabytków. Dom babki, w którym się wychowała, stał się miejscem, w którym wciąż eksperymentuje z materiałami, technologiami oraz rozwiązaniami aranżacyjnymi. **24** i **25 maja** będziemy mieli okazję zajrzeć do jej zagrody oraz zasmakować lokalnych przysmaków.



KLAUDYNA SCHUBERT / MIK 2024 X4

Zagroda Apolonii w Zakrzowie

- We wszystkich miejscach będą znajdowały się punkty informacyjne organizatora – Małopolskiego Instytutu Kultury w Krakowie. Tu też będzie można sięgnąć po bezpłatną książkę Radka Raka pt. „Wszystko jasne", w której autor opowiada historie związane z zabytkami, wplatając pomiędzy fakty wątki fantastyczne.
- Wstęp do wszystkich miejsc i udział we wszystkich aktywnościach jest bezpłatny.
- Na poszczególne wydarzenia obowiązuje rezerwacja przez stronę internetową.
- Cały program MDDK na stronie internetowej:

www.dnidziedzictwa.pl

małopolski instytut kultury MIK
INSTYTUCJA KULTURY WOJEWÓDZTWA MAŁOPOLSKIEGO
MAŁOPOLSKA

MATERIAŁ PROMOCYJNY

REKLAMA

80. ROCZNICA ROZPOCZĘCIA ODBUDOWY WARSZAWY

BUDUJEMY NOWY DOM

PROJEKT DSH Z OKAZJI 80. ROCZNICY ROZPOCZĘCIA ODBUDOWY WARSZAWY

WYSTAWY — PREMIERY KSIĄŻEK — SPACERY — SPOTKANIA — CYKL MULTIMEDIALNY



Dom Spotkań z Historią

instytucja kultury miasta stołecznego Warszawy

www.dsh.waw.pl ul. Karowa 20, 00-324 Warszawa ul. Zielna 39, 00-108 Warszawa

Trzy spojrzenia na współczesność

Dobiega końca sezon artystyczny 2024/2025 Narodowego Starego Teatru w Krakowie. Przyniósł on repertuar różnorodny, w którym znajdziemy „Zamach na Narodowy Stary Teatr. Narodziny narodu", „Sceny z życia małżeńskiego" i „Nieustraszoną miłość Eve Adams". Każdy z tych spektakli stanowi osobne laboratorium refleksji nad współczesnością, a zarazem mocny głos w debacie o tożsamości – zarówno narodowej, jak i jednostkowej.

„Zamach na Narodowy Stary Teatr. Narodziny narodu"

– spektakl o traumie i manipulacji pamięcią

Katarzyna Janowska po premierze spektaklu napisała: „Skrzywanek, autor m.in. świetnej »Śmierci Jana Pawła II« z Teatru Polskiego w Poznaniu, nie byłby sobą, gdyby nie spróbował zamachnąć się na dawne świętości".

Spektakl Jakuba Skrzywanka, oparty na scenariuszu współtworzonym z Janem Czaplińskim, to wielowarstwowa diagnoza kondycji polskiej tożsamości i próba jej redefinicji przez pryzmat technologii. Nowa forma *deep fake theatre* w połączeniu ze znakomitymi kreacjami aktorskimi i gra z polską martyrologią tworzą przestrzeń do refleksji nad tym, jak kształtujemy wspólne narracje w oparciu o doświadczenie żałoby, krzywdy i zbrodni.

Spektakl uderza w centrum wyobrażeniowej mapy Polski – tej, która karmi się traumą i traktuje historię jak pole bitwy o moralną wyższość. To sztuka o tym, jak łatwo tragedia staje się paliwem politycznym, a pamięć ofiar – kartą przetargową w wojnie o narrację. W takim ujęciu „naród" rodzi się z bólu, ale też zostaje uwięziony w niekończącym się cyklu przepracowywania ran, które wiecznie będą rozdrapywane.

Skrzywanek proponuje teatralny esej o tym, jak z historii tworzy się widowisko i jak w tym widowisku – chcąc nie chcąc – wszyscy bierzemy udział. „Zamach" jest więc także gestem autorefleksyjnym: teatrem, który podważa sens samego siebie jako „świątyni narodowego ducha", zamieniając scenę w przestrzeń krytycznego namysłu i dekonstrukcji.



HAWA / NARODOWY STARY TEATR / MATERIAŁ PRASOWY

„Sceny z życia małżeńskiego"

– lustro współczesnych relacji

Reżyseria Katarzyny Minkowskiej przynosi nową interpretację klasycznego dzieła Ingmara Bergmana. W dobie ponownego zainteresowania klasycznym już tekstem Bergmana, jak pokazują filmy takie jak „Historia małżeńska" Noah Baumbacha czy serial Hagaia Leviego, spektakl staje się aktualnym komentarzem do przemian w relacjach partnerskich.

– Johan i Marianne są dziś bardzo zagubieni – twierdzi dramaturżka i autorka adaptacji Małgorzata Maciejewska. – Może dociera do nich pomału, że pracując ciężko i starając się postępować zgodnie z instrukcjami z nowoczesnych podręczników życia, postawili sobie zadanie nie do spełnienia. Dopada ich jednak myśl: czy indywidualne szczęście nie jest kolejnym produktem do sprzedaży?

Z tymi pytaniami zmagają się bohaterowie kreowani przez wybitny zespół aktorski. Ukazują oni złożoność i dynamikę współczesnych związków. Spektakl Minkowskiej to czuła wiwisekcja – daleka od moralizowania, bliska emocjonalnej prawdzie.

Eve Adams

– queerowa herstoria na scenie narodowej

Z kolei „Nieustraszona miłość Eve Adams" w reżyserii Olgi Ciężkowskiej przynosi na scenę postać realną, a zarazem symboliczną – Eve Adams, czyli Chawę Złoczewer z Mławy, polsko-żydowską imigrantkę, anarchistkę i właścicielkę legendarnej nowojorskiej herbaciarni, autorkę jednej z pierwszych otwarcie lesbijskich książek w USA. Ten spektakl to więcej niż biografia – to queerowa herstoria, performatywna opowieść o wykluczeniu, miłości, migracji i walce o własną tożsamość.

Ciężkowska konstruuje przestrzeń, w której fakt miesza się z wyobraźnią, a dokument z gestem performatywnym. „Nieustraszona miłość…" tworzy na podstawie życia Adams rodzaj emocjonalnego archiwum – zapisu obecności i nieobecności, czułego, choć niepozbawionego gniewu dialogu z przeszłością.

To spektakl, który mówi o przemilczanej historii kobiet nieheteronormatywnych, o języku oporu i potrzebie bycia widzianą. Przede wszystkim jednak jest to teatralny hołd dla wszystkich, którzy – jak Eve Adams – musieli zapłacić wysoką cenę za bycie sobą.

Nowe otwarcie

– sezon pod znakiem dialogu, manifestu i różnorodności

Spektakle tego sezonu w Narodowym Starym Teatrze ukazują różnorodność estetyk i tematów: od artystycznego manifestu, przez intymną analizę relacji, po queerową biografię – każdy spektakl oferuje unikalne spojrzenie na współczesność. Te propozycje mają za zadanie pokazać, że teatr nie musi być ani pomnikiem, ani przytułkiem. Może być za to miejscem żywego, nie zawsze wygodnego dialogu i przestrzenią uważnej analizy tego, co wyparte, niewygodne, niewypowiedziane.

Sezon zakończy się pokazem tegorocznych premier – to symboliczne domknięcie pewnego etapu w historii Starego Teatru, który przesuwa wektor ciężkości od „świętości" i wkracza w erę krytycznego teatru wspólnotowego.

ZOBACZ REPERTUAR
I KUP BILET NA
WWW.STARY.PL
LUB NA

NARODOWY
STARY TEATR
IM. HELENY MODRZEJEWSKIEJ
W KRAKOWIE

MATERIAŁ PARTNERA



ADAM GOLEC / ZKNW X2

Wawel inaczej

ANDRZEJ BETLEJ, DYREKTOR ZAMKU KRÓLEWSKIEGO NA WAWELU:

Nasza publiczność nie musi oglądać wciąż tego samego. Znajdujemy sposoby na dotarcie do osób, które do tej pory tylko raz czy dwa razy w życiu były na Zamku.

PIOTR KOSIEWSKI: Niedawno na Wawelu otwarto wystawę Łukasza Stokłosy. Dlaczego w rezydencji królewskiej pokazywać dzieła niespełna 40-letniego malarza?

ANDRZEJ BETLEJ: Zamek jest muzeum-rezydencją. Pomnikiem historii i miejscem szczególnym dla naszego dziedzictwa. To wszystko wielkie słowa, ale trzeba o tej szczególnej roli Wawelu nieustannie przypominać. Jest to też jednak muzeum, które posiada bogate zbiory sztuki dawnej. A współczesna twórczość może stać się dla nich rodzajem kontrapunktu...

...lub komentarza.

Sztuka współczesna mówi o tych samych kwestiach, co sztuka dawna, ale dzisiejszym językiem. Jej pokazywanie na Wawelu nie jest zresztą nową ideą. Za czasów prof. Jerzego Szabłowskiego, kierującego muzeum od 1952 r. przez blisko 40. lat, odbywały się tu wystawy pokazujące Wawel we współczesnym malarstwie i grafice współczesnej.

Jego następca, prof. Jan Ostrowski, zorganizował wystawę prac Edwarda Dwurnika. Jednak – i to jest rzeczywiście nowość – tym razem pokazujemy aktualnie powstającą twórczość we wnętrzach zamkowych: w reprezentacyjnych pokojach drugiego piętra. Chcemy w ten sposób podkreślić, że sztuka, dawna czy współczesna, tak naprawdę jest jedna.

Jest jeszcze jeden ważny aspekt: poprzez tę twórczość chcemy przyciągnąć nową publiczność, pokazując, że Wawel, jak mówi inny współczesny artysta, Marcin Maciejowski, jest „żywym" pretekstem i powodem, rezonuje z otaczającą nas rzeczywistością.

Jednocześnie pokazujecie twórczość osadzoną głęboko w przeszłości, nie tylko sztuki.

Obrazy Łukasza Stokłosy są dziełami wyjątkowymi. Pokazują bardzo dobry warsztat malarski, a jednocześnie odnoszą





Obok i po lewej: wystawa „Elegie. Łukasz Stokłosa. Malarstwo", Zamek Królewski na Wawelu

się do historii monarchii w nowożytnej Europie. Opowiadają o niej poprzez przedmioty czy miejsca związane z dawnymi władcami. W sposób niezwykły: elegijny. To obrazy przeznaczone do kontemplacji.

Wspomniał Pan o przyciągnięciu nowej publiczności. W ubiegłym roku Zamek zwiedziła rekordowa liczba ponad 3 mln osób. Czy zwiększanie publiczności nie grozi zabytkowi oraz zgromadzonym w nim dziełom sztuki?

Od dwóch-trzech lat bardzo starannie monitorujemy obecność turystów na Wzgórzu i w samym Zamku. Wiemy, kiedy przychodzą i gdzie przebywają. Ile czasu u nas spędzają. Dlatego mamy wiedzę pozwalającą odpowiedzialnie powiedzieć, gdzie i kiedy możemy pozwolić sobie na przyjęcie większej, a kiedy mniejszej liczby osób, by móc spełnić wszystkie wymagania związane z wymogami konserwatorskimi, przepisami BHP etc.

Wawel, ale też cały Kraków musi sobie poradzić z problemem masowej turystyki. Zdajemy sobie sprawę, że obecnie nie jesteśmy w stanie zagospodarować czasu wszystkich osób chcących nas odwiedzić. Dlatego mocno rozbudowujemy wystawy stałe, tworząc nowe przestrzenie i tym samym dać zwiedzającym więcej możliwości.

I zerwać z tradycją muzeum, które zwiedza się raz, najwyżej dwa razy w życiu?

Staramy się zaoferować odbiorcom, zwłaszcza mieszkającym lub studiującym w Krakowie, nowe doznania muzealne. Temu służą wystawy czasowe, dyskusje czy festiwale. Bardzo się cieszę, słysząc od dawno niewidzianych osób, że po 30 latach ponownie byli na Wawelu. Mówią mi: zrobiliście fajne rzeczy, to coś całkowicie nowego i angażującego.

Muszę podkreślić, że te zmiany to zasługa całego zespołu pracującego w muzeum. To wyjątkowi specjaliści. Doskonale znają zbiory, a jednocześnie potrafią znaleźć sposoby na dopełnienie tego, co pokazujemy w zamkowych salach. Sztuka współczesna daje tu ogromne możliwości, które zaczęliśmy, ostrożnie, wykorzystywać.

Zorganizowaną w 2021 r. wielką wystawę „Wszystkie arrasy króla" otwierał obraz Marcina Maciejowskiego oraz instalacja wideo Mirosława Bałki, a także jego artystyczna interwencja w architektoniczną przestrzeń dziedzińca arkadowego. W 2023 r. na zewnętrznym dziedzińcu Zamku ustawiliśmy wielką instalację Kingi Nowak „Wyspia", zainspirowaną twórczością Stanisława Wyspiańskiego. Była ona nieoczywistą zapowiedzią otwartej w kolejnym roku wystawy autora „Wesela".

Wreszcie, zaczęliśmy wprowadzać współczesną twórczość – jako rodzaj interwencji – do historycznych wnętrz. Pojawiły się w nich obrazy Maciejowskiego i Stokłosy. Wszystkie te działania były rodzajem gry z widzem, ale tak naprawdę pozwały wprowadzać dodatkowe konteksty do tego, co pokazujemy na naszych stałych ekspozycjach.

Wawel należy do grupy kilku muzeów w Polsce, które mają zapewnioną bardzo liczną publiczność: ze względu na swoją historię, rangę i rozpoznawalność. Jakie funkcje dziś ma pełnić Wawel poza byciem narodowym pomnikiem, miejscem edukacji czy atrakcją turystyczną?

Chcemy, by był miejscem żyjącym. Oznacza to, że w programie wystawienniczym nie koncentrujemy się wyłącznie na jednym czy dwóch tematach, lecz znajdujemy sposoby – przez odpowiedni dobór problematyki na wystawach czasowych etc. – na dotarcie do osób, które do tej pory tylko raz czy dwa razy w życiu były na Zamku.

Dlaczego obok portretu Anny Jagiellonki nie zawiesić infantki Tadeusza Kantora? Oba dzieła reprezentują podobny sposób myślenia o sztuce. W ten sposób można pokazać jedność sztuki, mimo wszystkich jej odmienności.

Wiele muzeów, zwłaszcza historycznych, organizuje wystawy czasowe, które przez swą atrakcyjność, nazwiska artystów czy modę mają ↦





Powyżej i po lewej:
wystawa „Miasteczko wawelskie”,
Zamek Królewski na Wawelu

↦ **przede wszystkim przyciągnąć publiczność. Bez zwracania uwagi na tożsamość miejsca, jego przeszłość.**

Uważam, że można godzić obie potrzeby: zachować własną tożsamość i przyciągnąć odbiorców. Możemy pokazywać własną przeszłość, a jednocześnie mówić w sposób atrakcyjny i zrozumiały dla zwiedzających. Przygotowujemy teraz wystawę poświęconą Annie Jagiellonce. Chcemy pokazać w 2026 r. jej rolę historyczną jako kobiety, ale interpretować ją ze współczesnej perspektywy.

Nie ograniczamy się jednak do wystaw czasowych. Właśnie otwieramy ekspozycję stałą poświęconą wawelskiemu miasteczku. Na dziedzińcu przedzamkowym były kiedyś zabudowania, stały dwa kościoły, były ulice z kamienicami. Mieszkali tu dworzanie, bawiły się ich dzieci.

Chcemy opowiedzieć o tym zwyczajnym Wawelu – ludziach żyjących w cieniu Zamku, o których nikt wcześniej nie opowiadał. A jednym z elementów tej wystawy będzie praca Agaty Kus. Uzupełniamy historyczną opowieść o sztukę współczesną, bo ona może pomóc dzisiejszemu widzowi zrozumieć przeszłość, zachęca do stawiania pytań i odkrywania odpowiedzi. Nie chcę odwoływać się do popularnego storytellingu, ale wystawa jest udana, jeżeli potrafi o czymś dobrze opowiedzieć.

Agnieszka Morawińska, była dyrektorka Muzeum Narodowego w Warszawie, mówiła, że program muzeum narodowego musi być eklektyczny, bo tylko w ten sposób da możliwość oglądania siebie, swej przeszłości i teraźniejszości z różnych perspektyw. Wawel jest muzeum o randze narodowej i mam poczucie, że czasami lepiej, czasami gorzej, ale udaje się w ten sposób o sobie opowiadać.

A jaką publiczność Wawel chce przyciągnąć?

Nie ma jednego odbiorcy. Wawel jest miejscem otwartym, choć oczywiście tworzymy wystawy również dla sprofilowanych zwiedzających. Ze względu na charakterystykę naszych zbiorów jest to publiczność wykształcona, specjalistyczna, erudycyjna, której możemy pokazać większą złożoność historii i sztuki. To jedna grupa. Druga to osoby otwarte na nowe doznania, które chcą się czegoś dowiedzieć, nie mając wykształcenia z zakresu historii i historii sztuki. My nie uciekamy od naszego DNA. Nasze zbiory i ich historia nas definiują. Wszyscy wiedzą o tym, że na Wawelu jest szczerbiec, arrasy Zygmunta Augusta i głowy wawelskie. Możemy jednak opowiedzieć o ich znaczeniu, ale też sprawić, że odbiorcy będą nimi zachwyceni. Wawel daje takie możliwości.

Wydaliśmy właśnie niezwykły utwór rysunkowo-literacki Marcina Maciejowskiego. Jest to olbrzymia 300-stronicowa książka, będąca zapisem subiektywnego odbioru tego miejsca przez jednego z najbardziej znanych artystów sztuki współczesnej. Ten artbook pokazuje, jak Wawel rezonuje, jak różnie można na niego patrzeć. Nie tylko o zachwyt tu chodzi. Sztuka współczesna pomaga nam stale się uczyć.

Coraz częściej się mówi o starzeniu się publiczności muzeów poświęconych sztuce dawnej – z wyjątkiem miejsc, które są „obowiązkowe” na turystycznych listach. Młodzi częściej wybierają miejsca ze sztuką nowoczesną i współczesną.

Pamiętam rysunek Andrzeja Mleczki, na którym padają słowa skierowane do Kazimierza Wielkiego: „Zastałeś Polskę drewnianą, Kazik, i ja cię proszę, ty nic więcej nie kombinuj”. Zrozumiała jest pokusa, by wszystko pozostało „po staremu”.

Jeżeli jednak Wawel ma być miejscem łączącym, publiczność nie musi cały czas oglądać tego samego. Dlatego organizujemy wystawy, czasami nawet bardzo specjalistyczne, jak ubiegłoroczna, poświęcona koronacjom Sasów na Wawelu. To niewielki wycinek naszej historii, ale ta ekspozycja przyciągnęła publiczność.

Podobnie jak niedawna prezentacja prac Tadeusza Kuntzego, polskiego malarza działającego w Rzymie w 2. połowie XVIII wieku, znanego dziś przede wszystkim historykom sztuki. A jednak była oglądana. Dlaczego? Ponieważ my nie ograniczamy się do pokazywania obiektów, ale za ich pomocą opowiadamy historie.

Patrzymy na Zamek Wawelski jako na obiekt z przeszłości. Tymczasem ten, który znamy, jest dziełem dość nowym. Mam na myśli nie tylko wnętrza, bo nawet jedno z jego skrzydeł jest wynikiem przebudowy z czasów okupacji niemieckiej, a ostateczny kształt uzyskało dopiero w tym stuleciu.

Od czasu opuszczenia Wzgórza przez wojska austriackie w 1911 r. kolejne pokolenia starały się odtworzyć dawną rzeczywistość, ale ona jest jedynie przybliżonym obrazem tego, jak Wawel mógł wyglądać za czasów I Rzeczypospolitej. Ze Złotego Wieku Wawelu pozostały nam tylko niektóre obiekty z królewskiego skarbca, na czele ze szczerbcem, głowy wawelskie i oczywiście arrasy Zygmunta Augusta.

I w tym odtwarzaniu przeszłości w dwudziestoleciu wojennym ważną rolę, o czym się dziś rzadko pamięta, odegrała sztuka współczesna.

Tak, stropy wawelskie to przegląd najlepszego malarstwa tego czasu. Malowidła do nich wykonali m.in. Felicjan Szczęsny Kowarski, Józef Pankiewicz czy Zygmunt Waliszewski. Wiele rozwiązań architektonicznych w Zamku to kreacje Adolfa Szyszko-Bohusza z okresu przedwojennego.

W zbiorach wawelskich, o czym niewiele osób wie, jest także polska sztuka powojenna.

Ten zbiór ma ciekawą historię. Na Wawelu funkcjonowała instytucja Kierownictwa Odbudowy Zamku Królewskiego, która opiekowała się szeregiem obiektów, w tym zamkiem w Suchej Beskidzkiej. Prof. Szabłowski chciał w nim utworzyć galerię polskiego malarstwa. Na jej potrzeby nabył prace m.in. Janiny Kraupe-Świderskiej, Alfreda Lenicy czy Henryka Stażewskiego. W ten sposób powstała niewielka, ale podręcznikowa kolekcja naszej sztuki 2. połowy XX wieku.

W naszych zbiorach są też grafiki będące pokłosiem wspomnianych już wystaw prof. Szabłowskiego. Mamy meble wykonane dla Wawelu w latach 60. według projektu prof. Mariana Sigmunda. To bardzo cenny przykład designu tego czasu. Wreszcie, nabyte po wystawach obrazy Edwarda Dwurnika, Marcina Maciejowskiego i Łukasza Stokłosy.

W ostatnim kwartale roku planowana jest wystawa dzieł z tego zbioru.

Tak. I będzie miała prowokacyjny tytuł: „A może by coś innego?”. Ekspozycję kończyć będzie sondaż, w którym zapytamy publiczność, czy Wawel ma zbierać sztukę współczesną.

Wcześniej odbędzie się podwójna wystawa Magdaleny Abakanowicz. Od kwietnia jej rzeźby można oglądać w ogrodach zamkowych. Jesienią abakany zostaną zawieszone w zamkowych salach.

Co najważniejsze, pokażemy je obok wawelskich arrasów. Abakanowicz świadomie odwoływała się do tradycji dawnych wielkich tapiserii. Tymczasem nikt nie pokazał dotąd jej dzieł w tym kontekście. Znaczący jest też tytuł wystawy, będący cytatem z artystki: „Bez reguł”. Rzeźbiarka powiedziała w jednym z wywiadów: „Nie lubię reguł. Są wrogami wyobraźni”. Ależ otwierające stwierdzenie, prawda? Te wystawy są dla nas jak eksperyment, ale tylko w ten sposób będziemy mogli nadać Wawelowi nowe znaczenia. Dla dobra tego miejsca.

© Rozmawiał PIOTR KOSIEWSKI

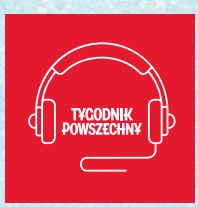


JEREMI DOBRZAŃSKI / ZKNW X3

Prof. Andrzej Betlej jest historykiem sztuki. Dyrektor Zamku Królewskiego na Wawelu, wykładowca w Instytucie Historii Sztuki Uniwersytetu Jagiellońskiego. W latach 2016-2019 dyrektor Muzeum Narodowego w Krakowie.

Nasze podkasty się rozwijają!

Dotychczasowe cykle tematyczne dostały własne kanały. W aplikacji, w której słuchasz podkastów, koniecznie odszukaj i zasubskrybuj:



PODKAST TYGODNIKA POWSZECHNEGO



TYGODNIK POWSZECHNY KULTURA



TYGODNIK POWSZECHNY NAUKA



STRONA ŚWIATA JAGIELSKI & STORY



SZKOŁA UCZUĆ

Szczegółową ramówkę znajdziesz na stronie TygodnikPowszechny.pl/Podkast

Weź, słuchaj!

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY



Kantor, ślady obecności

„Jeszcze jest dziś” to spektakl zbudowany z resztek, śladów i fragmentów, których pochodzenia nie jesteśmy pewni, a istnienia nie możemy już sprawdzić.

GRZEGORZ MART / MATERIAŁY PRASOWE

Spektakl „Jeszcze jest dziś”, reż. Bogdan Renczyński. Cricoteka

W roku jubileuszowym Tadeusza Kantora Cricoteka prezentuje spektakl szczególny. „Jeszcze jest dziś” w reżyserii Bogdana Renczyńskiego nie jest ani rekonstrukcją ostatniego dzieła artysty, ani próbą jego kontynuacji. To rodzaj teatralnego przypomnienia, które nie chce niczego zamykać – przeciwnie, otwiera przestrzeń dla pytań, które nie padły, i gestów, które nie zostały wykonane. Nie ma w tym nostalgii – jest raczej uważność, obserwacja tego, co zostało – i co ewentualnie może się jeszcze wydarzyć.

Punktem wyjścia był spektakl „Dziś są moje urodziny” – ostatnia, niedokończona praca Kantora, przerwana przez jego śmierć. Zespół aktorski – wyłoniony z ponad stu zgłoszeń – przez wiele miesięcy pracował pod kierunkiem Renczyńskiego, wieloletniego aktora Teatru Cricot 2. Próby poprzedził cykl otwartych seminariów, których tematem była pamięć, postpamięć i dramaturgia resztek. Z tej pracy wyłonił się spektakl, który nie opowiada wprost o Kantorze, ale też nie przestaje być z nim w dialogu.

Scena wypełniona jest obecnością niepewną – gesty powtarzane jak echo, słowa padające w próżnię, ciała poruszające się na granicy automatyzmu. Aktorzy i aktorki (Małgorzata Białek, Daria Dudek, Marta Grygiel, Julita Golińska-Setlak, Robert Guła, Julia Kolanek, Emilia Kubiak, Julia Sierakowska, Maksymilian Wicher, Natalia Zmarzły, Wojciech Żak) grają jakby już po wszystkim – nie w emocjonalnym rozedrganiu, ale w wyciszeniu, w stanie trwania mimo wszystko. To teatr „po Kantorze” i „w Kantorze” zarazem: świadomy swoich uwarunkowań, budujący z resztek, śladów, fragmentów, których pochodzenia nie jesteśmy pewni, a istnienia nie możemy już sprawdzić.

Ten spektakl – przejmujący właśnie przez swoją oszczędność – przynosi pytania, które Kantor zadawał przez całe życie: czy przeszłość może do nas powrócić, czy można odziedziczyć nie tylko ciało, ale i traumę, czy teatr może być miejscem ocalenia, jeśli sam składa się z ruin. Sceniczna obecność aktorów balansuje na granicy życia i symulacji, bycia sobą i bycia cieniem. Reżyser doskonale uchwycił ten stan zawieszenia – coś pomiędzy liturgią a odprawą dusz. To rodzaj teatralnej stazy, w której każda czynność staje się gestem ostatecznym, choć nie wiadomo, co dokładnie kończy.

„Jeszcze jest dziś” wpisuje się w kantorowską tradycję gry na granicy aktorstwa i obecności – ciało aktora staje się nośnikiem pamięci, wehikułem nieczytelnych komunikatów, zapętlonych wspomnień.

I choć sam Kantor uznał swoje ostatnie dzieło za „próbę osobistego testamentu”, spektakl Cricoteki nie traktuje go jak zamknięcia. Raczej jako pytanie: czy można odziedziczyć spektakl niedokończony? Czy teatr może istnieć bez źródła? No i najważniejsze: czego jeszcze dziś możemy doświadczyć dzięki Kantorowi?

©℗ MICHAŁ SOWIŃSKI

cricoteka

Spektakl będzie można zobaczyć w Cricotece (Nadwiślańska 2/4, Kraków) podczas tegorocznej Nocy Teatrów 14 czerwca.

Produkcja Cricoteki powstała w ramach projektu „Dziś są moje urodziny – poszukiwania”, dofinansowanego ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego z Funduszu Promocji Kultury. Jest jednym z wydarzeń programu „110/70/50/35 – Rok jubileuszowy Tadeusza Kantora”, objętego honorowym patronatem Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego, w ramach którego odbywają się też m.in. wystawy „(Nie)Umarła klasa” i „Dani Karavan. Napięcia fantomowe” oraz nowa ekspozycja stała „Tadeusz Kantor. Terapia widzeń” (od 16 lipca).

Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego

MATERIAŁ PROMOCYJNY

Festiwal Moniuszki na początek nowego sezonu

Teatr Wielki w Poznaniu zaprasza na kolejną edycję wydarzenia, podczas którego – obok dzieł patrona poznańskiej sceny – usłyszymy utwory Noskowskiego i Szymanowskiego. Przed nami premiera, koncertowe wykonania oper, kameralny wieczór pieśni, projekty dla najmłodszych. Przedsprzedaż biletów na Festiwal Moniuszki 03 rusza 9 maja.

Festiwal otworzy koncertowe wykonanie opery **„Wyrok”** Zygmunta Noskowskiego. Fabuła dramatu dotyka werystycznego toposu zdrady, jednak tutaj aspekt niewierności wykracza poza sferę osobistej tragedii małżeńskiej: zostaje wpisany w kontekst greckich walk o niepodległość. W partii Angelosa wystąpi Szymon Mechliński, jeden z najbardziej wszechstronnych barytonów młodego pokolenia, niestrudzony badacz spuścizny artystycznej polskich kompozytorów XIX i XX w. W roli Kosty usłyszymy Piotra Buszewskiego, który z sukcesem występuje w nowojorskiej Metropolitan Opera, Royal Opera House w Londynie czy Staatsoper Hamburg. Solistów, chór i orkiestrę Teatru Wielkiego w Poznaniu poprowadzi Marta Kluczyńska (27 IX).

Festiwal będzie okazją do rozsmakowania się w kameralistyce wokalnej. Pieśni Moniuszki, jego uczniów oraz kontynuatorów artystycznej myśli zabrzmią podczas **recitalu Zuzanny Nalewajek** (mezzosopran) – absolwentki UMFC w Warszawie, laureatki wielu nagród, w tym nagrody specjalnej na XI Konkursie Moniuszkowskim w Warszawie, I nagrody na XII Międzynarodowym Konkursie Wokalnym w Estonii i Nagrody Muzycznej im. Jana Kiepury w kategorii „najlepsza śpiewaczka” (2024). Artystce towarzyszyć będzie na fortepianie Michał Biel – jeden z najbardziej uznanych pianistów-kameralistów młodego pokolenia, absolwent Akademii Muzycznej w Katowicach oraz słynnej Juilliard School w Nowym Jorku (5 X). Głównym wydarzeniem festiwalu będzie premiera opery **„Hrabina”** Stanisława Moniuszki. Inscenizację spektaklu powierzono Karolinie Sofulak, reżyserce, która odważnie i bezkompromisowo szuka uniwersalnych treści w dziełach operowych. Wizję Sofulak dopełnią: Katarzyna Tomala-Jedynak (kierownictwo muzyczne), Dorota Karolczak (dekoracje), Ilona Binarsch (kostiumy) oraz soliści, chór i orkiestra Teatru Wielkiego w Poznaniu. Podtytuł spektaklu brzmi „Sen Niepodległej Pol(s)ki”.



ILUSTRACJA: KASIA AUGUSTYNIAK / ARCHIWUM TEATRU WIELKIEGO W POZNANIU

Czy zatem operę patrona poznańskiego Teatru odczytamy inaczej niż tylko jako satyryczny komentarz zachowań społeczeństwa przełomu XVIII i XIX w., które poddawało się zagranicznym modom i obyczajom? Czy odnajdziemy odpowiedź na pytanie, czym jest tożsamość narodowa? Oraz jaka w jej tworzeniu była (i jest) rola kobiet? Przekonamy się już niebawem (10 X – premiera; 11, 12, 14-17 X). Dla najmłodszych odbiorców zaplanowano projekt **„najnajNOSKOWSKI”**. Usłyszymy pieśni do słów Marii Konopnickiej, które pobudzą wyobraźnię, otworzą dzieci na świat dźwięków i zachęcą do wspólnego nucenia „Kukułeczki” czy słynnej frazy „Hu! hu! ha! Nasza zima zła!” (18-19 X). W ramach festiwalowych spotkań z muzyką zapraszamy również na projekt gościnny **„Oj, Halino!”**, jeden z cyklu **„Speaking Concerts”**, który zostanie zaprezentowany przez Orkiestrę Collegium F pod dyrekcją Marcina Sompolińskiego. Stanisław Moniuszko był postacią intrygującą i niezwykle barwną, o czym po raz kolejny przypomni dyrygent, opowiadając m.in. o tym, dlaczego nie pisał po francusku i z jakiego powodu tak lubił szczyty gór (19 X). Finałowym akordem Festiwalu Moniuszki 03 będzie koncertowe wykonanie jednej z najważniejszych oper XX w. – **„Król Roger”** Karola Szymanowskiego. Muzyczne misterium, inspirowane antykiem i orientem, narodziło się ze studiów kompozytora nad mitem dionizyjskim i lekturą dzieł Friedricha Nietzschego. Bogactwo muzycznego pejzażu, głęboka sensualność, połączenie wątków wielu kultur w zachwycający sposób oddają tęsknotę człowieka za Bogiem i inspirują do coraz to nowych interpretacji. W tytułowej partii wystąpi Szymon Mechliński, Roksaną będzie Ruslana Koval, a Pasterzem – Andrzej Lampert. Solistów, chór i orkiestrę Teatru Wielkiego w Poznaniu poprowadzi maestro Jacek Kaspszyk (8 XI). Będzie nowatorsko, i dla najmłodszych, i dla tych, którzy ciekawi są koncertowych odsłon dzieł operowych, oraz tych, którym szczególnie bliska jest kameralistyka wokalna i nietuzinkowe – z przymrużeniem oka – podejście do muzyki. Z pewnością nie zabraknie inspiracji do zachwytu nad twórczością polskich kompozytorów.

opera.poznan.pl

MATERIAŁ PROMOCYJNY

ORGANIZATORZY TEATRU

WIELKOPOLSKA | INSTYTUCJA KULTURY SAMORZĄDU WOJEWÓDZTWA WIELKOPOLSKIEGO

Dofinansowano ze środków Samorządu Województwa Wielkopolskiego

Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego

MECENAS TEATRU

Enea

TEATR WIELKI IM. STANISŁAWA MONIUSZKI W POZNANIU



RUEDIGER GLATZ / MATERIAŁY PRASOWE

Z Orłowa do Awinionu

DARIUSZ KOSIŃSKI

Ostatnie głośne premiery, a także duże festiwale polskie i zagraniczne. Mimo że letnie miesiące to dla teatru okres przerwy, jego wielbicielki i wielbiciele nie mogą narzekać na brak atrakcji.

Lato w teatrze? Publiczność wyjeżdża przecież z miast, pogoda nie sprzyja siedzeniu w zamkniętych salach, a konkurencyjne widowiska natury i życia rozrywkowego odciągają uwagę od kompozycji dramatycznych. Byłoby jednak błędem uznanie, że wraz ze wzrostem temperatury osoby za-

Powyżej: Tilda Swinton w „Embodying Pasolini”; poniżej: „Święto wiosny” grupy Dewey Dell – pokazy na festiwalu Malta w Poznaniu.



JOHN NGUYEN / MATERIAŁY PRASOWE

interesowane sztukami przedstawieniowymi zostają skazane na szukanie atrakcji w teatralnych serwisach VoD (a można tam znaleźć naprawdę perełki). Pod koniec maja i w czerwcu następuje zamykający sezon wysyp atrakcyjnych premier.

W wakacje niektóre teatry (**gdańskie Wybrzeże**, **warszawska Polonia** czy **zakopiański Witkacy**) grają dla pojawiającej się turystycznej publiczności, a niektóre (jak **Teatr Miejski w Gdyni**) ruszają nawet na poszukiwanie widzów do miejsc letnich zgromadzeń (na plażę w Orłowie). Na dodatek zaczyna się czas festiwali, których atrakcje mogą zawrócić w głowie.

Premierowe finały

Nie wszystkie premierowe realizacje zapowiadane na miesiąc zamykający sezon mają już swoje dokładne daty, może też się zdarzyć (co wiadomo z praktyki lat ubiegłych), że plany zostaną zmienione i pozycje ogłoszone jako ostatnie przedstawienia sezonu 2024/2025 okażą się jednak pierwszymi kolejnego. Niemniej już teraz warto przejrzeć zapowiedzi, bo jest wśród nich kilka bardzo interesujących.

Zamykanie sezonu premierami rozpocznie się ostatniego dnia maja, kiedy to na dwóch krańcach Polski dojdzie do dwóch premier... angielskich. W **Teatrze Jaracza w Olsztynie** Weronika Szczawińska i Piotr Wawer junior zaprezentują autorski projekt „Wchodzi Duch". Tytuł i koncept odwołują się do pojawienia się Ducha ojca Hamleta z pierwszego aktu najsłynniejszej sztuki teatralnej świata. Ten szekspirowski punkt wyjścia zostanie wykorzystany do rozpracowania z zespołem aktorskim wszystkiego, co wiąże się z duchami przodków wchodzącymi w życie kolejnych pokoleń. Pomysł wydaje się bardzo nośny, a że przedstawienie powstaje w koprodukcji z **Gdańskim Teatrem Szekspirowskim**, to zapewne będzie je można latem obejrzeć nie tylko w Olsztynie.

Nie posiadając umiejętności bilokacji, będzie trzeba dokonać wyboru między postszekspirowskim Olsztynem a postaustenowską Legnicą. Tego samego 30 maja **Teatr Modrzejewskiej** zapowiada bowiem premierę adaptacji powieści Jane Austen „Opactwo Northanger" przygotowaną przez Zofię Gustowską. Jedyna nadzieja, że to atrakcyjne przedstawienie legnicka scena grać będzie intensywnie w czerwcu, pozwalając na jego zobaczenie jeszcze przed wakacjami.

Teatralny włóczykij podróżujący z jednego krańca kraju na drugi ośmiela się nawet zamarzyć, że „Opactwo" będzie w repertuarze w pierwszy weekend czerwca, bo wtedy wypad na Dolny Śląsk mógłby objąć nie tylko Legnicę, ale i Wałbrzych, gdzie w **Szaniawskim** zamykać będą bardzo intensywny i atrakcyjny sezon inscenizacją „Flatlandii, czyli Krainy płaszczaków" Edwina Abbotta w reżyserii Krzysztofa Garbaczewskiego (prem. 6 czerwca).

W jeden weekend nie uda się niestety obejrzeć pozostałych wieńczących sezon premier zapowiadanych przez teatry działające w zachodniej części kraju. **Wrocławski Teatr Pantomimy** 31 maja zaprasza na premierę nowego projektu Cezarego Tomaszewskiego pod roboczym tytułem „French Open", **Teatr Kochanowskiego w Opolu** 13 czerwca na „Przedwiośnie" Stefana Żeromskiego w reżyserii Piotra Ratajczaka, a **Teatr Zagłębia w Sosnowcu** na „Ziemię obiecaną" według Władysława Reymonta wystawianą przez Maję Kleczewską w przestrzeni przedwojennego Banku Polskiego (prem. 14 czerwca).

Na brak atrakcji nie będą też narzekać widzowie z dwóch teatralnych stolic kraju: Krakowa i Warszawy. W tym ↦

Przedstawienie w ramach 36. Festiwalu Teatrów Ulicznych „Ulica". Kraków, 9 lipca 2023 r.



JACEK TARAN



MONIKA STĘPIEŃ / MATERIAŁY PRASOWE

„Wchodzi Duch", reż. Weronika Szczawińska i Piotr Wawer junior, Teatr Jaracza w Olsztynie



KEETJA ALLARD / MATERIAŁY PRASOWE

„Symphony of Rats" wg Richarda Foremana, reż. Elizabeth LeCompte i Kate Valk, The Wooster Group – pokazy na weneckim Biennale Teatro.

↦ pierwszym **Narodowy Stary Teatr** zamknie sezon nowej dyrekcji frapującą propozycją jednej z najważniejszych polskich artystek współczesnych Katarzyny Kozyry, która przygotowuje „Rewizję procesu Jezusa" (prem. 7 czerwca), **Teatr im. Słowackiego** zaprosi na premierę „Pokoju" Szczepana Twardocha w reżyserii autora i Roberta Talarczyka (16 czerwca), a **Teatr Ludowy** w ostatnich dniach czerwca przedpremierowo pokaże „Tramwaj zwany pożądaniem" Tennessy'ego Williamsa w reżyserii Darii Kopiec.

W Warszawie Anna Smolar przygotowuje w **Teatrze Powszechnym** kolejną po „Melodramacie" sceniczną wersję znanego polskiego filmu – tym razem „Kobiety samotnej" Agnieszki Holland (koprodukcja z Malta Festival, prem. 17 czerwca), a Michał Borczuch zaprezentuje w **Nowym Teatrze** swoją inscenizację „Nagle, zeszłego lata" wspomnianego już Tennessy'ego Williamsa. Osoby poszukujące działań artystycznych wyłamujących się z ram tego, co zwykliśmy nazywać teatrem, z pewnością stawią się zaś 13 czerwca w **Studio**, by zobaczyć nową, pierwszą po długiej nieobecności w Warszawie propozycję Anny Karasińskiej.

Polskie lato festiwalowe

Wszystkie premiery końca maja i początku czerwca mają bardzo poważną konkurencję w postaci legendarnego festiwalu teatralnego – **toruńskiego Kontaktu** (30 maja – 6 czerwca). Jego flagową atrakcją jest inscenizacja „Samotności pól bawełnianych" Bernarda-Marie Koltèsa z udziałem Johna Malkovicha, któremu w tej łotewsko-niemieckiej produkcji reżyserowanej przez Timofeya Kulyabina partneruje Ingeborga Dapkūnaitė.

Dla miłośników nowoczesnego teatru równie wielkimi atrakcjami jak występ filmowego gwiazdora mogą być: nowe przedstawienie Alvisa Hermanisa („Czarny łabędź" według „Idioty" Dostojewskiego), radykalny kobiecy performans Florentiny Holzinger „Ofelia ma talent", ukraińska inscenizacja „Kaliguli" Camusa, rumuńska wersja „Teorematu" Pasoliniego, a także tak odmienne polskie propozycje, jak z jednej strony „Zemsta" Fredry w reżyserii Michała Zadary, a z drugiej „Susan Sontag" Agnieszki Jakimiak i Mateusza Atmana.

Po intensywnym tygodniu w Toruniu i chwili oddechu trzeba ruszyć na równie intensywny tydzień do Poznania. **Malta Festival** wraca bowiem w tym roku do tradycyjnego terminu czerwcowego (20-28). Tu także flagowym wydarzeniem będzie występ postaci znanej z kina – wspaniałej aktorki Tildy Swinton w projekcie „Embodying Pasolini", będącym hołdem dla włoskiego reżysera. I tu też występ filmowej gwiazdy to z pewnością nie jedyny powód przyjazdu.

Być może artystycznie bardziej frapujące będą pokazy „Święta wiosny" zrealizowanego przez włoską (wbrew nazwie) grupę Dewey Dell założoną przez rodzeństwo Castelluccich czy plenerowe, choć radykalnie odmienne prezentacje: eksperymentalno-dźwiękowa „ULTRAFICCIÓN nr. 1 / Odłamki

czasu" katalońskiego zespołu El Conde de Torrefiel i cyrkowo-akrobatyczne „RoZéo" z Francji. Jeśli dodać do tego zapowiedzi prapremiery opery „Głos potwora", inspirowanej wspomnieniami Sallego Perela i głośnym filmem Agnieszki Holland „Europa, Europa", oraz cały ciąg atrakcji koncertowych, to tydzień maltański stanie się żelaznym punktem początku artystycznych (nie) wakacji.

Ich kontynuacją dla miłośników teatru ulicznego z pewnością będzie jeden z odbywających się na początku lipca festiwali tego typu przedstawień: **krakowska Ulica** (4-6) lub **gdańska Feta** (10-13). Natomiast kulminacja tej (nie)kanikuły przypadnie w dniach 24 lipca – 3 sierpnia, gdy w Gdańsku odbędzie się **29. Festiwal Szekspirowski**. Jego wszystkie atrakcje nie są jeszcze znane, ale pojawiające się już zapowiedzi koprodukcji oraz projekty wybrane w ramach konkursu Nowego Yoricka („Koriolan" Jadwigi Klaty, „Poskromienie złośnicy" Ewy Platt i „Ryszard III. Tron we krwi" Patrycji Wysokińskiej) tylko zaostrzają apetyt na szekspirowską ucztę.



GORDON WELTERS / LAIF / MATERIAŁY PRASOWE



GIO_KARDAVA / MATERIAŁY PRASOWE

Powyżej: „Ofelia ma talent", reż. Florentina Holzinger; poniżej: John Malkovich w „Samotności pól bawełnianych", reż. Timofey Kulyabin – pokazy na festiwalu Kontakt w Toruniu.

Europejski nadmiar

Dla tych, którym jeszcze mało lub którym wakacje kojarzą się raczej z podróżami po Europie, dodać trzeba garść informacji o europejskich festiwalach teatralnych. Tych jest naprawdę mnóstwo.

Sezon otwiera w tym roku weneckie **Biennale Teatro** (31 maja – 15 czerwca), którego dyrektorem artystycznym jest Willem Dafoe (będzie go też można zobaczyć na scenie). Tegoroczna edycja może być szczególnie interesująca dla Polaków, bo stanowi rodzaj podsumowania półwiecza eksperymentalnego teatru, którego najważniejszym twórcą był Jerzy Grotowski.

Biennale powraca do edycji z roku 1975, której głównym gościem był Teatr Laboratorium i która miała właśnie z tego względu wielkie znaczenie dla nowego teatru we Włoszech. Do udziału i prezentacji swej obecnej pracy zaproszeni zostali zarówno dawni współpracownicy Grotowskiego (Eugenio Barba, Thomas Richards), jak i osoby, dla twórczości ↦

↦ których był ważną postacią (Elizabeth LeCompte, Richard Foreman, Romeo Castellucci). Będą też gwiazdy współczesnego teatru (Milo Rau, Thomas Ostermeier, Thom Luz). Co znamienne, nie będzie nikogo z Polski.

Gorące nazwiska, które przed chwilą padły: Rau, Ostermeier, wraz z innymi dobrze znanymi także polskim widzom (Christopher Marthaler) oraz całą serią niepowtarzalnych przedstawień, z pewnością sprawią, że jak co roku tysiące teatromanów ruszą w lipcu (5-26) do **Awinionu** na chyba najbardziej prestiżowy europejski festiwal teatralny. Jego dyrektor artystyczny, cieszący się międzynarodowym uznaniem portugalski reżyser Tiago Rodrigues, ogłosił na początku kwietnia niezwykle atrakcyjny program mocno odnoszący się i do współczesnych konfliktów, i do poszukiwania przez teatr najbardziej fortunnych sposobów reagowania na nie.

Ogłoszono też oficjalne programy dwóch innych wielkich festiwali, dla których teatr nie stanowi jedynego czy nawet głównego nurtu, ale które zawsze przynoszą jego miłośnikom podnoszące ciśnienie atrakcje. I tak w programie **festiwalu w Edynburgu** (1-24 sierpnia) uwagę przykuwają: przedstawienie „Faustus in Africa!" wyreżyserowane przez Williama Kentridge i łączące teatr animantów z animacjami filmowymi tego wyjątkowego artysty, „radykalne przepowiedzenie" Szekspirowskiego „Jak wam się podoba" przez natywnego kanadyjskiego aktora Cliffa Cardinala, czy powstały we współpracy dwojga wielkich: choreografki Crystal Pite i reżysera Simona McBurneya projekt „Figures in Extinction".

> Nawet jeśli zobaczyć tylko część tego wszystkiego, to jedynym spektaklem, na jaki potem przyjdzie siła i ochota, będzie kojący widok fal rozbijających się w jednostajnym rytmie o jakiś słoneczny brzeg.

Z kolei w programie **festiwalu w Salzburgu** poza niezwykłymi projektami operowymi, wśród których szczególne miejsce zajmuje „Hotel Metamorphosis" Barry'ego Kosky'ego, łączący poezję Owidiusza i muzykę Vivaldiego (wśród wykonawców Cecilia Bartoli), uwagę przyciągają adaptacja „Zamieci" Władimira Sorokina w reżyserii Kiriłła Sieriebriennikowa oraz inscenizacja antywojennych „Ostatnich dni ludzkości" Karla Krausa w reżyserii Dušana Davida Pařízka.

© DARIUSZ KOSIŃSKI

REKLAMA

ŁÓDŹ DESIGN FESTIVAL 20-25.05 2025

ŁDF ŁÓDŹ DESIGN FESTIVAL | lodzdesign.com

Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego
NARODOWE CENTRUM KULTURY
Wydarzenie kulturalne polskiej prezydencji w Radzie UE
Cultural event of the Polish presidency of the Council of the EU
Événement culturel de la présidence polonaise du Conseil de l'UE
Współorganizator / Co-organiser: ŁÓDZKIE CENTRUM WYDARZEŃ

Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego w ramach Programu kulturalnego polskiej prezydencji w Radzie Unii Europejskiej 2025

Partnerzy: / Partners: World Design Weeks, Centrum Rozwoju Przemysłów Kreatywnych, LAB 60+
Patroni Medialni / Media Patrons: Wnętrze, Weranda, ELLE DECORATION, ARCHITEKTURA, MAD White, Biznes Meble.pl, DOM wprost, URZĄDZAMY., DESIGN/DOC

W świątyni pieniądza

Na opowieść o bezwzględnym kapitalizmie, upadku wartości i zatraceniu człowieczeństwa w pogoni za zyskiem, czyli „Ziemię obiecaną" w reżyserii Mai Kleczewskiej, zaprasza Teatr Zagłębia w Sosnowcu.

TEATR ZAGŁĘBIA

Przełom XIX i XX w. to gwałtowny rozwój przemysłu, narodziny drapieżnego kapitalizmu i zmierzch dawnego świata. Akcja powieści Władysława Reymonta toczy się w szybko rosnącej wówczas Łodzi, ale równie dobrze – przekonują twórcy spektaklu – mogłaby dotyczyć Sosnowca. Rozwój obu miast to właściwie historie równoległe, a Łódź i Sosnowiec są bardzo do siebie podobne.

„Umieszczenie akcji »Ziemi obiecanej« w Sosnowcu było dla nas w pewnym sensie oczywiste. Tekst Reymonta wydał nam się niezwykle aktualny również dlatego, że obecnie mamy do czynienia z podobną sytuacją społeczno-polityczną. Czasy Reymonta były burzliwe, pełne konfliktów, napięć, z majaczącą perspektywą zbliżającej się wojny. Tamten świat się szybko zmieniał, ale i nasz, ponad sto lat później, także przechodzi zmiany. Niektóre diagnozy i intuicje Reymonta porażają swoją aktualnością" – tłumaczy Jacek Jabrzyk, zastępca dyrektorki ds. artystycznych Teatru Zagłębia.

Spektakl Kleczewskiej będzie adaptacją powieści. Na scenę przeniesione zostaną wydarzenia, decyzje i działania, które doprowadziły do gorzkiego finału. Istotnym kontekstem będzie również miejsce akcji – premiera spektaklu odbędzie się w Banku Sztuki przy ulicy Małachowskiego w Sosnowcu, czyli w przedwojennym budynku, w którym do niedawna mieścił się Bank ING. Od pewnego czasu obiekt znajduje się w rękach prywatnych, a jego właściciel chce stworzyć tu przestrzeń, która będzie łączyła biznes i sztukę, czyli Bank Sztuki właśnie.

„Można powiedzieć, że jest to świątynia pieniądza, co oczywiście ma symboliczne znaczenie w kontekście spektaklu. Bohaterowie powieści Reymonta mają przecież jeden cel – za wszelką cenę chcą być bogaci. Nieprzyzwoicie bogaci. By tak się stało, muszą łamać wszystkie zasady. Zarówno życie ludzkie, jak i wartości nie mają wtedy żadnego znaczenia. Realizując ten spektakl, chcemy zdiagnozować moment przesilenia, w którym się obecnie znajdujemy. Sprowokować siebie i widzów do odpowiedzi na pytania, jakich wyborów dokonujemy i gdzie mogą nas one zaprowadzić" – wyjaśniają twórcy przedstawienia.

Władysław Reymont
Ziemia obiecana
reż. Maja Kleczewska
Premiera
14 czerwca 2025 r.



JEREMI ASTASZOW / ASTASHOW STUDIO // MATERIAŁY PRASOWE

Reżyserka i aktorzy na próbie do spektaklu.

Zrealizowanie spektaklu w Sosnowcu, mieście o podobnym do łódzkiego genotypie, może być ciekawym wyzwaniem. Kiedy śledzi się historię Sosnowca, okazuje się, że to miasto jest jakby wyjęte z powieści Reymonta.

Spektakl będzie reżyserować Maja Kleczewska, która szybko podchwyciła temat i zdecydowała się na pracę w Teatrze Zagłębia. Pomógł także zbieg okoliczności. Będzie to bowiem jedna z jej ostatnich realizacji przed objęciem stanowiska dyrektorki Teatru Powszechnego, co nastąpi już we wrześniu tego roku.

Z Kleczewską współpracuje wspaniały zespół realizatorski. Aranżacją przestrzeni, scenografią i reżyserią światła zajmuje się Fabien Lédé, znany z pracy z wybitnymi twórcami na całym świecie. Muzykę przygotowuje Cezary Duchnowski, ważna postać Międzynarodowego Festiwalu Muzyki Współczesnej „Warszawska Jesień". Konrad Parol odpowiada za kostiumy, a powieść zaadaptował Tomasz Śpiewak, znany sosnowieckiej publiczności chociażby z adaptacji „Korzeńca".

„Na premierę »Ziemi obiecanej« zapraszamy do Sosnowca już 14 czerwca. Tydzień po premierze w Sosnowcu przedstawienie zaprezentujemy łódzkiej publiczności na Międzynarodowym Festiwalu Sztuk Przyjemnych i Nieprzyjemnych" – informuje Iwona Woźniak, dyrektorka Teatru Zagłębia.

Spektakl zostanie zrealizowany w ramach unijnego projektu „Zróbmy sobie klimat, czyli sprawiedliwa transformacja w Sosnowcu". Jego współorganizatorem jest miasto Sosnowiec i Bank Sztuki, a partnerem – Katowicka Specjalna Strefa Ekonomiczna, Księgarnia i Grupa Tandem.

MATERIAŁ PROMOCYJNY

Fundusze Europejskie dla Śląskiego | Rzeczpospolita Polska | Dofinansowane przez Unię Europejską | Województwo Śląskie

Projekt współfinansowany w ramach Funduszu Europejskie dla Śląskiego 2021-2027 (Fundusz na rzecz Sprawiedliwej Transformacji) dla Priorytetu: FESL.10.00-Fundusze Europejskie na transformację dla Działania: FESL.10.24-Włączenie społeczne – wzmocnienie procesu sprawiedliwej transformacji

REKLAMA



TR WARSZAWA

Widzowie, którzy wejdą w ten świat,
nie wychodzą z niego tacy sami –
doświadczenie, które oferuje spektakl,
zmienia ich sposób patrzenia na rzeczywistość.

WIESŁAW KOWALSKI
TEATR DLA WSZYSTKICH

15–17.05.2025

KOSMICZNY DOM

REŻ. LINA LAPELYTĖ

DRAVNEL, DUDZIAK, FRAJCZYK, KUTA, ŁOTOCKI, PAWLAK, TYNDYK, WASILEWSKA, ZBROJEWICZ

www.trwarszawa.pl

instytucja kultury miasta stołecznego Warszawy

Partner

kicket

OBRAZ PATRYK RÓŻYCKI

MAZOWIECKI INSTYTUT KULTURY

PERSONA

w programie: spotkania literackie / debaty / wystawa / koncerty / spektakle / i inne → www.mik.waw.pl

REKLAMA

29/05–1/06/2025



festiwal sztuki kobiet

matronka festiwalu

Jadwiga Stańczakowa

Wyjście z cienia

organizator: MAZOWIECKI INSTYTUT KULTURY; Mazowsze.

matronat: MUZEUM HISTORII KOBIET; HERSTORY

partnerzy: ŻYDOWSKI INSTYTUT HISTORYCZNY; FUNDACJA KULTURY BEZ BARIER

patronat medialny: tokfm



W lutym 1945 roku w Jałcie przywódcy trzech mocarstw (Wielkiej Brytanii, Stanów Zjednoczonych i Związku Radzieckiego) przesądzili o kształcie powojennej Europy. Dla Polski oznaczało to nie tylko zmianę granic, ale też wyrok na niezależność.

„Czy to jest wolność?" – pytał Władysław Bartoszewski w ulotce wydanej przez podziemną organizację „Nie" w lutym 1945 roku. „Czy wszechwładza sowiecka jest wolnością? Czy fakt, że nie mamy rządu wybranego przez obywateli, jest wolnością?". Bartoszewski spędzi sześć i pół roku w stalinowskich więzieniach. Jan Nowak-Jeziorański, legendarny kurier AK, na falach Radia Wolna Europa będzie głosem tych, którzy nie mogą otwarcie mówić.

Czy koniec wojny przyniósł wolność? Czy była ona tylko iluzją? Odpowiedzi szukamy w historii tych, którzy stanęli przed dramatycznym wyborem: zostać, walczyć, podporządkować się, odejść?

Muzeum Pana Tadeusza to nie tylko miejsce, które opowiada o romantyzmie, ale także przestrzeń, w której pielęgnujemy pamięć o polskich zmaganiach z totalitaryzmami, a także przybliżamy spuściznę Władysława Bartoszewskiego i Jana Nowaka-Jeziorańskiego.

W osiemdziesiątą rocznicę zakończenia II wojny światowej w Europie zapraszamy na wystawę „1945. Czy to jest wolność?".

REKLAMA

NOSTALGIA

POSZUKIWACZE GASNĄCYCH GWIAZD

SEEKERS OF FADING STARS

KURATORKI | CURATORS: MIROSŁAWA BAŁAZY, MARTYNA SOBCZYK

25.4–14.9.2025

MUZEUM SZTUKI WSPÓŁCZESNEJ W KRAKOWIE MOCAK
MOCAK THE MUSEUM OF CONTEMPORARY ART IN KRAKÓW
UL. LIPOWA 4, WWW.MOCAK.PL

MARTA ANTONIAK
MARTYNA BOROWIECKA
DAWID CZYCZ
KRZYSZTOF GIL
MARCIN JANUSZ
NATALIA KOPYTKO
TOMASZ KULKA
AGATA KUS
ALEKSANDRA LIPUT
JUSTYNA MĘDRALA
MICHAŁ MYSZKOWSKI
OLA NENKO
PAWEŁ OLSZCZYŃSKI
PATRYCJA PIĘTKA
ZUZANNA ROMAŃSKA
WOJCIECH IRENEUSZ SOBCZYK
PATRYK STARUCH
PAULINA STASIK
ŁUKASZ STOKŁOSA
ZUZANNA SZARY
MATEUSZ SZCZYPIŃSKI
KATARZYNA WYSZKOWSKA

MOCAK

WYSTAWA
EXHIBITION

MARTYNA BOROWIECKA, *WIATR W OCZY ANDROMEDZIE* | *THE WOES OF ANDROMEDA*, 2024, OLEJ NA PŁÓTNIE | OIL ON CANVAS, 170 × 130 CM, COURTESY M. BOROWIECKA

Kraków

MUZEUM SZTUKI WSPÓŁCZESNEJ W KRAKOWIE MOCAK – INSTYTUCJA KULTURY MIASTA KRAKOWA
MOCAK THE MUSEUM OF CONTEMPORARY ART IN KRAKÓW – A CULTURAL INSTITUTION OF THE CITY OF KRAKÓW

MUZEUM
SZTUKI WSPÓŁCZESNEJ
W KRAKOWIE
MOCAK
MUSEUM
OF CONTEMPORARY ART
IN KRAKÓW

PATRON GALERII RE
RE GALLERY PATRON
RE-Bau

REKLAMA

INNE BRZMIENIA

WSCHÓD KULTURY



3–6 LIPCA 2025

LUBLIN
BŁONIA POD ZAMKIEM

WSTĘP WOLNY

WSCHÓD KULTURY

Festiwal Wschód Kultury – Inne Brzmienia. Twój przewodnik po świecie intrygującej muzyki.

zeskanuj i sprawdź line-up



dowiedz się więcej

re:tradycja

JARMARK JAGIELLOŃSKI

22–24 08.2025 Stare Miasto Błonia pod Zamkiem

Lublin wstęp wolny

Festiwal muzyki i rzemiosła tradycyjnego



zeskanuj i dowiedz się więcej